



W STULETNIĄ ROCZNICĘ  
1809-1909

**JULIUSZ**   
**SŁOWACKI**

Jego życie  
i twórczość.



POZNAŃ.

NAKŁAD KSIĘGARNI  
BOGDANA CHRZANOWSKIEGO  
1910.



# Juliusz Słowacki

Jego życie i twórczość



Juliusz Słowacki.

W stuletnią rocznicę urodzin  
1809 – 1909.



# Juliusz Słowacki.

## Jego życie i twórczość.

przez

A. Baczyńską

w dwóch tomach z ilustracyami.

—  
Tom I.  
—

„A kiedy przyślą tutaj wygrzeby-  
wać popioły po zielonych cmenta-  
rzach, może także i mnie wezmą  
i zanosą do mojej ziemi. O takim  
„teraz marzę powrocie!“ . . . . .

JULIUSZ SŁOWACKI  
z listów do Matki dnia 5 lutego 1835 r.

POZNAN.

Nakład i własność księgarni Bogdana Chrzanowskiego.

Drukiem „Pracy“ Sp. z ogr. p.

1909.

Wojewódzka  
Biblioteka  
Publiczna  
w  
Poznaniu

860

Tom I.

— HELI. —

Dziecinne lata i szkolne czasy Juliusza Słowackiego.  
1809—1829.





# Wróć do nas orle wróć!

Andante

The musical score is written for voice and piano. It consists of three systems of music. Each system has a vocal line on a treble clef staff and a piano accompaniment on a bass clef staff. The key signature is one flat (B-flat) and the time signature is 3/4. The tempo is marked 'Andante'. The lyrics are written below the vocal line. The first system starts with a piano dynamic marking 'p'. The score ends with a double bar line and a final chord in the piano part.

*p*  
Wróć do nas or-le, wró—ć, zna-my już lot two - ich  
pió—r, smu - tną tam mo - gi - łą  
rzu—ć, wróć do twych pól, do gór!

Do brzoź i kalin twych  
Rubinów leśnych ach wróć!  
Do tych mgieł i wichrów swych  
Wróć piękny orle wróć!

Na wieko trumny twej  
Posypie się kwiatów puch  
Z ojczyściej ziemi; ty jej  
Anchelli, ty Król-Duch!

Wróć do nas orle wróć!  
Znamy już lot twoich piór!  
Smutną mogiłę tam rzuć  
Wróć do tych pól, — do gór!





### Ślub panny Salomei.

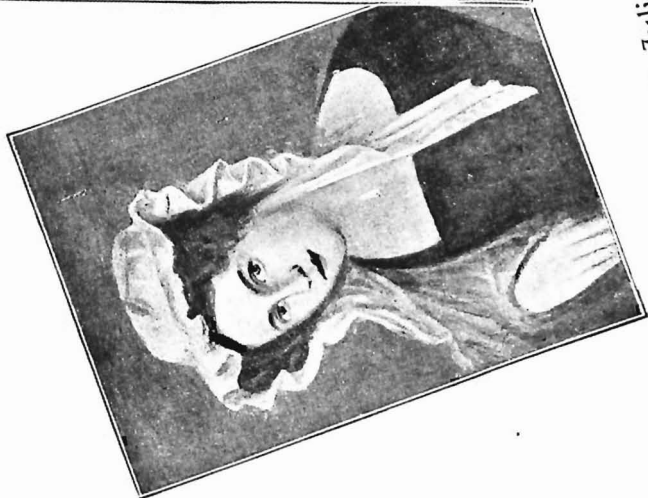
W pośród białych domków Krzemieńca, które, jak „perły szmaragdami ogrodów przeszyte“, rozrzucone były w dolinie, otoczonej wzgórzami, odznaczał się szczególnie miłym wyglądem dworek pp. Januszewskich. Dwie niebotyczne topole włoskie szumiały tęskno u samego wejścia, tuż przy wschodkach prowadzących do przysionka, ozdobionego na zewnątrz kolumnami. Mały dziedziniec oddzielał domek od gościńca i chronił od kurzawy i gwaru. Duży sad owocowy okalał dworek z trzech innych stron, a niedaleko umieszczona pasieka chroniła się pod gęstem poszyciem lip, które rozłożystymi konarami chroniły ją od spiekoty, a w lipcu, jak najczulsze matki pieszczotą, wabiły do siebie pszczołki wonnem, blado żółtem kwieciem.

Z tyłów domu leżały zabudowania gospodarskie: obora, stajnia, piekarnia, i buda dla starej czarnej wiecznie ujadającej Znajdy.

Dworek ten leżał na wzgórzu, nad potokiem nieopodal od kościoła Franciszkańskiego pomiędzy Bazylianami a Czerczą. W domu mieszkali pp. Januszewscy z rodziną, którą składali dwaj synowie: Teofil, Jan i jedyna córka Salomea.

P. Salomea, zwana pieszczotliwie Sali, dorosła już panienska, posiadała bardzo staranne wychowanie. Po-  
dług ówczesnych zwyczajów, mówiąca wybornie po  
francusku i lepiej obeznana z literaturą francuską, niż  
polską, miała piękne, eleganckie ułożenie, dużo do-  
wcipu, łatwość prowadzenia rozmowy w salonie, nie-  
zmiernie bujną fantazyę i dużo dobrego serca, za które  
była przez wszystkich kochaną.

Wzrost miała niewysoki, włosy kruczo-czarne, oczy  
wielkie, czarne z zielonawym odbłyskiem, bystre, ro-  
zumne, ale za wypukłe; twarz szczupłą, pociągłą, cerę  
ciemną z mocnym rumieńcem, szyję długą, nos duży,  
śpiczasty i wydatną brodę. Nie była piękna, ale miała  
w sobie coś niezwykłego, coś uderzającego z przy-  
czyny inteligencyi, jaka biła z całej jej ruchliwej, ży-  
wej, nerwowej postaci. Była bardzo czuła, skłonna do  
płaczu, lubiła kwiaty, a nadewszystko narcyzy. Dla  
przymiotów serca i ducha wielbiło pannę Salomeę bliź-  
sze i dalsze otoczenie, a ponieważ była dorosłą pa-  
nienką, miała więc już wielu starających się o jej rękę  
i ztąd miała dużo wynikających przykrości. Rodzice  
pragnąc widzieć swą jedynaczkę w dobrobycie, nama-  
wiali ją często do zaślubienia ludzi, do których nie miała  
przekonania. Pan Januszewski, zarządzając majątkami  
należącemi do Liceum Krzemienieckiego, sam majątku  
nie posiadał i dla tego cieszył się bardzo wraz z żoną,  
gdy o pannę Salomeę począł się starać bogaty właściciel  
Dymitrowki, pan Seweryn Milowicz. Widząc jednak  
obojętność córki w zachowaniu się względem bogatego  
obywatela wołyńskiego, pani Januszewska, po ostatniej  
jego bytności proszona przez niego, postanowiła otwar-  
cie rozmówić się z córką. W tym celu weszła do jej



Rodzice Juliusza Słowackiego  
Euzebiusz Słowacki.  
Salomea z Januszczyńskich



pokoju. Panna Salomea podlewała narcyzy i przymocowywała je do patyczków.

— Droga moja Sali, dziś poraz już ostatni zapytywał mnie pan Seweryn, co ty myślisz?

— Ja? co ja myślę? — rzekła Sali z figlarnym uśmiechem, — ja myślę nigdy nie pójść za pana Seweryna — on dobrze wie o tem i po co nudzi?

— Sali, dobrze ci będzie w Dymitrowce, ty nie masz majątku, a lubisz koło siebie zbytek, on taki bogaty!

— Eh, moja mamó, jakto ja nie mam majątku? A mój duch, moje serce, a ta moja fantazyja, która mi przedstawia światy jakich mi pan Milowicz za miliony nie kupi, bo się na nich nie zna. Nie chcę go i dosyć, ja wolę moje narcyzy... a widząc zasmuconą twarz matki, przytuliła się do niej i szeptem dodała: nie trap się mamó; ja sobie znajdę męża, ale musi być wykształcony, piękny, czuły, młody, musi być poetą, musi być taki, jakiego duch mój pragnie.

— A gdzież ty znajdziesz takiego i kiedy?

— O już się wam tak przykrzy ze mną? a może... może już i jest taki... kto to wie? W Krzemieńcu dużo jest ludzi bardzo rozumnych.

— A to ty może, Sali, marzysz o Euzebiuszu Słowackim?

Panna Salomea bystro spojrzała na matkę.

— A z kąd mamie to przyszło na myśl?

— Bo go często widuję pod twojem oknem, gdy narcyzy podlewasz.

— No, jeżeli mam być szczerą, to on jeden mi się podoba!

— Ależ, dziecko moje, toż to ubogi młodzieniec, przybysz z obcych stron, gdzieś aż z Podhorców w Ga-

licy. Długi czas był rządowym geometrą... cóż to za stanowisko?... potem wziął go Poniatowski na guwenera do syna, to nie wiele lepsze...

— Ale dziś jest sławnym literatem, najzdolniejszym profesorem, najwymowniejszym w całym Krzemieńcu. Czacki za nim przepada, młodzieź wprost szaleje... to nie nie znaczy?...

— Ależ, dziecko moje, on biedny, on nic nie posiada, jakąż przyszłość za nim?...

— Już się nie trap, mamusiu, ja tylko za niego wyjdę, on przy Czackim nie zginie. O co ci chodzi, mamo droga, byle twoja Sali szczęśliwą była.

Pani Januszewska umilkła i nie nalegając więcej, pokój córki opuściła. Jakoż niedługo po tej rozmowie pan Euzebiusz Słowacki, profesor wymowy w Lyceum Krzemienieckiem, oświadczył się o rękę panny Salomei i został przyjęty. Ślub naznaczony został za 3 miesiące od dnia oświadczyn.

Po ich upływie zawrzało w białym dworku; pani Januszewska rozpoczęła przygotowania do ślubu; wstawszy rano zbudziła dziewczki wołając: „Kachno, Magdo, wstawajcie! w kadzi nie ma nic wody, niechże Ambroży nanieście, niech drew narąbie, a dajcież jeść kurcom. Ty, Magdo, idź obudź panienkę, dziś dużo jest roboty. A niech mi tam Gnusia przyniesie z za lustra receptę na mazurek marcypanowy, muszę na nim cyfrę panienki z cykaty nalepić. Prędzej, prędzej do piekarni, czasu nie tracić, ciasto miesić.

Tak się krzątała pani Januszewska, bo już za 3 dni miał się odbyć ślub Sali. I piękny wybór zrobiła panna Salomea, bo młody Euzebiusz Słowacki był młodzieńcem szlachetnym, zdolnym; cieszył się już sławą literacką i poetycką. Zdrowie tylko miał wątłe, a rumieńce

nienaturalne świadczyły o cierpieniu groźnem, bo płucnem. Ale panna Salomea tego nie widziała, czy widzieć nie chciała.

W piękny pogodny dzień sierpniowy r. 1808 odbył się ślub panny Salomei Januszewskiej z panem Euzebiuszem Słowackim, profesorem Lyceum Krzemienieckiego, w kościele Franciszkańskim. Grono uczonych z Tadeuszem Czackim na czele asystowało tej uroczystości i przeprowadziło parę młodą tak dobrze i serdecznie dobraną.

---

### Heli.

Minał rok po ślubie panny Salomei, a minął dla niej, jak najpiękniejszy sen, jak cudne marzenie, bo przeżyła ten rok w otoczeniu tak miłym dla ducha i serca, wpośród tak wybitnej inteligencji, że ani na chwilę nie żałowała, że ślub z panem Miłowiczem nie przyszedł do skutku. Usposobienie męża zawsze pogodne, wlewało w jej duszę tyle szczęścia, że znów sama w otoczeniu swem to własne szczęście tak potrafiła na drugich przelewać, że jeden z późniejszych literatów i profesorów krzemienieckich Józef Korzeniowski tak się wyraził: „gdyby tej kobiecie dać jeszcze piękność, toby świat cały podbiła.“ Salon pp. Euzebiuszów zgromadzał uczonych i literatów, zgromadzał osoby wytwornego obejścia; prowadzono rozmowy pełne dowcipu, a pani Salomea ożywiała i zachwycała wszystkich umiejętnością bawienia towarzystwa. Każdy opuszczał salon zadowolony, uśmiechnięty, rozbawiony i myślał wychodząc o tem, aby jaknajprędzej w te gościnne progi wrócić.



Domowe to szczęście pomnożonem zostało dnia 23 sierpnia 1809 r. przyjściem na świat maleńkiej dziewczyny o godzinie 7 rano.

Bóg dał państwu Euzebiuszom synka, że jednak dziecko okazało się wątłe, ochrzczono je natychmiast z wody, nadając imię Juliusz Euzebiusz.

Odtąd pani Salomea i babunia poświęcają wszystkie swe chwile maleńkiemu Heli, bo tak z pieczyoty nazwali dziecinę. Chłopczyzna długo był zrzędnym, skłonny do krzyku, płaczu, którym przeszkadzał nawet w pracy ojcu, przygotowującemu rozprawę do Uniwersytetu wileńskiego, a rozprawę bardzo ważną, bo miała rozstrzygać o przyszłym jego i rodziny losie. Maleńki Heli tymczasem coraz ciekawiej na świat spoglądał, a miał na to oczy wielkie, czarne jak noc i smutne jak noc. Podobny był do matki, tylko był piękny; otoczony pieczyotami z dnia na dzień przywykał, aby każdy jego kaprysyk był zadowolony, aby wszystko, czego zażądał, było spełnione. Całe domowe otoczenie, unosząc się nad dziecięciem, uprzedzało jego zachcenia i tak go wszyscy rozpieścili, że już po roku mały Heli tak był sprykrzony, że nawet ci, co go kochali, czuli się nieraz zniccierpliwieni.

Chłopczyk rósł powoli, postać miał drobniutką, tylko rozumek i zmysł obserwacyjny nadmiernie się u niego rozwijał i dla tego był warty, szczupły, blady, nie zapowiadający silnego zdrowia. Pani Salomea stroiła go i przyzwyczajała tym sposobem, że Heli ciągle po sobie spoglądał, ciągle był sobą zajęty sam i zajmował sobą drugich. Gdy mu cokolwiek próbowano odmówić, ciskał się, płakał i najczęściej znużony krzykiem zasypiał.

---

### Radosna nowina.

Jednego z dni mroźnych, jakie lubią bywać w miesiącu lutym, pani Salomea siedziała w głębokim, wygodnym fotelu, w ciepłutko ogrzanej sypialni. Na kolanacli trzymała małego Heli i starannie czesała jego krucze włoski, które pod grzebieniem nabierały świętego blasku. Na kominku wykuł śliczny kowalczyk na kowadle, unieszczone na cyferblacie starego zegara, godzinę pierwszą po południu; była to godzina, w której pan Euzebiusz powracał z Lyceum na obiad; to też pani Salomea ku drzwiom spojrzała. Upłynęło jeszcze pół godziny — i drzwi się otwarły, a do pokoju wszedł profesor Słowacki krokiem żywym, z twarzą rozjaśnioną wesołym uśmiechem; w rękę trzymał wielką kopertę, opatrzoną pieczęciami. Zbliżywszy się do żony i powitawszy ją serdecznie wraz ze synkiem, podał jej arkusz, wyjęty z koperty i rzekł:

— Czytaj głośno, Sali!

— Dobra być musi nowina, bo taki uśmiech szczęścia krasi ci lica.

— O więcej, jak dobra! — czytaj, bom zanadto wzruszony.

Pani Salomea czytać głośno zaczęła:

„po przeczytaniu Pańskiej rozprawy, Rada pełna uchwaliła, że WMPan okazałeś się przez to pismo godnym placu profesora ordynaryjnego Wymowy i Poezyi w Uniwersytecie Wileńskim.“

Pani Salomea w miarę czytania coraz silniej rumieć się poczęła z radości, a oddając papier mężowi rzekła:

— Teraz wiem, czego zwykle smętna twarz twoja dziś taka promienna. Jakżem szczęśliwa twojem szczę-

ściem! Przyjmujesz naturalnie, Euzebiuszu, wezwanie Śniadeckiego?... ale co Czacki na to?

— Co Czacki?... będzie się zżymał, będzie mnie odstręczał, nie będzie chciał w końcu mnie puścić; tę gorzką pigułkę muszę połknąć, ale nie zostanę w Krzemieńcu. Przecież co innego gimnazyum, a co innego uniwersytet - inna zasługa, inna chluba; obszerne pole pracy, no i materyalne przytem korzyści.

— I co Wilno to nie Krzemieniec, — dodała pani Salomea — jakkolwiek i tu przy Czackim wielkie ognisko nauki i życia towarzyskiego — jednakże z Wilnem nie może Krzemieniec iść w porównanie.

— Ależ naturalnie, nie mam się co wahać, a i dla ciebie mój synku jedyny, mój najmilszy Heli, lepsza doła zaświta — i mówiąc te słowa, począł pieścić chłopczynę, wzięwszy go na ręce z kolan matki. W tej chwili weszła pani Januszewska, chcąc prosić na obiad, a dowiedziawszy się o zamiarach zięcia, posmutniała, bo dla niej nowina ta osamotnienie wróżyła, a jej dotąd tak dobrze i słodko było z Salunią i małym Heli.

### **Wyjazd do Wilna.**

Po bardzo burzliwem przemówieniu się z kuratorem gimnazyum, Tadeuszem Czackim, który stanowczo nie chciał puścić od siebie tak zdolnego profesora, pp. Słowaccy w końcu sierpnia w r. 1811 opuścili Krzemieniec. Stanąwszy w Wilnie otrzymali mieszkanie w gmachu uniwersyteckim na drugim piętrze w pierwszym dziedzińcu.

W owe czasy jaśniało Wilno, jak najwspanialsza gwiazda, doborem ludzi uczonych, poetów, literatów

tak w gronie nauczycieli, jak i w doborze studentów, kształcących się w uniwersytecie. Na czele uczonych stali dwaj bracia Śniadeccy: Jan i Jędrzej. Jan, będący astronomem, był rektorem uniwersytetu i on to wezwał na profesora wymowy i poezyi Euzebiusza Słowackiego.

Z dniem 15 września rozpoczęły się wykłady, a Słowacki tak odrazu ujął słuchaczy i tak wszystkich przyjaźnie ku sobie usposobił, że salon pani Salomei ciągle był przepełniony gośćmi, którzy wprost cisnęli się do nich, jak do źródła najmilszej rozrywki. Mały Heli przechodził z rąk do rąk przyjaciół; domowy gość, architekta Podezaszyński huśtał go ciągle na rękach, ile razy w wolnych chwilach odwiedzał przyjaciela swego, p. Euzebiusza. Rustem, malarz, z zachwytem wpatrywał się w śliczne dziecko, panie, wielbiąc jego smutne wielkie oczy, pieściły i całowały — tuliły do siebie, to też dwuletni Heli lubił nadewszystko kobiece towarzystwo i miękkie ich pieczyoty.

Matka stroiła dziecko wytwornie, dumna z wrażeń, jakie czynił chłopczyk na obecnych. Postępowanie takie z nim i dalsze ustępujące we wszystkim wychowanie, czyniło go coraz kapryśniejszym i wymagającym, aby ciągle się nim zajmowano.

P. Euzebiusz oddał się pracy z zapałem i tyle na głowę swą różnych wziął obowiązków, że niedługo na zdrowiu cierpieć zaczął widocznie. Prócz godzin wykładowych w uniwersytecie miał mnóstwo prac literackich; został redaktorem „Kuryera Litewskiego,” a pozatem resztę czasu poświęcał przyjaciołom w salonie swej żony, gdzie świetne bywały zgromadzenia. Między wielu bywającymi zwrócić trzeba szczególną uwagę na doktora profesora Augusta Becu. Ten nie opu-

ścił ani jednego wieczoru u pp. Słowackich, tak był zachwycony dowcipem i inteligencją p. Salomei. Był to elegancki, wykształcony, starszy już mężczyzna, cieszący się zaufaniem nawet rektora Jana Śniadeckiego. Po za salonem matki Heli w lecie najchętniej uciekał do uniwersyteckiego ogródka; tam chłopczyzna lubił słuchać szumu drzew, pytająco szukał oczami w powietrzu przyczyny tego pogwaru liści, wpatrywał się w kwiaty, które swawolnie targał i garściami znosił do pokoju. Lubiał bawić się żołnierzami, lub też, położwszy się na kanapie, przypatrywał się, jak ojciec z panami grywał w Bostona. Rozdrażniony jednak czemkolwiek, krzyczał tak nieznośnie, że już sam pan Euzebiusz wtenczas sadzał go na środku pokoju na dywanie i kazał siedzieć dopóty, dopóki, albo nie przeprosił, albo krzyczeć nie przestał, albo najczęściej zmęczony płaczem usnął. W tych młodziutkich latach największe na nim wrażenie robił Jan Śniadecki. Był to wysoki starzec o siwym włosie i ognistym spojrzeniu z pod brwi krzaczastych; Heli bał się go i dziwno było temu malutkiemu, że Śniadecki nigdy, nie tylko go nie pogłaskał, ale nawet nigdy na niego nie spojrzał. Mały ulubieniec wszystkich obrażony się czuł na tego staroego pana. Zamiłowanie jego do ustawiania całych szeregów żołnierzy powiększyło się jeszcze z chwilą, kiedy do Wilna zawitał w roku 1812 Napoleon ze swymi pułkami. Heli nie mógł się dość napatrzeć na snujących się żołnierzy, którzy byli rozmieszczeni po domach prywatnych — byli więc i w gmachu uniwersyteckim. Cieszył go widok rozpalonych ogni, wsłuchiwał się w chrzęst szabel, i z zapalem biegł do swych ołowianych żołnierzy i układał całe ich szeregi, przewracał, rozbił, to znów stawiał na nogi, udając, że się

biją i zabijają. Ruchy przy tych zabawach miał żywe, widać było, że się bawił dobrze.

Pod koniec r. 1813 Heli ciężko zachorował; pani Salomea wraz z mężem z rozpaczą śledzili przebieg choroby, która się zdawała nieuleczalną; — przez kilka miesięcy ta czuła matka nie odstępowała od łóżeczka jedynaka, doktorzy nie robili żadnej nadziei. Nie chciał jednak Bóg tak ciężko zasmucić tych zacnych i szlachetnych ludzi; nastąpiła w chorobie zmiana i powoli, powoli, po kilku ledwie miesiącach Heli do zdrowia powrócił. Z wielkiej radości, że takie śliczne dziecko nie umarło, Rustem zaraz się wziął do malowania jego portretu. Pani Salomea ucharakteryzowała go za amorka ze skrzydełkami, łukiem i strzałkami. Portret został ślicznie wykończony i ozdobił salon pp. Słowackich. Heli był na nim zachwycający. Dziś oryginał tego portretu przechowuje się we Lwowie w Muzeum Ossolińskich.

### Okropny cios.

Gdy Heli dobiegał piątego roku życia, spróbował pan Euzebiusz zapoznać ukochanego malca z literkami alfabetu. Chłopczyzna z radosną ciekawością bez żadnego oporu zaczął naukę czytania. Okazał tyle cierpliwości, nawet zapału, że w niedługim czasie wybornie alfabet zapamiętał. Ojciec wówczas wyszukał w swej bibliotece „Bajki Krasickiego“ i powoli rozpoczął na tych bajkach sztukę syllabizowania. I to poszło łatwo, ale co było dziwniejsze, to to, że mały Heli zainteresował się treścią bajek i zdawał się je rozumieć.

Widząc takie dobre usposobienie chłopca w tym kierunku, pani Salomea, jako kobieta bardzo światowa, przywiązując wielką wartość do znajomości języka francuskiego, rozpoczęła z nim naukę praktyczną tegoż języka — i bardzo umiejętnie i dobrą widać metodą zaczęła go uczyć tych dźwięków obcej mowy, bo Heli chwycił je łatwo, przyswajał sobie i wnet szczebiotać po francusku zaczął. Bardzo to charakterystyczne, że ten kapryśny chłopczyk przy nauce okazywał się powolny, cichy i cierpliwy, a nadzwyczaj zdolny. Rozwijał się też nad wiek, do czego przyczyniało się bardzo życie towarzyskie, jakie prowadziła matka i salon przepelniony zawsze literatami. Po niejakiem czasie pan Euzebiusz począł się wyraźnie usuwać od liczniejszych zgromadzeń, czując się bardzo znużonym. Widocznie cierpiał fizycznie i tylko siłą woli prowadził dalej wykłady, a gorączkowo pospieszał z pracami literackimi, jakie rozpoczął. I dziwna rzecz, że prawie nikt z otoczenia nie uważał nagłego upadku sił. On sam jednak widział rychły swój koniec i owładnięty smutkiem, napisał ślicznych strof kilka, które dowodzą wyraźnego swej śmierci przeczucia.

*Wędrownik, w życia drodze, stargawszy młłą siłę,  
Wkrótce rzucę co miłe i co mi niemiłe!  
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,  
Który nagle w nieznanie przeniesie mię strony,  
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,  
I którą chmura pełna tajemnic okrywa!*

Powoli, pan Euzebiusz, ku wielkiemu żalowi rektora Śniadeckiego, uczniów i kolegów, zaprzestał wykladać w Uniwersytecie; prowadził jeszcze redakcyę „Kuryera Litewskiego“ czas jakiś, ale i od tej pracy usunąć się

musiał. Widocznie usychało życie pana Euzebiusza; salon powoli opustoszał; pani Salomea, nie wierząc w groźną ostateczność, spostrzegła jednak niebezpieczeństwo. Mały Heli, zawsze smutny, posmutniał bardziej, zaprzestał czytania bajek i z trwogą patrzył na ojca, nie rozumując dla czego ciągle leży, lub siedzi, a i dla czego mama już nie w salonie, ale w sypialni ojca długie spędza godziny. Suchoty czyniły postęp straszny... już w październiku nikt nie wątpił, że pan Euzebiusz żyć nie może.

Śniadecki nie krył żalu za młodym przyjacielem, odwiedzał go ciągle i ze łzami widział, jak znikało życie tyle zasłużonego profesora, literata, poety, a najlepszego męża, ojca i kolegi. Dnia 29 października 1814 roku zagasło życie ziemskie Euzebiusza Słowackiego! Zagasło ziemskie, — bo jego duchowe, literackie zdolności miały odżyć później w małym Heli i nazwisko Słowackiego nieśmiertelnem uczynić!

Pani Salomea, dotknięta tym ciosem, zdrętwiała... Przecież Euzebiusz, to był najśladzszy towarzysz jej serca i ducha, to był najśladzszy towarzysz życia, który stworzył dla niej głównie to całe otoczenie inteligentne, w którym pani Słowacka tak się lubowała, ten salon wykwinny, w którym ona królowała i w którym z małym Heli u hoku tak jej było rozkosznie!...

Dziś ten Euzebiusz martwy zagasił wszystkie gwiazdy jej szczęścia! — co pocznie sama z wychowaniem syna, o charakterze tak trudnym, a zdrowiu tak wąttem?

. . . . .

I odprowadziła pani Salomea z małym Heli męża do grobu! Odprowadziła go w gronie tych wszystkich,



co jego salon przepelniali za życia, skropiła mogiłę ciężkimi łzami, a Heli płakał głośno, tak, jak to Heli płakać umiał — i czarnymi, smutnymi oczyma patrzył w głęboką mogiłę...

Pożegnała raz ostatni swego opiekuna, przyjaciela i ojca swego sieroty i wróciła do pustego domu z troską o swe dziecię.

Następnie pożegnała Wilno, wszystkich przyjaciół i ciężką żałobą okryta, udała się do Krzemieńca.

---

### W rodzinne progi.

Jednego z wieczorów listopadowych w r. 1814 zajęła karetka przed dworek państwa Januszewskich w Krzemieńcu.

Kołowrot zaskrzypiał, Znajda niespokojnie, rwąc się na łańcuchu, szczekać poczęła. Po schodkach zasypanych świeżo śniegiem wstępowała postać żałobą okryta; była to pani Słowacka, wracająca w rodzinne progi.

Zapukała w drzwi ostrożnie; po małej chwili wyszła dziewczka dworska z latarką.

— Jak się masz Kacłino, czy państwo zdrowi i czy śpią już może? — a nie czekając na odpowiedź, rzekła: — chodź — weź malca, bo usnął tak mocno, że go budzić się boję. Tylko bierz go delikatnie, ostrożnie, ja ci pomogę.

Pani Salomea z Kachną wróciły do karetki. Heli, leżąc na poduszkach, spał snem cichym, smacznym, snem dziecka.

— Tylko ostrożnie, ostrożnie; i powolutku zesuwały poduszki razem z chłopcem, aby go łatwiej ująć było można. Ale mały Heli wzięty już na ręce przez Kachnę, zbudził się i cały podworzec płaczem napełnił. Płacz dziecka znalazł oddźwięk w dworku Babuni i w tej chwili ukazała się na ganku pani Januszewska, a za nią pan Teofil, a dalej Dziadunio. Wzięli chłopca na ręce, tulić poczęli, a w końcu zajął się nim pan Teofil i jakoś rozbawił.

Tymczasem pani Słowacka padłszy w objęcia matki, rzewnie załkała:

— Sama wracam, sama, z tym sierotką, bez niego... przygarnijcież mnie do siebie, gdzieś pójdę?...

— Wszystko nasze twoje jest — razem wszyscy odrzekli, a pani Januszewskiej mignęła myśl, jak błyskawica:

— Mój Boże, Seweryn Milowicz zdrów, bogaty siedzi w Dymitrówce... czemuż go nie chciała... ale to była myśl tylko, nigdy w słowa nie ujęta.

Po wybuchu pierwszych łez i żalów, pani Słowacka objęła dawny swój pokój w posiadanie. Długo przywyknąć nie mogła do nowego trybu życia, powoli jednak nałamała się do konieczności i objęła cały zarząd gospodarstwa, wyręczając w jego trudach matkę.

Heli zupełnie na nowo oswajał się i z domownikami i z miejscowością. Teraz dopiero wszystko już pojmować i trwale pamiętać zaczynał. Miał lat 5, wydawał się jednak starszy, choć fizycznie bardzo wątły, tak był umysłowo rozwinięty. Tu można przytoczyć wierszyk jego własny napisany o sobie w późniejszych czasach.

*Ludzie nieraz „On umrze“ mówili przed matką;  
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy  
I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinę,  
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,  
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,  
Nie śmiała wyrzec, niech się dzieje wola Boga!  
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy  
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.*

Krzemieńiec również poniósł ogromną stratę w osobie kuratora Czackiego, który umarł na rok przed panem Euzebiuszem w r. 1813; mimo to licznie skupione było grono inteligencji przy Lyceum, a nauki również dobrze udzielane były młodzieży. Domek państwa Januszewskich, jak dawniej począł się napełniać gośćmi wyborowymi, z najlepszego towarzystwa w Krzemieńcu. Heli już nie wychodził z salonu matki, żywo przysłuchiwał się rozmowom, chciwie chwycił każde zrozumiałe dla niego słówko i rozwijał swój umysł dziecinny daleko wcześniej i lepiej niż serce. Biegał w rannych godzinach na Zankową górę dla zabawy z dziećmi, lecz ustrojony zawsze po pańsku, stronił od dzieci ubogich, lichu ubranych; łatwo się obrażał, zawsze chciał być wszędzie między dziećmi pierwszym, dla tego więcej i częściej patrzył na zabawę drugich aniżeli sam w niej brał udział. Nigdy nie miał małego przyjaciela; wszystko w tem dziecku było wytworne, pańskie od mowy do układu całego. Pani Salomea cieszyła się, patrząc na swego małego lorda, a nie widziała niestety, że Heli był egoistą, był dumny, złośliwy i zarozumiały. Przyzwyczajony był, że dla niego wszyscy oddać muszą wszystko, a on tylko za to: grzeczny ukłon, delikatne słówko podziękowania, zadowolenia uśmiezek.

Nie przeczuwała pani Salomea, że tak nie zawsze być może, a zapomniała o tem zupełnie, że dziecko z czarnymi oczyma kiedyś zostanie człowiekiem i, że, ażeby być szczęśliwym i dać komu szczęście, trzeba koniecznie samemu mieć *serce*.

### Poczajów.

— Mamo, jutro i Kachna i Magda i Ambroży i Gnusia idą na nogach, nie jadą końmi do Poczajowa. Gnusia ma już taki złoty łubek na głowę, tyle astrów narwała w ogrodzie pod oknem Babuni, i taką malowaną cudnie spódnicę. Gdzie oni idą i po co idą tak strojnie i tak się cieszą, tak myją, buty czyszczą? Magda tak wypłata warkocze, a takie ma długie... po co tam idą? czy na wesele?

— Do kościoła, synku mój złoty, do cudownej Matki Boskiej. Jutro w Poczajowie jest śliczne nabożeństwo w kościele, tak zwany odpust.

— To jedź mamo ze mną, a ubierz mnie też pięknie.

— Chętnie to zrobię mój mały, idź proś Babunię, żeby nam koniki dała na jutro, to pojedziemy wczesnym rankiem o chłodzie.

Mały Heli nazajutrz ubrany bielutko, jak aniołek, jechał z matką do Poczajowa na odpust. Od Krzemieńca do Poczajowa dwie mile, znudzony więc trochę drogą, tem silniejszego doznał wrażenia, ujrawszy kościół na ogromnej górze i setki ludu, który to klęcząc, to krzyżem leżąc, całe podnóże kościoła zalegał. Lud ten nie był strojny, kobiety pookrywane w białe płachty z to-

bołami na plecach, z kijami w ręku, mężczyźni z głowami odkrytymi, z rękami to wzniesionymi w górę, to rozłożonemi na ziemi, sprawiali wrażenie pokutników. Powietrze przeszywał to cichy szmer modlitwy, to cichy płacz, to głośny, jękliwy śpiew, co cały chór westchnień. A ponad temi setkami ludu brzmiały dzwony tam wysoko na górze i rozkołysane tony w powietrzu łagodnie wpadały w ucho małego Heli. Stanąwszy na koźle tuż przy woźnicy, patrzył chciwie na widok, jaki na zawsze pozostał w jego wyobraźni. Pani Słowacka umyślnie stanąć na chwilę kazała, aby się przypatrzeć zdaleka tym pokutnym tłumom. Do kościoła z małym chłopcem nie mogąc się już docisnąć, poszła z nim do stopki Najświętszej Maryi Panny, która jest w kamieniu wydeptana i zawsze pełna wody święconej. Pielgrzymi czerpią ją do flaszeczek i jako ochronę przed nieszczęściem noszą na piersiach. Mały Heli naczepał także tej wody, a potem modlił się z matką serdecznie w ogrodzeniu kościelnem, patrząc przez drzwi otwarte w głąb świątyni gorejącej światłem. Był zachwycony—dobrze mu tu było, w główce układały się obrazy nigdy niezapomniane.

W starszych już latach pod wpływem wspomnienia odpustu w Poczajowie, stworzył Słowacki prześliczną scenę.

Raz w nocy pastuszkowie, pilnując trzód swoich, ujrzeni ogromną światłość na wierzbie; za chwilę po jasnych promieniach wśród blasku gwiazd spłynęły 2 panie w błękit ubrane, podały sobie ręce i szepnęły: Ave. Zapach konwalij napełnił powietrze, blask stał się oślepiający:

*A obie były tak pełne tęsknoty  
Jak strumień i las! a miały postawę*



Tadeusz Czacki.



*Lekką jak gdyby mogły iść w poloty!  
Lecz oswojone były i laskawe;  
Jedna twarz miała czarną, druga bledszą;  
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą!*

W tak fantazyjny sposób przedstawił Słowacki w tej swojej własnej legendzie spotkanie się Matki Boskiej Częstochowskiej z Matką Boską Poczajowską.

### Wierzchówka.

— Zawołaj do mnie, Heli, Gnusię, pomoże mi składać bieliznę — jutro jedziemy na wieś.

Heli klasnął w rączki z radości.

— A do kogo jedziemy, mateczko?

— Do państwa Michalskich do Wierzchówki.

— A ładnie tam — a dzieci są?

— Prześlicznie, jest tam dziewczynka Julcia, córeczka państwa Michalskich.

Za chwilę rozlegał się głosik Helego po całym podwórku: Gnusia! Gnusia! — ale Gnusi nigdzie nie było. Tymczasem zaszczekała Znajda, Heli zajął się nią, począł ją drażnić w niemłosierny sposób i cieszył się, że Znajda, rwąc się na łańcuchu, przeróżne wyprawiała skoki i nieznośnie szczekała. Zaniepokojony wuj Fil wyszedł na ganek i zabrał malca do siebie.

— Chodź lepiej rysować, jak biedną Znajdę dręczyć. Siadaj -- masz ołówek; wczoraj rysowaliśmy linie w różnych kierunkach, dziś zaczniemy półkola — a potem całe już kółka rysować będziesz, i to znaczy, że już wcale dobrze będziesz umiał rysować mój malcze, bo kółko równiutkie, ot widzisz, jak to, które ci w tej chwili rysuję, jest bardzo trudno zrobić.



Heli z wielką ochotą zasiadł do rysunków i przeszło godzinę cichutko i cierpliwie u kochanego wuja Fila przesiedział.

Potem wybiegł do piekarni; bardzo lubił tu przesiadywać; przyglądał się robotom dziewczek, pieczeniu ciast, a szczególnie wieczorem lubił razem z Babunią i z czeladzią odmawiać wieczorne pacierze lub w adwencie śpiewać kolendy.

Tymczasem pani Słowacka nie doczekawszy się Gnusi, upakowała rzeczy swoje i synka i wszystko przygotowała do jutrzejszej podróży. Nazajutrz rano słońeczko zaświeciło jasno w czarne oczy Helego — który zbudzony jego różowym blaskiem, wstał ochoczo, bo go bardzo podróż nęciła. Ogromnie lubił jeździć, a zwłaszcza w zupełnie nowe, nieznanne miejsca dla siebie. Do Wierchówki jechało się dość długo, bo majątność państwa Michalskich leżała już na Podolu, a natura otaczająca wioskę była zupełnie odmienna od Krzemienieckiej.

Gdy powóz zatrzymał się przed gankiem dworu, na schodach między kolumnami ukazała się postać dziewczęcia; spojrziała na wysiadającą panią Salomeę, klasnęła w dłonie, w powietrzu rozległo się:

— Mamusiu! Pani Słowacka! i dziewczę znikło.

Za chwilę wybiegła pani Michalska, a za nią jej mąż i po serdecznych uściskach i powitaniach pani Salomea została przeprowadzona do gościnnego pokoju, który był dla niej pięknie odświeżony i narcyzami ubrany. Heli znęcony przepyszną grupą kwiatów na murawie rzuconą, wybiegł zaraz do ogrodu; na zakręcie spotkał tę samą co stała na ganku dziewczynkę; stanął przed nią zawstydzony i pokorny, tak mu się piękną wydała. Czarująca Julcia, starsza od Helego nad wyraz sym-

patyczna, wzięła go za rączkę, ucałowała serdecznie i rzekła:

— Chodźmy nad staw do Julinek — to mój własny gajk, tatuś go tak nazwał od mojego imienia, zobaczysz, jak tam pięknie i wesoło.

Pobiegli... mały Heli z jakąś dziwną rozkoszą i nieśmiałością cichutko, nic nie mówiąc wokoło spoglądał. Istotnie było to miejsce jak zaczarowane:

*Gdzie róża polna błyszczy się samotna,  
Gdzie poziomki oczkami z rubinów  
Patrzyły i brzoź lekkie się wierzchołki  
Kłaniały, lejąc nad nim lzy bursztynów.  
Jak brzozy o czemś tajemnem szeptały,  
Jak się las cały by czarem uciszał,  
I pod księżycem stał spokojny, biały.*

Poraz pierwszy widział Heli łabędzie — i nie mógł się dość napatrzeć na ich piórka strzępione, — na ich ruchy wdzięczne i głos taki rzewnie kwilący.

Poczęli zbierać poziomki, rwać niezapominajki, które Heli całymi targał kiściami, a jeszcze chciwszem okiem poglądał na wodne róże, siedzące bezpiecznie na swych wielkich ciemnozielonych liściach, jakby duchy białe; dosięgnąć ich chłopczyzna nie mógł. Na odgłos dzwonka Julcia wzięwszy rozmarzonego chłopczyka za rączkę dążyć poczęła ku domowi, bo to dzwoniło na drugie śniadanie. W ciągu całego pobytu w Wierzchówce Heli był wesoły, o żadnych kapryсах i mowy nie było. Obrazy cudnej natury wnikały już dobroczynnie w duszyczkę tego przyszłego poety.

### **Pan August Becu.**

Z żalem, nawet płaczem, Heli Wierzchówkę opuścił, ale trzeba już było do Babuni powracać, i uczyć się trochę więcej, — bo to już 3 lata upływały od dnia śmierci p. Euzebiusza — a więc Heli dobiegał 8-go roku życia.

Żal po mężu przycichł już w sercu p. Salomei, na nowo więc zaczęła prowadzić dom bardzo otwarty. Dochody zostawione przez męża przy pomocy, jaką miała od rodziców swoich wystarczały; najbogatsze więc rodziny nawiedzały panią Salomeę bądź w przejeździe za granicę, bądź spędzając zimę w Krzemieńcu. Jednakże ona tęskniła za Wilnem i nieraz myślała, jakby to było dla Helego pomyślnie, gdyby mógł kształcić się w Wilnie. Rachowała się jednak pani Salomea z funduszami, które wprowadził mąż jej zostawił, ale zastrzegł w testamencie, aby połowa przynajmniej była przeznaczona wyłącznie dla Helego. Wśród takich częstych rozmyślań i tęsknot za Wilnem pewnej niedzieli w miesiącu sierpniu r. 1817 zjawił się w salonie p. Słowackiej p. August Becu, doktor i profesor uniwersytetu wileńskiego. Dziwnie za Wilnem rozteskniona pani Salomea z niekłamanem i widocznym zadowoleniem gościa powitała. Pan Becu rozpromieniony serdecznie upieścił Helego i zwrócił się do pani Salomei z wyrazem szczęścia, wspominając ubiegłe chwile rozkosznych posiedzeń w jej salonie. I wnet potoczyła się rozmowa lekka, ożywiona, a inteligentna i wprowadziła panią Słowacką w zachwycający humor. Pan August pod koniec swej wizyty z całą powagą i szczerością oznajmił cel swego przybycia i oświadczył się o rękę p. Salomei, prosząc ją o macie-

rzyńską opiekę dla swych osieroconych dziewczątek, a w zamian ofiarował ojcowską opiekę małemu Heli, jako synowi zmarłego przyjaciela p. Euzebiusza.

Pani Słowacka mocno zdziwiona, ale nie zrażona, poprosiła pana Becu o cierpliwość i odłożyła swą odpowiedź do jutra. Pan August pełen otuchy pożegnał ją, obiecując przyjść po odpowiedź nazajutrz przed południem.

### Ślub pani Słowackiej.

*Mon cher petit mignon, dis moi, aimes tu M. Auguste Becu?*

— *Il me plaît maman, il m'aime, je le sais.*

— *Alors voudrais tu l'avoir pour ton papa?*

— *Comment cela pourrai se faire maman? mon père est là, à Vilna, au cimetière Peut on avoir deux pères? dis maman?*

To proste pytanie dziecka wywołało całą burzę wspomnień w sercu pani Słowackiej, która nie śmiać mówić o tym przedmiocie w swym rodzinnym języku, tak dalej po francusku mówiła:

*Vois tu, M. Auguste veut m'épouser et par conséquent, il deviendrait ton second père, ton tuteur, disons mieux; nous nous rendrions alors à Vilna et tu pourrais y faire tes études mieux qu'ici à Krzemieniec.*

— *Ah ça, tu as raison, maman, je veux bien aller à Vilna, M. Auguste me paraît très bon, il est si élégant et si gentil envers moi.\*)*

---

\*) — Mój drogi maleńki, powiedz mi, czy ty lubisz pana Augusta Becu?

— On mi się podoba, mammo, on mnie lubi, wiem o tem.

Na tem urwała pani Słowacka rozmowę, kazała dziecku pójść ze starym Ambrożym na górę Zamkową, ostrzegając, aby się bawił z dziećmi czystymi, przyzwoitemi, a unikał brudnych i niegrzecznych.

Uwolniwszy się od dziecka, które było jakby częścią jej własnego sumienia, czyniącego jej pewne skrupuły, pewne wyrzuty, a zadowolona z ostatniej jego lekkomyślnej odpowiedzi, pani Salomea poszła po ostatnią radę do swoich rodziców.

Przedstawiwszy im rzecz w krótkości, zapytała o ich zdanie. Wówczas zabrała głos pani Januszewska.

— Saluniu moja droga, Bóg czuwa nad tobą i twoim sierotą! A toż pan August, jako profesor, jako sławny doktor, zapewni świetną przyszłość tobie i twemu Heli. Nie wahaj się nawet; kto był przyjacielem Euzebiusza będzie i twoim i twego dziecka najlepszym opiekunem. Ty otoczysz macierzyńską troskliwością jego córeczki i dobrze wam będzie.

— A my już spokojni o twój los umrzemy — dodał stary Januszewski.

Po tych słowach uściśnieli rozradowani swą jędnaczkę, która wróciła do siebie. Teraz przebyć musiała w swej duszy walkę z wspomnieniem o zgasłym

---

-- A więc chciałbyś go mieć za ojca?

-- Jakby to mogło się stać, mammo? mój ojciec jest tam, w Wilnie na cmentarzu. Czy można mieć dwóch ojców? powiedz mammo!?

-- Widzisz, pan August chce mnie zaślubić, z tego wynika, że stałby się twoim drugim ojcem, twoim opiekunem, powiedzmy lepiej; wówczas udalibyśmy się do Wilna, a ty mógłbyś lepiej się uczyć tam aniżeli w Krzemieńcu.

— Ach tak, masz rację, mammo, ja chcę pojechać do Wilna. Pan August wydaje mi się bardzo dobry, on jest taki elegancki i tak grzeczny dla mnie.

mężu, następnie przeszła myślą do syna, rozumując, jak świetną dla niego przyszłość otwiera powtórne jej zamężcie; ponad tem wszystkim zamajaczyło jej towarzyskie życie wileńskie, za którem tęskniła, a nakoniec stanął jej przed oczami pan August. Człowiek ten zawsze elegancki, nawet pełen wytwornych obyczajów, światowy, uprzejmy, wykształcony bardzo, czynił miłe dla niej wrażenie, przypominał minione szczęśliwe chwile, i nie rzuciwszy sobie pytania, jaką też ten pan Becu ma duszę, postanowiła przychylną dać mu odpowiedź.

I stało się!... w ciągu dni kilku odbył się ślub pani Słowackiej w licealnym kościele, cicho w asystencyi małego grona przyjaciół. Po ślubie natychmiast pp. Becu opuścili Krzemieniec, a udali się do Wilna ku wielkiej radości Helego.

### Na grobie ojca.

W r. 1817 w samym końcu sierpnia udał się mały Heli z matką i przybranym ojcem do Wilna. W drodze połączyli się z córeczkami p. Becu. Były to dwie śliczne dziewczynki, Olesia i Hersylka, znacznie starsze od Helego. Zachwycone przybranym braciszkiem otoczyły go zaraz najczulszą opieką i już zawsze najlepszymi dla niego były siostrami. Państwo Becu otrzymali mieszkanie w gmachu uniwersyteckim w pierwszym dziedzińcu z małym należącym do nich ogródkiem. Zaraz pierwszego dnia po przybyciu do Wilna, pani Salomea po południu razem z Helim udała się na Rosę na grób męża. Raz pierwszy tu byli od chwili pochowania pana Euzebiusza. Heli, dziś już ośmiole-

tni chłopczyk, rozumiał dobrze kogo kryje ta mogiła, ku pamięci jakiego człowieka wzniesiono ten piękny okazały pomnik. W serduszkach jego odżyły nagle wspomnienia tak czułego i dobrego ojca, przyszły mu na pamięć pierwsze rozkosze z nauki czytania bajek Krasickiego, rozumiał komu to zawdzięczał i wspomniawszy to wszystko, serdecznym wybuchnął płaczem. Uspokoić się nie mógł tak płakał, coś dziwnego w jego główce zaczął się poczęło, coś mu szeptało, że on teraz za przykładem ojca musi być poetą, coś mu wołało w duszy, że to on teraz musi nazwisko ojca swego uczynić sławnym, nieśmiertelnym! Przepelniony żalem Heli widząc, że jego matka rozmodlona, zapłakana nie zwraca na niego uwagi, zaczął powoli obchodzić uważnie mogiłę i przyglądać się napisowi. Słowa na tablicy wyryte dumą napełniły jego dziecięce serce, cieszył się, że tak wypisano o jego ojcu! a obchodząc dalej grobowiec spostrzegł rzuconą ćwiartkę papieru na odłamku skały. Z ciekawością papier podniósł, rozwinął i ze zdziwieniem odczytał jakieś wierszyki. Małe to zdarzenie na pozór, podziało silnie na wyobraźnię chłopca, wziął to za wróżbę dla siebie i odrazu przysiągł sobie na grobie ojca: „muszę być poetą.“

Wracając z cmentarza z matką do domu o niczem innem nie myślał, tylko, że będzie pisał wiersze i odrazu nabrał sam dla siebie wielkiego szacunku, jako dla chłopca, który się już wyróżnia talentem między innymi. Myśl ta odtąd dręczyć go poczęła i nie prędzej się uspokoił, aż pobiegł do kościoła katedralnego i tam rozmodlony szeptał dziecięcimi usteczkami:

*O Boże daj mi sławę, choćby po śmierci,  
a za to niech będę za życia najniezwyklejszy,*

*pogardzony i niepoznany w życiu. Przed  
grobem moim niczego żądać nie będę,  
ale za to za grobem o wszystko się upomnę!  
Boże, daj mi poetyczne życie!*

Dowodem, jak silne wrażenie na chłopcu ośmioletnim ta chwila uczyniła, jest wiersz z późniejszych lat poety:

*Kościele, w myśli dziś wstający cieniach,  
Z twoimi złotymi krzyżami pod chmurą,  
Na zagaszonych Perkuna płomieniach  
Stojący, gdzie ja wziął ducha mego tęczową naturę!  
Jeśli ty pomnisz, jaka wtenczas była  
Moc w mych dziecinnych łzach!....*

---

### Iliada Homera.

— Mamo, daj mi co czytać, — prosił Heli matkę swoją, — ale daj coś bardzo pięknego, coś poetycznego; daj mi czytać jakie piękne wiersze!

— Masz kluczyk od biblioteczki ojca twego, idź do mojej sypialni i wybierz sobie drogie dziełko co zechcesz, co ci się z tytułu spodoba, a ja ci powiem, czy cię będzie zajmować i „czy dla twego rozumku będzie stosowne.“

Heli z błyskiem radości w czarnych swych oczach chwycił kluczyk i pobiegł do sypialni. Tu, w miejscu najokazalszem w pokoju stała skromna szafka, którą kupił sobie sam pan Euzebiusz, gdy się dostał na profesora do Lyceum. Razem z nim przywiezioną została do Wilna i starannie dziełami wyborowych autorów zapełniona. Raz pierwszy — stał ciekawie przy drzwiach



tej szafki, kiedy miał lat 5, i kiedy pan Euzebiusz wyjął z niej owe Bajki Krasickiego. Dziś raz pierwszy sam do tej biblioteczki drzwi otwierał; z dziwnym jakimś nabożnem uczuciem wkładał mały, długi, cienki klucz do zamku, zakręcał ostrożnie i z pewną trwożną ciekawością drzwi szeroko powoli odchyłał. Gdy mu się nareszcie na zawiasach oparły, stanął przed półkami i patrzył. Na półkach zobaczył mnóstwo książek, zwróconych do niego grzbietami pięknie złożonymi. Złotymi literami wybite tytuły zatrzymały jego uwagę, począł je czytać; były książki polskie, francuskie, greckie, łacińskie, były i angielskie. Pomiędzy polskimi spostrzegł pięknie, dużemi głoskami wryty napis *Iliada Homera*. Nie szukał więcej, wyjął delikatnie książkę z pomiędzy sąsiednich, z jakimś dziwnym szacunkiem rozłożył ją, przejrzał, znalazł w niej obrazki, które uderzyły mocno jego fantazję, szafkę natychmiast zamknął i pobiegł do matki.

— Proszę, mamó, — rzekł, podając kluczyk, — już sobie wybrałem.

— A coś wybrał mój Heli?

— Iliadę Homera.

— A moje dziecię, cela t'ennuyera c'est trop sérieux pour toi.<sup>1)</sup> Weź lepiej Bajki Krasickiego raz jeszcze.

— Nie, nie, ja muszę przeczytać Homera! — rzekł, i z temi słowy wtulił się w kącik wygodnej, aksamitnej kanapy i rozpoczął czytanie.

Pani Salomea z pobłażliwym uśmiechem spojrziała na niego, a Hersylka obecna tej rozmowie w pokoju matki, zbliżywszy się do malca, rzekła:

---

<sup>1)</sup> To cię znudzi, to za poważne dla ciebie.

— Heli, ja starsza od ciebie — Iliady jeszcze nie czytałam, znudzisz się i tyle. Zrobisz lepiej, gdy książkę zamkniesz w szafie, a sam pójdziesz z nami bawić się w ogrodzie.

Heli z ogromnie ironicznym uśmiechem spojrzał na Hersylkę i odrzekł złośliwie:

— Wy dziewczęta nie lubicie nic mądrego, nic górnego; — ja co innego, ja muszę mądre rzeczy czytać, bo ja muszę być poetą. Nie przeszkadzaj mi, proszę! — dodał wyniośle.

Hersylka odeszła, a ośmioletni chłopczyna drobny, szczupły, biały, jak marmur, utkwiał swe wielkie, czarne oczy w Iliadzie. I czytał ją — czytał bez przerwy; gdy mu matka broniła ze względu na zdrowie takiego bez przerwy czytania, krył się i czytał dalej i płakał nad wielu ustępami, nad Andromaką, nad Pryamem, a nadewszystko zachwycał go Achilles. Jak dorosły młodzieniec odczuwał cały tragizm bohaterskich zapasów rycerzy pod Troją, jęczał u nóg Achillesa wraz z Pryamem, żebząc o zwłoki syna Hektora, radował się i smucił razem z bohaterami utworu. Odczytywał Iliadę razy kilka i wyuczył się jej na pamięć.

Nie mógł jednak długo w tak poważnym wytrwać nastroju, powziął więc myśl urządzić wojnę z chłopcami, ale wojnę taką, jaka była opisana w Iliadzie. W tym celu zbierał w dziedzińcu Uniwersytetu gromadkę chłopców dobrze wybranych i urządził tak zwaną Iliadę. W zabawie tej brali udział trzej bracia Szpitznaglowie: Ludwiś, Oleś i Ferduś, siostrzyczka ich Kazia, jako jedyna w Iliadzie kobieta, Andromaka, Eustachy Januszkiewicz i kilku jeszcze innych malców. Heli występował w przepysznej, greckiej, błyszczącej

zbroi, jaką mu w tym celu unyślnie kazał zrobić pan Becu; występował, jako Achilles i zawzięcie napadał na Ludwisia, jako Hektora. Obaj, mając wyborną pamięć, przemawiali do siebie wierszem Homera.

### **Pan Hipolit Błotnicki.**

Życie towarzyskie i obowiązki względem sierot pana Becu nie pozwalały pani Salomei tak wyłącznie zajmować się swoim ukochanym Helim, jak to czyniła dawniej. Rozległe znajomości, których ze względu na przyszłe stosunki dla syna, pani Becu nie mogła lekceważyć, pochłaniały jej wiele czasu. Wskutek tego Heli, przeważnie sam, najwięcej oddawał się czytaniu. Postanowili więc państwo Becu poszukać dla niego nauczyciela — tak zwanego wówczas mentora. Nie trudno było o to w Wilnie, bo w owe czasy Wilno oddychało samą poezją, nauką i sztuką. Przy stosunkach, jakie miał pan Becu w uniwersytecie, udało mu się nakłonić do przyjęcia obowiązków mentora, młodego, ale już znanego z nauki literata pana Hipolita Błotnickiego. Był on stworzony na nauczyciela pedagoga; cierpliwy — mający dużo taktu, bardzo wykształcony — serdeczny, był dobrze wybrany dla usposobienia kapryśnego Helego. Chłopiec prędzej niż wszyscy domowi ocenił pana Hipolita, polubił go i poddał się chętnie jego kierunkowi. Myślał sobie nawet w duchu, że gdyby nie nos za długi i za spiczasty, to nie ma istoty doskonalszej nad pana Hipolita. Zaprzyjaźnił się z nim szybko, rozpoczął nauki systematycznie, uczył się chętnie, robił znakomite postępy, we wszystkim ulegał swemu mentorowi, a tymczasem względem reszty

swego otoczenia zawsze był przykry, złośliwy, uważający siebie za coś doskonalszego pośród domowników. Rozpoczął Heli lekcyę muzyki; tych udzielać mu zaczął organista katedralnego kościoła, pan Fock. Ten potulny niemiec, wyłącznie zdolny tylko, jako muzyk, nie mógł sobie dać rady z małym Słowackim. Duszczyka chłopca z natury egzaltowana, poetyczna i śpiewna, jak ptaszek — pojmowała muzykę tylko, jako melodyę; śpiew go porywał, kolendy śpiewane u Babuni w piekarni dotąd brzmiały mu w uszach i nie zapominał ich do samej śmierci. Rozumiał brzęk muszek, kwakanie żab, świergotanie koników polnych. Na fortepianie rozumiał pięknie grane melodye, ale gamy, palcówki, ćwiczenia, to nie miało dla niego żadnego sensu — to były nudy, przechodzące wszystko. Jakiż tam śpiew? nawet żabiego mu nie przypominał, gdy tymczasem tak lubił słuchać wieczorem, jak żaby ze sobą gadały, albo słowiki wywołując jeden drugiego, na przemiany tak cudnie śpiewały.

Pan Fock kazał grać pięciopalcówki.—Heli zmarszczony, zły grał, a raczej rąbał na klawiszach; pan Fock nie śmiał nalegać bardzo, skracał godzinę, dobierał kawałki najłatwiejsze, a gdy doprowadził z męką ucznia do poznania nut i taktu, zamiast kierować wyborem utworów, poddał się sam kierunkowi ucznia, i Heli grał co chciał, „aby tylko, aby tylko, coś, coś nauczyć“ tłumaczył się pan Fock sam przed sobą. Heli miał ucho muzyczne, palce miał giętkie i delikatne, wyuczył się więc kilku melodyjnych pieśni, ale wprawy mechanicznej nie mógł nigdy osiągnąć. Nawet Olesia i Hersylka, znakomicie posiadające już muzykę, nie mogły go do ćwiczeń nakłonić.

---

### Ludwiś Szpitznagiel, jako przyjaciel Helego.

Z domu przy ulicy Zamkowej pod nr. 127 wybiegł młodzieniaszek o cerze „bladej róży, z oczami łzawemi, jak polne dzwonki błękitne rosą sperlone“, z wyrazem twarzy panieńskim i nad wiek inteligentnym. Chłopiec ten w wieku lat 13 skierował się w stronę gmachu uniwersyteckiego, wbiegł na pierwszy dziedziniec, potem na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi profesora Becu.

Był to Ludwiś Szpitznagiel, syn dziekana wydziału medycznego, profesora Szpitznagła. Ludwiś starszy o lat kilka od Helego, obdarzony zadziwiająca zdolnością do nauki obcych języków, olbrzymią pamięcią, która nawet profesorów w podziw wprawiała — olbrzymią fantazją, umiał sobie tak zjednać Helego i tak potrafił z nim się porozumieć, że mimo różnicy wieku, największa między nimi zapanowała sympatya i przyjaźń.

Heli tylko wobec Ludwisia czuł się niższym i ulegał całkowicie jego wpływowi. Młody Szpitznagiel posiadając język grecki, łaciński, francuski, niemiecki, angielski i włoski, czytał utwory najcenniejsze z obcej literatury w oryginale, nie w tłumaczeniu, napajał swą wyobraźnię opisami wyprawy Kolumba i marzył tylko o podróży w nieznane kraje na wschód, marzył o różnych przygodach, o życiu innem, aniżeli to, na które patrzył codziennie.

Helego lubił bardzo; jego piękna twarzyczka blada, jego wielkie, marzące oczy działały na Ludwisia magnetycznie — pociągająco. To też i teraz wzięwszy się pod rękę, wyszli do ogródka na pogawędkę. Ludwiś zaczął mu opowiadać swoje senne widzenia, swoje pragnienia przygód między dzikimi; potem przeszedł do

Byrona, angielskiego poety; opowiadał mu, jaką odbył podróż po Hiszpanii, Portugalii i Małej Azji, jak z Azji przepłynął Hellespont i dostał się do Grecyi. Następnie wyjął małą książeczkę z kieszeni pod tytułem: Pieśni Childe Harolda — i objaśniał Helemu przygody jego podróży, treść pieśni i rozmarzał tym sposobem rozmarzonego już w wysokim stopniu chłopca. Opowiadał mu treść *Luizyady*, poety portugalskiego Camoensa, egzaltował sceny z wyprawy Kolumba, odkrycie Ameryki, i razem z Helim płynęli w tamte czarowne krainy na parostatku własnej fantazyi bujnej, poetycznej i wcale nie dziecinnej.

— Ach, to życie poetyczne! — wołał Heli w zachwycie, — wszystkobym oddał za życie poetyczne!

— Pojedziemy razem, tylko ja się wyuczę wszystkich języków, bo inaczej zginęlibyśmy wśród obcych ludów, przelecimy pustynie — przepłyniemy morza, zawiśniemy w obłokach nad górami, albo obłoki u nóg naszych spoczną — a my spojrzymy w przestrzenie nadobłoczne!

Wśród tej rozmarzonej gawędki, która nawet blade lica Helego różowiła, zjawił się po cichu Eustachy Januskiewicz i jakby zimną wodą oblał rozgadanych chłopców.

— O czym tak gwaro i górnolotnie? — rzekł z ironicznym trochę uśmiechem Eustachy.

— O tem, o czym ty nie marzysz nigdy, — odpowiedział Heli chmurno.

— Zkąd wiesz?

— Ztąd, że ty tylko lubisz rachować; zły jesteś jak w zadaniu masz myłkę.

— Ale za to bez rachowania z obłoków ty spaść możesz, bo coś podsłuchałem z waszej górnej rozmowy.

— Za to, że podsłuchujesz, chodź się bić lepiej otwarcie, — rzekł Heli.

Januszkiewicz miał wprost przeciwne usposobienie, był praktyczny, rozsądny i nie posiadał tej bujnej fantazyi, jaką mieli Ludwiś i Heli. Był trochę egoistą i nie uwielbiał Słowackiego tak, jak go uwielbiał Ludwiś, dla tego też Heli, będąc bardzo dobrze wychowanym, zaproponował Iliadę. I wszyscy pobiegli w dziedziniec bawić się w ulubioną wojnę.

### Wujaszek Fil.

Od dłuższego już czasu przebywał w Wilnie brat pani Salomei, Teofil Januszewski. Sprowadził się tutaj dla łatwiejszego studyowania malarstwa i założył własną pracownię. Do tej to pracowni uciekał często Heli, bo serdeczna sympatya łączyła go z wujem Filem. Januszewski ponad wszystko cenił arcydzieła starych mistrzów — zwłaszcza Rafaela.

Nietylko lubił odtwarzać ich dzieła, ale lubił o nich rozmawiać, a że sam posiadał w duszy bardzo wiele poezyi, ztąd rozmowa wujaszka Fila bywała zwykle bardzo poetyczna.

— Filu — mówił Heli, usiadłszy na niskim stołeczku przy stalugach, na których było świeżo naciągnięte płótno — zkąd Rafael brał wzory do swej oto tej tu pięknej Madonny, tak cudnie pięknej? — i wskazał chłopiec ręką na obraz zwany Della Seggia, który właśnie pan Januszewski miał przemalowywać.

— Żebyś ty wiedział, Heli, ile on się namęczył, nim

naszkicował pierwsze rysy którejkolwiek ze swoich Madonn!

— On, taki wielki malarz?

— Tak, Heli, on taki wielki, jakiego nie ma drugiego; on tak był przejęty świętością Matki Bożej, że każdy pomysł wydał mu się niegodnym jej rysów przyczystych.

— Więc jak radził sobie, mów Filu, mów.

I czarne swe oczy wpijał w twarz wuja, czekając na odpowiedź.

Pan Teofil złożył pędzle na stołeczku, paletę sparł na kolanach i sam ze wzrokiem, jakby gonił jaką mąkę przeszłości mówił:

— Ach ten wielki duch taki potężny, taki twórczy modlił się po całych nocach, wzywał Boga, aby mu dał choć senne widziadło godne tego, co duch jego marzył, a ręce wykonać nie były w stanie na płótnie. Spowiadał się, płakał, często przez sen wołał: już... już... mam ten ideał! zrywał się, nerwowo zacierał obraz malowany wczoraj, kreślił nowy we śnie widziany, i dopiero uspokojony zasypiał.

— A rano wujku mój drogi? — pytał Heli coraz bledszy na twarzy.

— A rano, zrozpaczony, mazał znówu, bo to nie było to, co widział, bo sen trwał krótko.

— Filu, każdy więc co tworzy coś, cierpieć musi, jak Rafael?

— Każdy wielki twórca cierpieć musi, ale za to, gdy stworzy coś genialnego, czeka go nieśmiertelna chwała!

Helemu oczy błyszczały gorączką;... o sobie myślał w tej chwili, o swojej chwale, o swojej przysiędze w kościele katedralnym. Wuj mówił dalej:



— Po jednej z takich nocy wyszedł o świcie na miasto. We Florencyi najpierwsi piekarze otwierają sklepiki. W okienku jednej maleńkiej budki piekarskiej ujrzał wyraźnie powtórzenie zjawiska sennego w postaci dziewczęcia, które trzymało główkę wspartą na rączce, a twarzyczkę zwróciło ku wschodzącemu słońcu. Dziewczynka była śliczna, a oświetlenie było przepyszne. I uciszył w sobie ducha wielki Rafael, uprosił rodziców dziewczynki, że pozwolili jej pozować mu w jego pracowni. Ta skromna, piękna Fornarina, widziana wpierw we śnie, ułatwiła mistrzowi oddanie na płótnie tych precudnych twarzy Madonn tak niezrównanie pięknych i wdzięcznych.

Heli słuchał, słuchał i marzył w duszyczce swojej, że to i poeta pewnie cierpieć musi, pisząc wiersze i że także znaleźć musi Fornarinę, aby coś pięknego stworzyć, coś takiego, żeby zasłużyć na nieśmiertelną chwałę. Przed oczami chłopca stanęła panna Ludwika Śniadecka, taka rozumna, taka całkiem inna od drugich panien, a on mały Heli tak bardzo lubił słuchać, jak mówiła i patrzeć na nią.

Pracownia wujaszka Fila rozmarzała chłopca, opowieści wuja o innych mistrzach, o życiu Michała Anioła, rozpałały coraz silniej w dziecku chęć zostania wielkim.

### Niemcewicz.

Pod koniec roku szkolnego 1819 w miesiącu czerwcu wpadł zadyszany Ludwiś do domu p. Becu, przebiegł salon i zapukał do drzwi pokoju p. Błotnickiego.

— Proszę wejść! — odpowiedział głos z wewnątrz. Ludwiś drzwi otworzył i zastał Helego przy lekcyi. Malec zerwał się, aby powitać przyjaciela.

— Cóż cię przywiodło w porze, o której wiesz, że zawsze mamy naukę? — zapytał trochę podrażniony pan Błotnicki.

— Przepraszam pana, ale Niemcewicz dziś przyjechał, jutro grają jego Kochanowskiego w teatrze, wielka uroczystość, nie mogłem ścierpieć, aby nie powiedzieć o tem Helemu, bo jeszcze nie wszyscy wiedzą o tem w Wilnie.

Heli z ciekawością zwrócił się do pana Błotnickiego i rzekł:

— Niemcewicz napisał „Śpiewy historyczne,“ te czytałem, ale co więcej pisał? Ja mało wiem o nim. Ty, Ludwisiu, musisz znać całego Niemcewicza, ja nie miałem sposobności, nie ma go w szafie mojej mamy,— tłumaczył się, jakby zawstydzony Heli.

Pan Błotnicki w krótkich słowach objaśnił Helemu, że Niemcewicz urodzony w Skokach na Litwie w roku 1758, kształcił się w wojskowej szkole w Warszawie, w korpusie kadetów. Potem został adjutantem księcia Adama Czartoryskiego, pracował nad ułożeniem Konstytucyi 3-go Maja, po upadku której wyjechał za granicę, złączył się z Kościuszką, był jego adjutantem i razem z nim dostał się do niewoli pod Maciejowicami. W półtora roku, uwolniony wraz z Kościuszką, udał się do Ameryki, tam się ożenił i zamieszkał. Wezwany przez ziomków wrócił do Warszawy i jako członek i sekretarz Komisji Edukacyjnej pracował dalej, jako literat i obywatel kraju. Kupił sobie Ursynów pod Warszawą i tam stale przebywał. Pisał ogromnie wiele w różnym kierunku, jako poeta i jako prozaik.

— To dla czego ja tak mało znam go dotąd? — rzekł Heli z wymówką — przecież ja wszystkie sławne poezye znać powinienem.

— Czekaj Heli — ja ci przyniosę dziś jeszcze jego „Powrót Posła“ i jego „Bajki i przypowieści“, — mam to u siebie.

— A Jana Kochanowskiego? nic nie zrozumieć w teatrze, trzebaż wpieryw przeczytać.

— Powoli, Heli, powoli, dopiero 10 lat masz niepełna, — rzekł pan Błotnicki. — Kiedy się już tak stało, żeś nam popsuł geografiją, mój Ludwisiu, to posłuchajcież obydwu tego Jana Kochanowskiego, jako najświeższego utworu Niemcewicza, bo z r. 1818. Nabyłem go sobie kilka dni temu.

— A któż ułożył muzykę? — zapytał Ludwiś.

— Nasz Kurpiński, sławny kompozytor polski. — W dwunastym roku życia już był doskonałym organistą w kościele we wsi Sarnowie w Poznańskim, potem zamienił organy na skrzypce i został kompozytorem.

Ukończywszy te wstępne objaśnienia, rozpoczął pan Hipolit czytanie Jana Kochanowskiego. Za ledwie chłopcy rozciekawieni siedli na swych miejscach, zapukał ktoś do drzwi. Heli zerwał się z gniewem, chcąc drzwi zamknąć na klucz, ale nim to zdążył uczynić wbiegła Hersylka, radośnie wołając:

— Heli, jutro idziemy do teatru, przyjechał Niemcewicz, grają...

— Jego Kochanowskiego — przerwał jej niecierpliwie Heli — wiem o tem dobrze, lepiej byś nam nie przeszkadzała, bo oto właśnie czytamy libretto...

— O, to pozwoli pan, posłucham i ja także.

— Bardzo prosimy! — i Ludwiś podał szybko krzesło Hersylce, a sam przysiadł się do Helego.

## W teatrze.

Nazajutrz wieczorem Heli nie posiadał się z radości w teatrze; rumieniec płonił jego bladą twarzyczkę, oczy mu się paliły ogniem, tak był przejęty, nie samą sztuką, odgrywaną na scenie, tylko owacyą, jaką zrobiono Niemcewiczowi. W uszach brzmiały mu oklaski, widział z zachwytem rzucane kwiaty, widział łzy radości, jakie płynęły z ocz siwego starca, poety. Widział jego szczęście, jego sławę, a w jego szczęściu i w jego sławie widział szczęście i sławę poety.

— O Boże daj mi sławę, choćby po śmierci, daj mi poetyczne życie! — szeptały drżące gorączką usteczka chłopca.

Heli nie rozumiał, że Wilno czcilo w Niemcewiczu nie tyle poetę, ile Polaka, który walczył dla kraju i za niego cierpiał, który pracował około Konstytucyi, około oświaty — a swoimi „*Spiewami*“ nauczył w najdalszych zakątkach Litwy historii ojczystego narodu, i wytrącił francuską książkę z ręki, wskazując, że i we własnym języku piękności znaleźć można. Nie wiedział Heli, że Niemcewicz ukazaniem się swoim przypominał Rąclawice i Maciejowice.

Wkrótce po owem przedstawieniu w teatrze wyjechali pp. Becu z panienkami i Helim do Mickun, posiadłości p. Becu. Mickuny, o 2 wiorsty od Wilna, położone były w rozkosznej dolinie nad Wilejką. Tam Heli mógł używać z całą swobodą pięknej, wiejskiej natury. A jednak nie cieszył się już, jak dziecko, które maga kozły na murawie, goni zapamiętałe muszkę lub motyla, który przed nim ucieka z kwiatka na kwiatek; biedny, niemy motyl, szczęśliwy, gdy go skrzydełka wyżej uniosą — ponad barwną siatkę swawolnego

chłopca! Nie jak dziecko, które chciwie objada purpurowe malin jagody i więcej po nad tę swobodę w naturze nic nie widzi. Heli patrzył już na wszystko okiem przyszłego poety, obserwował piękność ukwieconych, barwnych, tęczowych łąk nad Wilejką, podziwiał i smakował w ciszy natury przy wspaniałych zachodach słońca; rozumiał gwar południowy, kiedy to i ludzie i trzody i ptaki i pszczoły i wszystkie słoneczne owady czynią hałas, zlewający się w dziwny pogwar w powietrzu. On to wszystko już pojmoswać zaczynał, wrażenia te już głęboko działały na jego fantazyę i tak żywo wszystko z tych lat zapamiętał, że wspomnieniami tych najpiękniejszych chwil dzieciństwa karmił się ze łzami rozrzewnienia w ostatnich latach życia, a listy późniejsze do matki, z obcych stron pisane, wspomnieniami temi są przepelnione.

### Pierwszy mundurek.

Dotąd jako u dziecka

*Włos na czole dzielony, na ramiona spadał  
I po nich czarnym, gestym sypał się pierścieniem.*

Ten rodzaj noszenia włosów starannie ręką Olesi lub Hersylki codziem trefionych, musiał ustąpić miejsca poważniejszej fryzurze, jakiej wymagał mundurek, świeżo przez krawca przyniesiony. Po powrocie z Mirkun w końcu sierpnia 1819 r. mały Heli miał w pierwszych dniach września wstąpić do pierwszej klasy gimnazjum cesarskiego przy uniwersytecie Wileńskim. Po złożonym świetnie egzaminie, zamówiono u krawca mundurek, który się składał z fraka z granatowego sukna z wysokim, szafirowym kołnierzem, z białej kami-

zelki i białych spodni sukiennych. Przy fraku i przy kamizelce guziki były gładkie, poślacane.

Zawołany Heli, z radością oglądał frak oznaczający godność uczniowską i zaczął go przymierzać. Okazało się, że mundur leżał dobrze, sukno było w najlepszym gatunku, tylko Heli w tym fraku wydał się tak drobny, tak szczupły, że aż trochę śmieszny w tym poważnym stroju. Ale on tego nie spostrzegł, owszem z zadowoleniem oglądał pięknie świecące guziki i myślał, że nareszcie raz już przestaną go uważać za dziecko, a kto wie, może teraz i rektor Śniadecki spojrzy na niego — zobaczy go, że żyje. Zapłacono należność krawcowi, który, niski pokłon oddawszy, pokój opuścił.

Z wielką ciekawością oczekiwał Heli dnia następnego, w którym rozpoczynano rok szkolny. Nazajutrz o godz. 8-mej rano, przeżegnany przez p. Salomeę, poszedł Heli w towarzystwie p. Błotnickiego do szkoły; w bramie pożegnawszy swego mentora złączył się z gromadą uczniów I. klasy i podążył do przeznaczonych sali, do której dzwonek już wzywał. Dyrektor Jan Budziłowicz odwiedził wszystkie klasy, zachęcając wstępnie słowem do obojętnej pracy i przykładowych obyczajów. Następnie podyktował rozkład godzin i zaprosił młodzież, aby nazajutrz wszyscy zebrali się w katedralnym kościele o godzinie 8 rano dla wysłuchania Mszy św. gimnazjalnej, którą odprawi katecheta ks. Olszewski, poczem rozpuścił dyrektor wszystkich do domu. Heli wyszedłszy z klasy spotkał się na schodach ze Szpitznaglem i ucieszył się, bo mu było bardzo niemiło w gronie zupełnie obcych chłopaków, z pomiędzy których ani jeden nie chwycił go za serce.

— Wiesz co Ludwiku, — mówił Heli, — gdy wyszli już z gmachu na ulicę, — to wszystko jest tłum,

z którymi mieszać się trudno, trzeba tylko być z nimi grzecznie, ale zdaleka.

— Masz rację, innego ducha są, niż my. Ale profesorów mamy za to znakomitych, wszyscy kończyli uniwersytet, a niektórzy, jak Ignacy Szydłowski, profesor wymowy i literatury, mówię ci, wspaniały. Dziś przyjdę do ciebie po południu, przyniosę ci coś ciekawego do czytania.

— A co? — rzekł zamyślony Heli.

— Pogadamy, jak przyjdę! — bądź zdrow.

— Więc czekam napewno, dziś po południu.—I uściśnawszy rękę przyjaciela wszedł Heli do bramy gmachu uniwersytetu.

### Swedenborg.

Szpitznagiel, jak obiecał tak zrobił; po południu przyniósł dzieło „o pochodzeniu Aniołów“ Swedenborga. Heli wziął książkę do ręki i spytał:

— A czyż ja wiem kto to Swedenborg?

— Szwedzki filozof, przeczytaj no to, zobaczysz jak cię zajmie; ja jestem zachwycony i czuję w sobie jakieś anielstwo, czuję, że ogromny wpływ, gdy zechcę, mogę na drugą osobę wywierać samym tylko wzrokiem, a to jest skutek tego anielstwa. Zostać dziś nie mogę — mam zajęcie przy ojcu, polecił mi wrócić natychmiast. Książkę możesz dłużej zatrzymać.

Heli, zostawszy sam, zaczął książkę przeglądać, następnie czytać. W godzinach pozaobowiązkowych mógł czytać bez przeszkody. — Pan Błotnicki zajęty swemi pracami literackimi, nie wtrącał się do lektury chłopca. Ztąd wynikało, że Heli pochłaniał często

książki zgubne dla niego przez to, że były jeszcze dla jego dzieciennego umysłu za mądre. Męczył więc bardzo swój mózg, chcąc zrozumieć twierdzenia Swedenborga o Aniołach, a chociaż mu potem przyjaciel trudne ustępy wyjaśniał, korzyść z tego wynikła taka, że obydwaj uważali się za duchy wyjątkowe, zupełnie odmienne od reszty współkolegów, którzy przecież nawet o istnieniu Swedenborga ani pojęcia nie mieli. Na przechadzkach i w kościele wpatrywali się silnie z uporem w idące przed nimi lub stojące osoby, a gdy się kto wypadkiem odwrócił, uważali to za skutek siły swego spojrzenia. Heli jeszcze więcej stronił od kolegów i nie zyskiwał tym sposobem sympatyj, tego uczucia, które się z taką lubością wspomina w starszych potem latach. W szkole postanowił Heli być celującym w naukach i wzorowym w obyczajach, postanowił być pierwszym pod każdym względem i dążył do tego wytrwale przez ciąg całego gimnazyum, a zawsze, jako duch wyższy, czujący w sobie anielstwo. Rok szkolny minął szybko, zbliżył się egzamin, obchodzony bardzo uroczyście, w asystencyi wszystkich najpoważniejszych osób naukowych, przy udziale Biskupa Kundzicza i licznej publiczności, składającej się z rodziców, opiekunów i ciekawych. Egzaminowano uczniów wobec wszystkich. Heli odpowiadał świetnie, został ogłoszonym jako celujący, a następnie w „Kuryerze Litewskim“ nazwisko Juliusza Słowackiego, jako celującego ucznia wielkimi literami wydrukowane zostało.

### **Błękitny Filaret.**

Dnia 2 lutego w r. 1821 w dzień święta Matki Boskiej Gromnicznej w salonie pp. Spitznagłów przy ulicy



Zamkowej, zebrało się liczne grono znajomych, dla złożenia pani Spitznaglowej życzeń, jako w dniu jej imienin.

Heli ubrany strojnje, nie w mundurku, ale w aksamitnym czarnym kaftaniku, przepasany paskiem z błyszczącymi stalowymi klamrami, z kołnierzem od koszuli szeroko odwiniętym i odsłaniającym cienką, delikatną szyjkę, bawił się w pokoju trzech braci Spitznagłów. Z natury dumny i obraźliwy, rozpoczął wnet kłótnię z Olesiem, a podburzany umyślnie przez Ferdusia zaczął bitkę na prawdę. W chwili, gdy złość malców doszła już do koguciej zajadłości, otworzyły się drzwi cichutko i do pokoju wsunął się szczupły młodzieniec, brunecik niewysoki, o bardzo sympatycznej powierzchowności. Z zaciekawieniem patrzył na bitkę chłopców, którzy spostrzegłszy, że Ludwik podbiega ku drzwiom i kogoś wita, nagle bić się przestali. Nieznajomy Helemu młodzieniec, spojrział na niego uważnie, bardzo uważnie, a potem uśmiechnąwszy się wesoło, zapytał Ludwika, kto jest ten chłopczyk?

— Juliusz Słowacki, mój serdeczny przyjaciel.

— Twój przyjaciel, on, takie dziecko?

Usłyszawszy to Heli, ironicznie się uśmiechnął i z pewnem wyzwaniem w oczach, śmiało spojrział na nieznanego mu młodzieńca, ale ten opuścił wnet pokój i przeszedł do salonu.

— Kto on jest? — spytał ostro Heli Ludwika.

— Antoni Edward Odyniec; w przeszłym roku wstąpił na uniwersytet, należy do partji Błękitnej Filaratów, zdolny, przemify, serdeczny, wesoły i już drukujący się poeta. Bardzo go lubimy, z rodzicami jego

moi rodzice żyją oddawna w przyjaźni. Całe Wilno za nim przepada.

Heli uczuł coś niemiłego w sercu, słysząc, że ten chwalony młodzieniec jest już poetą, że naokoło niego ciągle się kręcą poeci; — zdawało mu się, że dla niego już miejsca, jako dla poety, nie będzie.

Gdy po skończonej zabawie towarzystwo salon opuszczało, pani Becu, na którą Odyniec nadzwyczaj miłe zrobił wrażenie, zaprosiła go, aby ją odprowadził do domu. Przez drogę młody poeta zapoznał się bliżej z małym Słowackim i zrozumiał, że ten wątpy chłopiec miał już duszę nad wiek rozwiniętą, a fantazyę bardzo już wybujałą. Zrozumiał również, dla czego Ludwiś Spitznagiel mógł się z nim przyjaźnić.

### Żywy obraz.

Dzięki znajomości pani Becu, młodziutki Odyniec dostał się do Kasyna, którego stał się zwyczajnym członkiem. W Kasynie zgromadzało się najbardziej wytworne towarzystwo, tak ze strony mężczyzn jak kobiet. Bawiono się tego roku wybornie, a Odyniec rejs wodził na wszystkich zebraniach. Karnawał zapowiadał się świetnie, podawano różne projekta zabaw, a między innymi postanowiono urządzić żywy obraz, mianowicie scenę z *Jerozolimy Wyzwolonej*, *Tassa*. Odyniec miał przedstawiać włoskiego poetę *Tassa*, a trzy dziewice, najpiękniejsze z panien będących w Wilnie, miały poetę wieńczyć za jego utwór. Obraz miał układać malarz Rustem. Ponieważ w tym obrazie występowała Olesia Becu, więc i Heli był obecny na przedstawieniu. Gdy obraz odsłonięto, Tasso za-

czął czytać swe pieśni — a trzy dziewice, po skończonym czytaniu, włożyły mu wieniec na głowę i obrzuciły kwiatami. Publiczność oklaskami wielbiła poetę.

Heli zachwycony był, serce mu biło mocno, gdy patrzył na ten udany tryumf poety, on rozumiał, że tak było niegdyś istotnie, — że prawdziwy Tasso był zarzucony kwiatami. I znów marzył o swojej sławie i prawie płakał, że tak długo na to czekać jeszcze mu trzeba.

I w domach prywatnych bawiono się wybornie — a podczas gier lub sądzenia fantów, nawet starsze osoby nie wymawiały się od wyroku, jaki fant ich otrzymał. I raz zdarzyło się, że pani Becu było nakazane wjechać do salonu na ośle. Cóż było począć — należało szukać dowcipnego sposobu. I oto za chwilę, ku uciesze wszystkich gości, drzwi się od przedpokoju otworzyły, i na ośle wjechała pani Salomea z dzieckiem na kolanach. Osłem był ucharakteryzowany pan Teofil, a dzieckiem trzymanem na kolanach, był Ferduś. Pani Becu siedziała z ręcznikiem na plecach swego brata. Duszą zgromadzeń bywał zawsze Odyniec, ten wesoły, błękitny Filaret z gotowym wierszykiem na ustach; w przyjaźni swej szczery i oddany temu, kogo pokochał, był również przez wszystkich lubiany.

Heli jednak nie miał nigdy do niego sympatyj, a i Odyniec nie nazbyt go lubił.

---

### **Książę Adam Czartoryski.**

Niedługo po uroczystości, jaką Wilno wyprawilo na cześć Niemcewicza, zjechał książę Czartoryski, kursor i minister oświaty na Królestwo i Litwę. Z księciem zjechało wielu poetów i literatów warszawskich,

między innymi najślawniejszy Karol Sienkiewicz, który był wówczas sekretarzem ks. Adama. Książę zwiedzał uniwersytet, którego rektorem był Szymon Malewski, bo Jan Śniadecki już się od obowiązków, jako rektor usunął. Czartoryski miał bardzo ważną misję — chciał się przekonać, jak młodzież zachowuje się tak w uniwersytecie, jak i po gimnazyach, odnośnie do rządu rosyjskiego. W Królestwie bowiem chodziły głuche wieści, że Nowosilców, adjutant W. ks. Konstantego, zaczyna odkrywać jakieś tajemne związki młodzieży, a sprawy takie mogłyby ściągnąć wielkie prześladowanie. Ostrzegał więc młodzież i dyrektorów, aby czuwali gorliwie i niczem się nie przyczyniali do zniszczenia oświaty, która się teraz tak wspaniale i swobodnie rozwija. Pan Karol Sienkiewicz, bywając w domu pp. Becu, zaproponował p. Błotnickiemu, czyby nie przyjął miejsca w domu księcia Adama do jego syna Witolda. Korzyści były ogromne, pan Hipolit nie namyślał się długo i Helego, choć z żalem, pożegnał i do Puław odjechał. Miejsce p. Błotnickiego zajął wkrótce młody poeta, bajkopisarz Józef Massalski. Był to człowiek zdolny, pełen humoru, dowcipu, rymujący na zawołanie, ale nie mający już nigdy tego dobrego wpływu na Helego, jaki miał Błotnicki. Heli lubił Massalskiego, ale go w niczem nie słuchał, a Massalski, nie trapiąc się o to wiele, zwykł mawiać: „i cóż pocznę z tem dyabłątkiem“. Teraz już Heli zostawał wyłącznie pod wpływem Spitznagla i trochę, dobrego, serdecznego wuja Fila. Matka i przybrane siostry nie sprzeciwiły mu się nigdy w niczem, a troskliwością o jego najdrobniejsze potrzeby sprawiły, że Heli żył, jak w zaczerpniętym świecie, w którym jadł, pił, mył się, czesano go, ale nigdy nie pomyślał nawet, że ktoś robi za niego

to, coby on sam obowiązany był spełnić sam dla siebie. Zapytany, na co go Bóg stworzył, odpowiedziałby bez wahania: „na poetę“, a co masz robić, rzekłby: „wiersze pisać“, a jakie powinno być twoje życie? — „poetyczne, bardzo poetyczne“.

### Poeta — Wieszcz.

W r. 1822, w śnieżny wieczór grudniowy, salon pani Salomei zapełniał się powoli gośćmi. Szczególnie dzisiejszego wieczora zebrało się liczne kółko ze Śniadeckim Janem na czele. Rozmowa potoczyła się na temat poezyi. Starsi panowie zaczęli dowodzić zepsutego smaku młodych poetów, wyśmiewali dziwactwa ich pomysłów, potępiali, że odstępują od praw poezyi klasycznej,<sup>1)</sup> a wytwarzają nową niedbałą formę wiersza, nazywając szumnje *Romantycznością*.<sup>2)</sup> Do rozmowy wmieszała się młodziutka pani Zofia Balińska, córka Jędrzeja Śniadeckiego. Sprowadziła rozmowę na temat poezyi francuskiej — mianowicie ulubionego swego poety *Rasyna*. W głębi salonu w kąteczku siedział Heli, słuchał i milczał, ale wargi mu drżały to z chęci mówienia, to z gniewu. Nareszcie, gdy

---

<sup>1)</sup> Klasycyzm, wyraz grecki, oznacza sposób pisania, podług którego musi być zupełna zgoda między treścią a formą, czyli między myślą a słowem. Klasycyzm odrzuca fantazyę.

<sup>2)</sup> Romantyzm — wyraz nowożytny oznacza sposób pisania, podług którego myśl nie potrzebuje stosować się do formy, ztąd w jednym i tym samym utworze może być rozmaita miara wiersza rozmaity rym stosowany, i męski i żeński. Rym męski stanowi ednozgłoskowy wyraz. Rym żeński stanowi wielozgłoskowy wyraz. Podstawą romantyzmu jest fantazyja i uczucie.

pani Balińska zanadto już swe uwielbienie dla Rasy na objawiała, nie mógł chłopiec wytrzymać, i mimo zakazu matki, zerwał się ze swego miejsca, zbliżył szybko do stołu i głosem wzruszonym, nerwowym zaczął wypowiadać swoje myśli o Raszynie. Pani Becu poczęła go strofować, nakazywała milczenie, ale Heli, jakby tego nie widział, mówił i mówił, aż ktoś z obecnych surowo go upomniał:

— Raszyn nie stanie ci na drodze do sławy, trzeba tylko na nią zasłużyć, a takiemu jak ty poecie, to nie trudno przyjdzie, — dodał z przekąsem.

Heli umilkł; rozgoryczony, nie upokorzony, dumnie wrócił na swoje miejsce. Biedny chłopiec sam wśród starszych, a już w duszy poeta, nie miał się przed kim wywnętrzyć; kazali mu milczeć, milczał, ale piołun miał w sercu. W salonie brakowało jeszcze Odyńca. Pani Becu zapytywała panią Spitznaglową, czy nie chory, że go dziś nie ma w tak dobranem kółku. Wnet się jednak uspokoiła, bo oto zjawił się Odyniec w towarzystwie młodego człowieka, starszego trochę od siebie, a zbliżywszy się do gospodyni domu, przedstawił go słowami:

**Adam Mickiewicz.**

Pani Becu z widoczną radością szybko wyciągnęła rękę do młodzieńca, wskazując mu wolne krzesło obok siebie.

— Tak bardzo pragnęłam widzieć pana w moim domu! Szczęśliwą się czuję, witając go dzisiaj. Jak dawno pan w Wilnie?

— Ja z Kowna przyjechałem przed tygodniem.

-- Na długo?

— Sam jeszcze określić nie mogę.

— Słyszałam, że pan chorował?

— Zdrowy już jestem, ale wypocząć trzeba trochę i rozerwać się wśród dawnych przyjaciół i kolegów.

— Pan znalazł wygodne pomieszczenie?

— O tak; zamieszkałem u serdecznego mego przyjaciela i szkolnego kolegi Czeczota. Dobrze mi tam, miło i spokojnie.

Nagle Adam Mickiewicz odwrócił głowę i spostrzegł utkwione w siebie wielkie, czarne oczy Helego. Spojrzał na chłopca uważnie..... starszy poeta i wieszcz na młodziutkiego poetę przyszłości. Zrozumiała ten wzrok pani Becu sercem matki i wezwała do siebie syna. Gdy się zbliżył młody Juliusz, p. Salomea wzięła go za rękę, przyciągnęła do Adama mówiąc:

— To syn mój jedyny Juliusz, on także pisze już wiersze; ja panu przeczytam kiedy jego drobne poezye, pan osądzi czy Heli ma zdolności. Przyjdź pan kiedy, nie w godzinie zebrań, rano przed 12-tą najlepiej. Czy dobrze?

Uprzejmy ukłon Adama był odpowiedzią.

Heli stanął znów w kątku naprzeciwko wielkiego poety i patrzył w tę twarz bladą, melancholijną, w te prześliczne szafirowe oczy, w to czoło gładkie, okryte bujnym, ciemnym włosem i w te usta lekkim sarkazmem zaprawne. Powoli wzrok jego padł na ubiór poety... ten wydał mu się za mało staranny. Następnie przyszła mu na myśl sława, jaką już był Adam otoczony, i gorzko mu się w duszy zrobiło i sposępniał młody chłopczyzna... i z lękiem już na nowo patrzył w Adama i myślał:

— Tego już nie prześcignę...

Mickiewicz czuł ciągle na sobie zwrócony wzrok dziecka i doznawał wrażenia przykrego, jakby przecucia, że ten chłopiec patrzy na niego z niechęcią i patrzyć zawsze tak będzie. Młodzież pociąga Adama w swe kółko, starsi bowiem uczeni nie interesowali się poetą zupełnie, a nawet szydzili z jego poetycznych „wykoszlawionych“ wybryków, tak bowiem nazywali poezye Adama.

### Szubrawcy.

Nazajutrz po pierwszej bytności Adama w salonie swej matki, Heli pobiegł do Spitznagla podzielić się wrażeniami.

Zastał go w domu, co teraz rzadko się trafiało, bo Ludwik, będąc już na pierwszym kursie w uniwersytecie bardzo był zajęty i więcej obcował z młodymi poetami, którzy chętnie przypuszczali go do siebie, podziwiając w nim nadzwyczajną fantazyę i zadziwiającą pamięć.

— Wiesz, był u nas wczoraj Adam, poznałem go.

— Był? to dziwne, prawie nigdzie nie bywa, smutny czegoś strasznie i bardzo zajęty swemi poezjami. Wydaje je, rozumiesz, będziemy czytać wszyscy te brylanty jego ducha. To perły będą, szmaragdy, duchy nadjeziorne, skotłowane wody, najady! Eh, co tylko wyobraźnia, wiesz, taka nasza wyobraźnia, przedstawić sobie może. Mówił mi o tem trochę Odyniec; on wkradł się w jego łaski, Adam, choć starszy, dziwnie go polubił i zaufał mu.

— Obiecał przyjść moje poezye przeczytać, — rzekł Heli, — ciekawym, co też powie?



— Chodź ze mną dziś wieczorem do Śniadeckich.

— Do których?

— Do Jędrzejów; wiesz, ciekawy wieczór będzie; zejść się mają Szubrawcy, Szydłowski ma czytać odę na powitanie nowego członka, on cięty i dowcipny. No i p. Ludwika gospodarzyć będzie i kalteszan nalewać — rzekł z lekkim uśmiechem, bo dobrze wiedział, że Heli niezmiernie lubił Ludwikę Śniadecką, a nawet obrał ją sobie za swoją Fornarinę, na podobieństwo Rafaela.

— Dobrze, pójdę, lubię Szydłowskiego, tylko nie godzę się z jego klasycyzmem, toż to niewola dla ducha.

— Nie trap się, i Szydłowski pójdzie kiedyś za nami, już dziś szalenie zajmuje go Byron, cóż to znaczy? to znaczy, że mu się podoba duch Byrona, a więc nie wytrwa w przestarzałej formie klasycznej. No, idziesz ze mną?

— Idę, ale wstąpmy jeszcze do domu, bo ani Masalski, ani mama nie wiedzą, gdzie jestem.

Massalski, dowiedziawszy się o projekcie młodzieńców, wybrał się z nimi także, bo sam dowcipny, lubił słuchać dowcipów.

Gdy weszli zastali już towarzystwo zebrane, usiedli w rogu salonu. — Ówczesnym zwyczajem młodzież mogła się znajdować pośród starszych, ale udziału w rozmowie nie brała. Na pierwszym miejscu siedzieli obaj bracia Śniadeccy, obok prezes towarzystwa Szubrawców Dr. Jakób Szymkiewicz, następnie inni członkowie jak: Lachnicki, obywatel, założyciel pisma Szubrawców „Wiadomości Brukowe“, Michał Baliński, zięć Jędrzeja Śniadeckiego, Marcinkowski i wielu jeszcze innych członków stowarzyszenia. Pogawędka toczyła się na temat francuzczyzny, która

zakradła się już nietylko do domów bogatych, ale nawet i pod strzechy inteligencji wiejskiej. Szydłowski jeszcze ze swą odą nie występował, bo brakowało Kazimierza Kontryma, założyciela Szubrawców. Nadszedł i on nareszcie w towarzystwie młodego o wydatnej powierzchowności młodzieńca.

— Zan przyszedł, nie znasz go jeszcze! — i z tymi słowy Ludwiś podszedł do młodzieńca, a Kontrym witał całe zgromadzenie.

Zan razem z Ludwikiem siedli obok Helego; Spitznagiel przedstawił przyjaciela Zanowi, który z dziwną dobrocią i serdecznością powitał go i zaraz z nim zaczął rozmowę.

Tymczasem Szydłowski powstał i zaczął czytać swą odę, którą napisał wierszem dowcipnym, ściśle klasycznym, na powitanie nowo wstępującego do ich grona obywatela. Oda ta nazywała się *Witajna*, a ten kto ją układał *pierwszy Witajnik*. Następnie Kontrym objaśnił „Kodeks szubrawców“ tj. obowiązki, ciążące na nowym członku. Objąśniał w wyrazach: „Trzeba ogołocić swą duszę z wszelkiego brudu, z wszelkich przesądów, z wszelkiego fałszu, tak ją z tego wszystkiego obdrzeć, jak obdarty jest szubrawiec z wstydu, cnoty i uczciwości. My szubrawcy wejść musimy między prawdziwych szubrawców i chłostać będziemy ich wybryki, ich nieudolność, ich małoduszność, ospałość i lenistwo. My sami trzeźwi, chłostać musimy opilstwo, rozpustę, uciemężanie ludu; my i do kobiet zabrać się musimy; zniszczyć trzeba ich ślamazarny sentymentalizm, który zaprowadziła w kraju literatura francuska, a natomiast wprowadzić język Kochanowskich, Krasickich i Trembeckich. To wzory dla naszej mowy!“

Po tych słowach rozległ się okrzyk:

— Niech żyją Szubrawcy z ich dążnościami!

I każdy wychylił szklaneczkę kalteszanu, tego osobliwego litewskiego napoju, sporządzonego rączką panny Ludwika.

Następnie nowemu członkowi polecono obrać sobie za symbol jakie bóstwo starolitewskie, objaśniając, że Jędrzej Śniadecki ma za swój pseudonim bóstwo *Sotwaros*<sup>1)</sup>, Szymkiewicz *Perkunos*<sup>2)</sup>, Szydłowski *Gulbi-Dejwas*<sup>3)</sup>, Baliński *Auszlawis*<sup>4)</sup>.

Heli przysłuchiwał się z wielkiem zajęciem i był bardzo rozochocony tego wieczoru, tem bardziej, że panna Ludwika, nie mogąc zasiąść między Szubrawcami, zbliżyła się do młodzieży — i żywą rozpoczęła pogawędkę z Zanem.

Najpierw poczęstowała go szklaneczką kalteszanu, ale Zan z pełną wdzięku uprzejmością odmówił:

— Mnie nie wolno, choćby nawet kalteszanu — woda lub mleko jedynym moim napojem.

— Czy doktor wzbrania? — rzekła z żartobliwym uśmiechem p. Śniadecka.

— Owszem, doktor zaleca, mówiąc, że m błady, bezsilny, ale moje przekonania i postanowienia trzymają mnie od trunków zdaleka.

— Więc tak surowi filomaci<sup>5)</sup> jesteście — i wszyscy tacy?

— Wszyscy, jeden w drugiego.

— I dużo was?

---

<sup>1)</sup> Sotwaros — bóg litewski *skowroc*.

<sup>2)</sup> Perkunos — bóg litewski grom.

<sup>3)</sup> Gulbi Dejwas — bóstwo opiekuńcze dla mężczyzn.

<sup>4)</sup> Auszlawis — święty wąż.

<sup>5)</sup> Filomat — miłośnik nauki.

— Nas filomatów nie wielu, ale promienistych<sup>1)</sup> całe szeregi, filaretów<sup>2)</sup> bardzo wielu. Ale i to wszystko się kończy niestety!

— Jakto, dla czego?

— Rozwiązał nas ks. Adam.

— Dla czego?

— Dobrze nie wiemy — roztropność nakazuje ostrożność. Biedny Pietraszkiewicz miał nakazane wszystkie nasze papiery z archiwum spalić. Płakał jak dziecko.

— I spalił?

— Spalił, kazano.<sup>3)</sup>

— Jakże panu się powodzi na pensjonatach żeńskich, czy i tam są promienistki? — znów z lekkim żartem spytała p. Ludwika.

— Powodzi mi się świetnie; coraz mniej zirancu-  
ziałych Polek, coraz mniej egzaltowanych dziewczeczek,  
a coraz więcej pracowitych, rozumnych, trzeźwo i prak-  
tycznie na życie patrzących panien. Co do promie-  
nistek — to są promienne dziewczątka cnotą, ale nie  
wiążą się w żadne stowarzyszenia; to dobre dla chłop-  
ców zostawionych samym sobie, dla takich stowarzy-  
szenie zastępuje dom, ojca i matkę.

— Urządzą panowie majówkę?

— Na przyszłą sobotę — jeśli pogoda dopisze —  
chcemy jakoś rozruszać Adama; zgnębiony, milczący,  
aż się boimy o niego.

— Tak go kochacie?

<sup>1)</sup> Promienisty — zwolennik Zana.

<sup>2)</sup> Filaret — miłośnik cnoty.

<sup>3)</sup> Papiery nie zostały spalone, lecz ukryte w ziemi i są obe-  
cnie złożone w Akademii Umiejętności w Krakowie przez prof.  
Józ. Kallenbacha.

— Pani dajesz to pytanie? A cóż my znaczymy bez niego, bez jego myśli, bez jego ducha, bez jego piosenki? Każda majówka bez Adama, to jakby Maj bez słowika, wiosna bez słońca i kwiecia.

Twarz Zana zabłysła promiennie i Heli naocznie się przekonał, jaki blask wydawały jego oczy, gdy dusza czemś wielkiem lub serdecznem poruszoną została.

Starsi panowie zaczęli się rozchodzić. — Spitznagiel więc z Helim, pożegnawszy pannę Śniadecką, pierwsi salon opuścili.

### Zniewaga Mickiewicza.

Wkrótce ukazały się w maju w r. 1822 dwa tomiki poezyi Mickiewicza pod tytułem: „*Ballady i Romanse*,“ Z niesłychaną ciekawością rozchwytywano tę nowość, tak pod względem formy wiersza jak treści. Zachwycona młodzież wydzierała sobie z rąk do rąk tomiki, wszystkie panie jednozgodnie uznały Adama za największego poetę i ubiegały się o jego znajomość. Pani Becu zaraz przez Odyńca postarała się o *Ballady* i jako najpiękniejszą ozdobę w salonie swoim na stole położyła.

Heli jeszcze wcześniej dostał poezye od Spitznagla, który je już na pamięć powtarzał, a oczarowany treścią i formą odczytywał poraz już może dziesiąty i uczył się na pamięć. Nie wszyscy jednak przyjęli ten tomik czysto romantycznej poezyi życzliwie; całe kółko klasyków ze Śniadeckim i Szydłowskim na czele nietylko, że odrzucili te „brednie“, ale wpadli w zapamiętały gniew. Zwłaszcza Jan Śniadecki, uchodzący dotąd w Wilnie za wyrocznię w kwestyach nauki i literatury, był tak rozgniewany, tak oburzony, że po-

szedł wieczorem umyślnie do pp. Becu, aby tam się wyżalić na upadek młodego pokolenia.

W salonie zastał już jak zwykle liczne grono gości; dopatrzył wchodząc i Mickiewicza, który smutny, milczący, siedział na uboczu. Śniadecki udał, że go nie widzi, nie powitał go wcale, natomiast ujrawszy Ballady na stole, ściągnął gniewnie swe brwi krzaczaste i rzekł ostro, siadając przy stole:

— A i tu leżą te bzdurstwa! — i ciągle udając, że nie widzi Mickiewicza, niemiłosiernie zaczął drwić, czytając różne ustępy ze Świtezianki, Rybki, Świtezi i t. d. Ośmieszał treść, ośmieszał formę, a przeczytawszy „*Romantyczność*” cisnął książkę z gniewem i tak się uniósł, że głośno zawołał:

— Jak śmiał taki młokos, niedowarzony jeszcze, taki smorgoński poeta, tak bezczelnie wystąpić przeciwko zasadom i prawidłom zdobytym całym życiem mozolnej naukowej pracy.

Do Śniadeckiego przyłączył się sam pan Becu, który był wizytatorem szkół na całą Litwę, więc i na Kowno, i obydwaj zaczęli gromy rzucać na Adama, wybuchając co chwila szyderskim śmiechem, przy czytaniu najpoetyczniejszych ustępów. Pani Becu nic nie mówiąc, milczała.

Cóż się działo z Adamem? Zbladł jak chusta, zadrżał w sobie szlachetnym i słusznym żalem, zrozumiał śmieszna rolę w jakiej się znajdował, on, który nigdy dla siebie hołdów nie wymagał; odezwać się nie mógł, bo on młodziutki, a Śniadecki uczony starzec, bo on nauczyciel ubogi, płatny, a Becu Wizytator, mogący mu szkodzić wobec władzy! Zważywszy to wszystko w jednej sekundzie myśli, wstał i spokojnie salon opuścił.

A co robił Heli obecny tej scenie? Siedział w kącie swoim i płakał z gniewu, że ten Śniadecki i ojczym jego poniewierają najpiękniejszą fantazyę, ujętą w formę dotąd nieznaną; płakał nad sponiewieraną perłą ducha genialnego poety; nie płakał nad Mickiewiczem, jego nie było mu żal, tylko żal było mu wyśmianej poezyi.

Szkaradną tę scenę przerwało wejście młodego człowieka, ku któremu wszyscy z prawdziwym zwrócili się szacunkiem od Śniadeckiego zaczawszy. Był to Joachim Lelewel.

Rozmowa przeszła na temat historyi, składano mu życzenia, aby i nadal wykłady jego ściągaly tak licznych słuchaczy i słuchaczki; mówiono, że sale ich nie pomieszczą, że teraz historia w zupełnie innym świetle przedstawia się społeczeństwu, wróżono mu świetną przyszłość. Lelewel spokojnie przyjmował te objawy życzliwości i rozmowa weszła na inny zupełnie temat. Heli nie znał Lelewela zbliska, począł go więc swoim zwyczajem obserwować i dostrzegł na nim ubiór szary, skromny, zaniedbany, dopatrzył spodnie schowane w buty z cholewami, a nawet, że kutasy u butów nie były pochowane. W końcu zdecydował, że wygląda raczej na ekonoma z Mickun, niż na profesora uniwersytetu i takiego sławnego historyka.

Po rozejściu się gości, Heli rozdrażniony w wysokim stopniu dzisiejszym wieczorem, rzekł do matki:

— Widziałaś mamó buty Lelewela? A widziałaś nie pochowane kutasy? Jak można tak niedbale ubranym przyjść do wykwinanego salonu; już ja go inaczej nie nazwę nigdy, tylko „kutasy u butów,“ pamiętaj, mamó, to będzie przydomek Lelewela, dany mu przezemnie!

---



Joachim Lelewel.





## Majówka na Markuciu.

Biegły lata szkolne szybko. Heli, coraz już częściej nazywany przez dalsze otoczenie Julkiem, uczył się stale celująco; przyjaźni z nikim nie zawierał, a dawni lat dziecinnych przyjaciele, Ludwik i Eustachy, odbiegli go już daleko, będąc w uniwersytecie. Talent poetycki rozwijał się w chłopcu coraz wyraźniej; Mickiewicz przeczytawszy jego poezye, wróżył mu świetną przyszłość, a Julek marzył o niej z rozkoszą. Dowiedziawszy się, że majówka Filaretów napewno się odbędzie w sobotę, postanowił Heli raniutko wyjść na miasto, aby się przypatrzeć pochodowi studentów. O godz. 5 rano był już w kaplicy Ostrej Bramy; przed ołtarzem wsporniale oświetlonym klęczało studentów tylu, ilu kaplica mogła pomieścić. Ks. Olszewski, katecheta Julka, odprawiał Mszę św. Po Mszy wyruszyli studenci w pochód, podzieleni na grupy podług wydziałów naukowych, jakie studyowali. Każda grupa była odznaczona właściwą barwą. Za studentami ciągnął wóz napełniony zapasami, był tam chleb, masło, sery, ciasta, owoce, blaszane dzbany z mlekiem, misy gliniane i łyżki drewniane. Dla wypicia zdrowia Zana i Mickiewicza, była mała flaszką miodu kowieńskiego, a dla Adama butelka piwa i fajka. Studenci, wychodząc, śpiewali filarecką pieśń, która się zaczynała temi słowy:

*Pochlebstwo, chytrość i zbytek,  
Niech każdy przed sobą miota,  
Bo tu mają swój przybytek  
Ojczyzna, nauka i cnota.*

Byłby chętnie Heli pobiegł za nimi na Markucie — ale było to trochę za daleko, zresztą nie wypadało nieproszonemu tak się wciskać między starszych, wrócił

więc do domu i o zwykłej godzinie poszedł do szkoły. W tym samym dniu obiegła Wilno nowina, że zjechał W. książę Konstanty ze swoją świtą i przybożnym adjutantem hrabią Nowosilcowem. Jakiś lęk ogarnął Wilno, bo W. ks. Konstanty znany był ze swego usposobienia dzikiego i kapryśnego. Wiedziano, że Nowosilcow był zawzięty wróg wszystkiego, co polskie. W kilka dni po przybyciu Nowosilcowa, w gimnazyum w klasie 5-ej Michał Plater napisał na tablicy tych kilka słów: „Wiwat Konstytucya 3 Maja! jak słodkie wspomnienie dla nas rodaków! lecz nie ma, ktoby się o nią upomniał“. Trzech innych chłopców razem z Platerem układało na pauzie to zdanie, mianowicie: Januszewski z Kroź, Moleson i Tyra z Kiejdan i jedenastoletni Więckowicz z Poniewieża. Było to przed lekcją prawa politycznego, które wykładał dr. Józef Skoczkowski. Gdy spostrzegł profesor to zdanie na tablicy, kazał zmazać natychmiast i zastrzegł, by więcej w to się nie bawić, bo w szkole zawsze na każdym kroku roztropnym być należy. Zdawało się, że rzecz skończona, wszyscy o tem zapomnieli. Tymczasem, niewiadomo, jakim sposobem, wiadomość o Platerze doszła do gubernatora Korsakowa; ten wezwał natychmiast dyrektora i profesora prawa Skoczkovskiego. Po surowem napomnieniu, kazał dyrektora aresztować --- gimnazyum chwilowo zamknąć, a całą sprawę oddał pod sąd W. ks. Konstantego.

Przerażony Heli wrócił do domu o nieswojej porze i opowiedział ze smutkiem co się stało w szkole. Wszystkich zdjęła trwoga, a p. Becu, dowiedziawszy się jak rzeczy stoją, poszedł do gubernatora po więcej wiadomości.

### Nowosilcow w r. 1822.

Ze złożonego raportu gubernatora Korsakowa, przewrotny Nowosilcow wyprowadził wniosek, że postępek Platera jest straszną zbrodnią wobec państwa rosyjskiego, bo zapowiada bunt młodzieży. Wezwał więc do siebie rektora Uniwersytetu Józefa Twardowskiego i polecił mu, aby zarządził jak najsurowsze śledztwo, dla wybadania Platera i 4 jego współników, w jakiej myśli takie zuchwalstwo popełnili. Zgnębiony tym obrotem sprawy rektor, wezwał chłopców do siebie i przekonał się, że prócz czysto patryotycznego uczucia żadnej innej myśli nie mieli.

Udał się więc do Nowosilcowa i rzekł:

— Wasza Ekscelencyo, chłopcy ci, których ściśle i surowo badałem, nie mieli żadnego innego celu w napisaniu tych słów, jak zwykłą co rok powtarzającą się radość z ustanowienia Konstytucyi 3 Maja. Zupełnie niewinna zabawka.

— Ja znam wasze niewinne zabawki i znam waszą radość patryotyczną, która prowadzi zawsze do buntu. A czegoż to u was tu uczy Lelewel? Dla czegoż to setki słuchaczów idą na jego wykłady? A wasz Gołuchowski? Czytałem jego filozofię — wiem, wiem do czego dąży jego moralność!... Słyszę, wy tu i prawo polityczne wykładacie już w gimnazyum, śliczne rzeczy! Czartoryski zwaryował, skoro na to pozwala. Ale ja trzeźwo patrzę na was, Platera i współników natychmiast pod areszt wziąć każę, oni mi tam przy Botwince wszystko wyśpiewają. A pan zajmiesz się wyśledzeniem tajnych związków studentów i zdasz mi ściśły raport o tem. Dość tych Filaretów, jużście się ubawili, teraz na nas pora.

— Wasza Ekscellencyo, — rzekł przerażony w duchu rektor, — ja przysięgam, że chłopcy są niewinni, a w uniwersytecie żadnych związków nie ma. Proszę najściślejsze przeprowadzić śledztwo — jestem zupełnie spokojny.

— No to jeszcze spokojniejszym pan będziesz w areszcie — a mnie dopomogą w śledztwie inni, znajdziecie sobie oddanych i wynagrodzić potrafię!

Rektor już do domu nie wrócił, a młodzieńcy Plater wraz z czterema kolegami został zrazu zamknięty w areszcie a potem surowo uwięziony. Nowosilcow wezwał do siebie profesora Pelikana i dr. Becu. Lelwel i Gołuchowski zostali usunięci. Wydział historii filozofii i wymowy został zniesiony, ks. Adam Czartoryski otrzymał z kuratorstwa zwolnienie, a ministrem oświaty Nowosilcow zrobił siebie. Teraz nastąpiła straszna gonitwa za dziećmi po całej Litwie, aresztowano chłopców w różnych stronach bez najmniejszej winy. Nowosilcow dla wyłudzenia zeznań kazał katowi swemu, Botwince, siec dzieci różgami aż do omdlenia, aż do śmierci nawet. Potem zajechały kibitki i te blade, przerażone, skute w kajdany z ogolonemi główkami widma dziecinne powleczono w głąb Rosyi w żołdacy. Słów nie ma na wypowiedzenie głuchej rozpaczki dzieci tych, ich ojców i matek!...

W ślad za gimnazjum rozpoczęto śledztwo w uniwersytecie. Pytany jeszcze raz Twardowski oświadczył, że żadnych związków nie ma.

— A wasz Mickiewicz, poeta, on zagrzewa kolegów do buntu — on filaretów poucza i piosenki im śpiewa.

—Ależ, Wasza Ekscelencyo, Mickiewicz już dawno skończył uniwersytet, on się do studentów nie miesza.

— Wiemy, wiemy o wszystkim; dziś poeci największą grają rolę w buntach. A Byron co wyrabia w Grecyi? — 500 ludzi trzyma na swym koszcie i broni powstańców. O, ja znam poetów! A gdzie to Zana, a gdzie Malewski? — ja wszystkich wyłapać muszę, ja muszę zdusić złe w zarodzie!

Wkrótce uwięziono Zana, Mickiewicza i mnóstwo wyłapano Filaretów. Blisko rok trwał proces, po skończeniu którego zesłano w głąb Rosyi na długie lata Zana, Czeczota, Jeżewskiego, Pietraszkiewicza — a Mickiewicz chwilowo miał być uwolniony. Rektorem uniwersytetu zrobiono Pelikana. Sprzedajny ten człowiek wydał bal wspaniały na pożegnanie Nowosilcowa; niestety na tym balu znajdował się i dr. Becu!...

Gdy nareszcie Nowosilcow opuścił Wilno z Botwinką, głucha cisza zaległa miasto, jakby po przejściu straszego orkanu wśród najcudowniejszej, najbardziej uroczej, słonecznej pogody. O bo też słonecznie było w Wilnie przed Nowosilcowem! Po ulicach snuły się teraz, jak błędne mary, zbolełe matki do Ostrej Bramy, aby kość tam nieukojoną nigdy żał za dziećmi! Rozgorzała kaplica od świec ofiarnych. Płakała cała Litwa i po wsiach i po miasteczkach, bo wszędzie brakło syna przy domowem ognisku.

Młody Słowacki siedział przerażony czas jakiś w domu i zapewne wolność swą zawdzięczał ojczymowi. Spitznagla już nie było, był w Petersburgu w akademii języków wschodnich, Odyniec, ukończywszy uniwersytet, chwilowo opuścił Wilno, był więc Heli sam z Massalskim; sława uniwersytetu zagasła. Najlep-

szych profesorów rozpędzono, inni sami odeszli — młodzież, tę idealną młodzież, wywieziono w zimne śniegi, nałożywszy na ich dusze dozgonne kajdany.

Salon pani Becu posmutniał, nie śmiano się bawić, cieszyć i dowcipkować jak dawniej. Pan Becu bardzo zajęty, ukazywał się rzadko, na zebraniach prawie nigdy. Tak smutno zakończył Julek Słowacki rok szkolny 1824.

---

### Piorun.

Powróciwszy z Mickun Słowacki bez zapалу wstępował do klasy 6-tej. Stosunek z nauczycielami był innej natury, aniżeli poprzednio. Duch Nowosilcowa unosił się nad katedrą wykładających nauczycieli, szczerłość znikła, zastąpiła ją ostrożność i jakby nasłuchiwanie, czy ktoś nie podchwytuje głosu mówiącego ucznia.

Jednego z dni wrześnieowych wracał Słowacki z gimnazyum; szedł obojętny, zamyślony... i nic dziwnego, toż tak niedawno Botwinka ćwiczył biedne dzieci. Na niebie, dnia tego dziwnie pogodnem, zjawiała się nagle ciemna chmurka, jak plama; wkrótce chmurka zaczęła rosnać; urosła w chmurę groźną, poczęła się wnet kłębić i prawie galopować w grubych zwojach i strzępach w kierunku gmachu uniwersyteckiego. Heli obserwował ją zrazu spokojnie i ciekawie, ale gdy nagle wichur zakręcił przed nim słup prochu i oczy mu zasypał, przyspieszył kroku i wbiegł szybko do bramy. Wszedłszy do pokoju matki zastał ją bladą i przestraszoną; na zapytanie, co się stało, odrzekła, że burza takie na nią czyni wrażenie. Jednocześnie Hersylka przebiegła do

salonu, chcąc pozamykać okna, i w tej samej chwili dał się słyszeć straszny łoskot, brzęk szyby i przeraźliwy krzyk Hersylki. Pani Becu wbiegłszy do salonu ujrzała Hersylkę krwią zbroszoną na twarzy. Przestraszona zajęła się nią, a Julkowi kazała zamknąć okno w pokoju męża, który zwykle sypiał o tej porze nakryty lekką chusteczką przed muchami. Juliek ledwie spojrział na ojczyrna, krzyknął na matkę nerwowo. Pani Becu wbiegła, a ujrawszy wypaloną czarną plamę w chusteczce, szybkim ruchem zdjęła ją z twarzy męża i poznała natychmiast, że jest od piorunu zabity. Wszelkie środki ratunku okazały się daremne. Piorun ugodził w p. Becu, przyciągnięty chirurgicznymi narzędziami, które leżały na stoliku przy kanapie, a potem ześlizgnąwszy się po ramie wiszącego nad nią obrazu, wsunął się do komody i stopił srebrne ruble w niej schowane. A kto wie, może te ruble pochodziły z procesu Nowosilcowa?...

Poraz drugi została pani Salomea wdową; czy odczuwała tę samą boleść, co po śmierci drogiego jej Euzebiusza?... Trudno odpowiedzieć. Sam fakt śmierci był przerażającym. Zostawały jednak córki, które musiała pocieszać, nie mogła więc sama oddać się zbyt żalowi. Syn kończył już w tym roku szkoły, w uniwersytecie mógł już sam sobie dać radę, Hersylka miała wyjść za mąż za wujka Teofila, były więc okoliczności łagodzące wdowieństwo p. Salomei.

Przez różne stosunki, a prawdopodobnie dzięki rektorowi Pelikanowi, który był przyjacielem męża, została wdowie przyznana do śmierci całkowita profesorska pensja zmarłego męża, w kwocie 2500 rubli; prócz tego Nowosilcow zatwierdził nadal i emeryturę po ś. p. Euzebiuszu Słowackim. Takie do śmierci upo-



sażenie uspokoiło materyalne troski czulej matki, a Julek, nie obcując teraz z nikim bliżej, dbał tylko o celującą postępowanie w naukach i czekał z upragnieniem wakacji, po których mieli wszyscy poraz drugi powrócić na nowo do Krzemieńca .

Joachim Lelewel wyjechał do Warszawy i tam opracował broszurę p. t. „*Nowosilcow w Wilnie.*“ Broszura ta objaśniała szczegółowo proces studentów i śledztwo ich w r. 1823 i wykazała stosunek p. Becu do Nowosilcowa. Jednakże ani p. Becu, ani córki, ani Julek długo o tych szczegółach nie wiedzieli. Komunikacja pocztowa była utrudniona, sroga cenzura nakazywała wielką ostrożność, a przyjaciele, oszczędzając honor żyjącej rodziny, milczeli.

### Wywiezienie Mickiewicza.

Radosna nowina obiegła Wilno, że Mickiewicz został uwolniony, lecz o tej wolności tak mówi sam poeta:

*Mam być wolny! Tak, nie wiem skąd przyszła nowina!  
Lecz ja znam co być wolnym z ręki Moskwicina,  
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,  
Ale włóczą na duszę -- ja będę wygnany!*

Istotnie dnia 1-go listopada wracając od dawnego rektora Malewskiego, do domu razem z Odyńcem, który wrócił do Wilna i razem z Adamem mieszkał, zauważyli jeszcze z ulicy światło w oknach ich mieszkania. Zdziwieni mocno, drzwi otworzyli i spostrzegli siedzącego przy stole kapitana. Po przedstawieniu się młodemu poecie kapitan Krukowski podał papier rządowy i prosił o podpis, oświadczając, że za dwa dni ma być

gotowy do drogi. Mickiewicz z zupełnym spokojem wyrok na siebie podpisał i schował wydany mu pasport. Krukowski pokój opuścił. Adam ze smutkiem rozwinął wówczas pasport i wskazał Odyńcowi na nim przypisek: „sławny poeta polski.“ W tej chwili żal go ogarnął na myśl, że musi odtąd:

*Błąkać się w cudzoziemców, nieprzyjaciół tłumie  
Ja śpiewak!... i nikt mojej pieśni nie zrozumie!*

Tej nocy nie spali wcale — przegadali do świtu, Odyniec ciągle płakał, a Mickiewicz przeciwnie z wielkim spokojem pocieszał go nawet.

O świcie wzięwszy czapki wyszli na pierwszą mszę św. do Ostrej Bramy. Ołtarz gorzał od światła, kaplica była przepełniona ludźmi, Mickiewicz całą mszę św. przeklęczał z twarzą ukrytą w dłonie; po nabożeństwie wrócili do domu. Zostawał dzień ostatni dla pożegnania przyjaciół i przygotowania się do podróży. Mickiewicz podzielił krótkie chwile między wszystkich, zabiegł i do pani Becu. Z niewymownym żalem przyjęła go wdowa.

— Odjeżdża pan?

— Jutro.

— Dokąd?

— Mam do wyboru Moskwę, Petersburg i Odessę.

— O której godzinie pan jutro wyjeżdża?

— O świcie.

— Zostaw pan mi pamiątkę w imioniku!

— Chętnie, jeśli zdolny będę coś napisać.

Pani Becu podała pamiętnik. Adam szybko skreślił strof kilka i pożegnał p. Becu na zawsze. Julek był wtedy w szkole.

Ostatnią noc poświęcił Adam kolegom; aż do świtu gadali, śpiewali, płakali. Mickiewicz jednak okazywał wielką moc ducha, był prawie wesół. Improwizował i pocieszał kolegów. O świcie zajechały kibitki. Niepodobna opisać żalu kolegów!...

Pełno pań stawilo się na tę chwilę, a Mickiewicz, rozczulony łzami wszystkich, lękając się upaść na duchu, wyrwał się gwałtem z rąk kolegów i wskoczył do kibitki. Ztamtąd, spojrzawszy łzawem okiem raz jeszcze na Odyńca, wyciągnął doń rękę i zawołał:

— No, no, dość tego, nie płacz, obaczmy się jeszcze, tu, czy tam, ale obaczmy się pewnie!

Zwoszczyk szarpnął konie, dzwonek zajęczał i kibitka pomknęła w dal...

Młodzieź pobiegła za nią, jeszcze raz powiały chustki na pożegnanie i pogoniły za nim ostatnie wyrazy przyjaciół.

*Jechałem i patrzyłem i pomiędzy drzewy  
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy  
Płakałem....*

### W Krzemieńcu.

I znów w r. 1825 zgromadziła się liczniejsza niż przedtem rodzina w białym domku pp. Januszewskich, przybyli bowiem młodzi pp. Teofilowie. Życie poszło dawnym trybem. Stara Znajda jeszcze njadała, kołowrot skrzypiał jak dawniej, Ikwa szumiała, Czercza rozlewała woń fiołków, konwalij i skalnych storczyków, ogródek bielił się narcyzami, małwy gęsto pokrywały się liśćmi i strzelały w górę zielonymi jeszcze pąkami. Stary Ambroży dźwigał wodę do konwi — w piekarni

Kachna miesiła ciasto, wypiekała placki, czeladź pieśni śpiewała. I tak miło, tak swojsko, zacisznie w tym białym domku było. Tak się tu nic a nic nie zmieniło! Jak dawniej schodzili się profesorowie licealni, bo tu jeszcze spora ich garstka została, jak dawniej salonik rozbrzmiewał inteligentną i patryotyczną pogawędką. Julek Słowacki odczuwał całą rozkosz cichego życia po burzliwych miesiącach przebytych w Wilnie. Piękny Krzemieniec budził w nim poetyczne zachwyty, już liczne próbki poezji wprowadzały w zdumienie matkę, Hersylkę i starszków dziadków. Korzystał młody chłopiec z bogatej biblioteki licealnej, przebywał często w towarzystwie literata bardzo cenionego Józefa Korzeniowskiego. Zabrał się do nauki języka angielskiego, którego mu udzielał profesor Macdonald, pragnął bowiem czytać utwory Byrona w jego własnym języku. Odwiedzał Wierzchówkę i zawsze w tych Julinkach najmiłsze spędzał chwile, a w fantazyi swej gromadził materiały do tych cudnych opisów podolskiej natury, jakimi późniejsze swoje utwory przeplatał tak uroczo.

Myśl o uniwersytecie nie cieszyła go; pragnął wyjechać do Spitznagla, ale zdrowie delikatne nie pozwalało na to. W Warszawie działo się to samo, co w Wilnie; tam również Nowosilcow narzucił na oświatę pęta niewoli. Wydział filozoficzny został zniesiony, cóż więc miał Słowacki obrać dla siebie?

Matka i starzy Januszewscy, myśląc zawsze o kawałku chleba, wybrali *prawo*. Julek nie umiejący sam wybierać i decydować, bo dotąd w życiu przyzwyczajony był, że myślano o wszystkim dla niego, za niego samego, z czem było mu bardzo wygodnie, zgodził się z wolą matki i postanowił uczyć się na prawo. A tymczasem nikt mu nie mógł wzbronić marzyć o Grecyi,

piramidach, Jerozolimie i zaczarowanych światach fantazyi. W oczach jego wyobraźni pieniały się srebrne kaskady, mieniały się tęcze barwy wschodnich krain, strzelały w górę niebotyczne palmy, bielily się zawoje Arabów, płaszcze Beduinów; gięły się przed nim kolana wielbłądów, wicherzyły piaski pustynne. Tęsknił za Ludwikiem, i drżał na myśl studyowania suchego prawa w ciągu długich lat 3 pod rektoratem Pelikana. Nie opierał się jednak woli starszych i w połowie września r. 1825 wyjechał z matką na Uniwersytet do Wilna.

### **Lata uniwersyteckie od r. 1825 do r. 1828.**

Z uczuciem wielkiego zmęczenia jechał teraz młodzieńki Julek do Wilna. Pani Becu z trwogą spoglądała na to swoje dawniejsze dziecię z czarnymi oczyma, które dziś, jako młodzieniaszek, jeszcze smętniejszy miało wyraz w bladej, szczupłej twarzy. Jako matka, czuła, że Julka gębi zawód prawniczy, ale trudno było inny zrobić wybór, skoro uniwersytet nie posiadał już dawnych profesorów. Gdy nasi podróżni przybyli narazie po 4-ech dniach do Wilna i urządzili się w nowem już teraz mieszkaniu, Julek, mimo całej niechęci, rozpoczął chodzić na wykłady bardzo pilnie i sumiennie, bo już w naturze jego charakteru leżała wielka obowiązkowość.

Ambicya nakazywała mu i w uniwersytecie być pierwszym i wyszczególnianym, jak to bywało w gimnazyum; mimo to w czasie godzin prawa rzymskiego, które wykładał Capelli, lub w czasie godzin ekonomii



Juliusz Słowacki  
w latach młodości według portretu  
olejnego Tytusa Byczkowskiego.



politycznej, którą wykladał staruszek Szymon Malewski, nudził się Julek porządnie. Zamiast o prawie, myślał o poezyi i układał w swej fantazyi mnóstwo obrazów do późniejszych swoich utworów.

Z przyjemnością natomiast słuchał wykładów Leona Borowskiego, który zajmował katedrę Literatury powszechniej, a więc i polskiej, katedrę należącą niegdyś do ś. p. Euzebiusza Słowackiego. Borowski żył się bliżej z domem pani Becu, zajął się uporządkowaniem pośmiertnych pism ś. p. Euzebiusza, i ich całym wydawnictwem.

Od niego to młody Juliusz dużo otrzymał wskazówek w zakresie poezyi, a Borowski, widząc wielki talent tak młodziutkiego chłopca, szczerze go zachęcał do pracy w tym kierunku. Mimo to wszystko pobyt w Wilnie był już nie wesoły. Julek był sam, nie miał przyjaciela żadnego. Ludwik Spitznagiel był w Petersburgu, a choć często pisywali do siebie, listy nie wystarczały dla serca, które pragnęło się żywym słowem ucieszyć. Sam młody Słowacki mówi:

— Początek ten był dla mnie nadzwyczaj smutny, ale nareszcie przywykłem do życia, prostego i pozbawionego wypadków serca.

Śniadeccy opuścili Wilno; zamieszkali w Jaszunach nad rzeką Mereczanką o 27 wiorst od Wilna. Tam sobie Jan Śniadecki przeniósł przyrządy astronomiczne i urządził obserwatoryum; nie mógł się staruszek obejść bez rozmowy nocnej z gwiazdami nieba. Najlepszym kolegą, z którym teraz żył Julek serdeczniej, był Antoni Beaupré, ale nie złączyły ich ściśle stosunki przyjaźni, gdyż Antoni nie mógł dobrze zrozumieć ducha Słowackiego. Kształcąc się sam na lekarza, a więc człowieka praktycznego i użytecznego społeczeństwu,



Beaupré nie oceniał polotów fantazyi Julka, nie był to Spitznagiel! Domowe stosunki również układały się niewesoło, pani Becu traciła powoli swój świetny dawniejszy humor, nie dążyła już tak do życia towarzyskiego, zapadała na zdrowiu, a w końcu zachorowała śmiertelnie. Szarpana wewnętrznymi boleściami, napełniała jękiem mieszkanie; Julek nie mógł sypiać po nocach, drżał o życie matki, rozpaczał, ale przecież ani na chwilę nie uwierzył w zapowiedzianą śmierć przez doktorów, pomimo, że ci zupełnie o życiu pani Becu zwątpili. Była to ciężka choroba żółciowa, a wytworzone kamienie sprawiały straszne cierpienia.

Julek jednak nie wątpił, że matka żyć będzie, on matkę tak kochał, i ta matka dla niego żyć musiała, Bóg nie mógł mu jej zabrać, — i nie zabrał! Wbrew wszelkim oczekiwaniom, cierpienia zmniejszyły się i powoli pani Becu do zdrowia wracać zaczynała. Przyszedszy trochę do sił, została przez panią Januszewską zabrana do Krzemieńca, dokąd pod opieką matki i młodych Teofilów wyjechała na dalszą kurację.

Julek zamieszkał u pp. Domańskich i poraz pierwszy w życiu uczuł się zupełnie sam, i uczuł się bardzo nieszczęśliwym!

### **Niespodzianka.**

O dość późnej godzinie wieczornej zapukano do pokoju Julka.

— Proszę wejść, — rzekł młody Słowacki, nie odwracając głowy od biurka, przy którym pracował.

Ktoś wszedł i, cichym krokiem stąpając po rozestawionym dywanie, objął delikatnie głowę Julka i serdecznie

do swej piersi przycisnął, następnie przechylił ją ku sobie. Spotkały się dwa wejrzenia i utonęły w sobie dwie źrenice: błękitna jak lazur w czarnej jak noc!

— Ludwik! — krzyknął Juliusz, a uwolniwszy się z rąk przyjaciela, rzucił mu się na szyję i serdecznym wybuchnął płaczem!

— Tak mnie witasz, Izami?

— Z radości, Ludwiku, z wielkiej radości.

— Sam jesteś?

— Zupełnie sam.

— A mama twoja?

— W Krzemieńcu, chora była ciężko, potrzebuje jeszcze troskliwej opieki; Babunia i Hersylka wzięły ją do domu.

— A Olesia?

— Po części w Mickunach, po części w Dąbrowni, a najwięcej bawi w Jaszunach u Ludki—kochają się,—no i z Balińską także.

— Zawsze taka śliczna?

— A zawsze, poznał się na tem Józek Mianowski, i zdaje się, że ma jakieś zamiary.

— A Olesia?

— Lubi go, i bardzo. — Kiedyś przyjechał? — zmęźniałeś, tę przedziwną białość lica straciłeś, dobrze ci z tem.

— A, bom się wodą polewał i na słońcu godzinami suszył, tom i zezerniał, bo widzisz, jakże jechać takiemu białemu między ciemne Etiopy.

— Albo ty jedziesz, i gdzie?

— Do Egiptu, mój drogi — spełniają się w części moje dawne sny i marzenia.

— Jedziesz? kiedy i po co?

— Wyjeżdżam za dni 3, jako dragoman (tłumacz) przy ambasadzie petersburskiej w Egipcie.

— Szczęśliwy! Kiedyż — och kiedyż ja tak pojedę! czemuż z tobą jechać nie mogę!

— Pojedziesz, mówię ci pojedziesz, tylko później trochę; pojedziesz i więcej odemnie widzieć będziesz! I nagle twarz mu posmutniała, a łzawe oczy silniej zwilgotniały.

— Długo zabawisz w Wilnie?

— Tylko do jutra — dzisiejszy wieczór dla ciebie.

— A jutro?

Jutro jadę do Rdułtowskich, do Snowia, do Konstantego, muszę ich wszystkich koniecznie raz jeszcze widzieć, o potem prosto w drogę.

— Oleś Chodźko rozповідаł nam o twoich powożeniach w akademii w Petersburgu, czyś dobrze w tej stolicy czas spędzał?

— A świetnie, bom się raz topił i dzięki tylko mojej sztuce gimnastycznej, uratowałem się. Ależ, mówię ci, nie uwierzysz, jak wystraszyłem ludzi, gdy z ganku na pierwszym piętrze cały zmoczony, z włosiem zlepionym, zapukałem do szyby. Ludzie ci wzięli mnie za ducha topielca; zrazu uciekli, dopiero na błagalne moje prośby, drzwi otworzyli i wyborym *czajem z prykuskiej* rozgrzali.

— Zkądżeś się wziął na ganku pierwszego piętra?

— Ztąd, że Newa strasznie wylała, wprost zatopiła miasto; ja chcąc się bliżej powodzi przypatrzeć, wyszedłem na ulicę, woda nagle na tę ulicę przybiegła i mnie porwała; sztuka pływania uratowała mnie, chwyciłem się ręką balustrady ganku pierwszego piętra i skończyłem do wnętrza. Widziałem w przelocie Mickiewicza, pędził dorożką, a woda mu nogi zalewała. Słu-

chaj, Julku, my się może już nie zobaczymy, napisz mi słów kilka w imienniku, a odemnie przyjmij ten czterowiersz:

*Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,  
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się pławił,  
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,  
Jak przeszłość zniknął — jak przeszłość nie wróci!...*

Julek z ogromnym smutkiem spojrział na przyjaciela, schował podaną kartkę do portfelu, wziął z rąk jego imiennik i siadł pisać.

Ludwik przez ten czas usiadł w kącie kanapki i partrył na kruczą głowę młodzieńca z wyrazem ponurej i nigdy niebywalej u niego rozpaczy.

Julek pisał dość długo; następnie zwrócił się do przyjaciela:

— Czytaj — i daruj! nie mogłem, nie umiem weselej, coś mi jest, smutek dziwny mnie dławii; Ludwiku, nie jedź ty jutro do Snowia, zostań ze mną. Wilno takie piękne, najmiemy konie, pojedziemy do Zakretu, choć zima, ale słońce od dni kilku pięknie świeci.

Szpitznagiel nie odrzekł nic, tylko czytał:

*Ludwiku! jak dwie gwiazdy podobne na niebie  
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie;  
Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni,  
Choć myślą sercem bliżej — losem rozłączeni.*

*Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzeńka zaświeci,  
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,  
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni wetschnienie,  
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci!*

*Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:  
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;  
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,  
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie!*

*Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,  
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerzej przyjaźni,  
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,  
Wiecznie nas przeznaczenie oddala od siebie!*

-- Julku mój drogi! tyś poeta skończony! jaki język piękny, jaka muzykalność, jaka sława cię czeka! jakąż drogą wywożę od ciebie pamiątkę! Dziękuję ci serdecznie za uczucie, jakim mnie darzysz!

I przytulił do siebie młodzieńca, i długim, długim trzymał go uściskiem, jakby go istotnie żegnał raz ostatni.

Północ minęła, a dwaj przyjaciele gwarzyli, siedząc przy sobie na miękkiej, wygodnej kanapce.

— Czyś ty z własnej woli na prawie?

— Poszedłem za wolą matki mojej; ale czegoż słuchać w Uniwersytecie pod zarządem Pelikana, ślepego narzędzia Nowosilcowa? Jeden Borowski ratuje Wileńską Wszechnicę; prawie lepiej teraz jeszcze w Krzemieńcu. Na wykładach siedzę tylko ciałem, ale duch mój błąka się w sferach innych i układa i widzi obrazy, którym tylko formę zewnętrzną nadam, gdy przyjdzie czas. Twój Szanfary, Ludwiku, przepiękny. Zostań dłużej, ja z tobą potrzebuję pogadać gdzieś pod niebem otwartem, wiesz, jak dawniej bywało, zostań!

— Nie mogę, północ dawno minęła, jutro rano muszę do Słowia, a potem nieodwołalnie do Egiptu. Bądź zdrów przyjacielu mój najlepszy, bo, przyjacielu z ducha i serca! bądź zdrów, zobaczymy się w Egipcie,

gdzieś pod piramidami, a może dalej — dalej... zobaczymy się przecież jeszcze. Bądź zdrow!

I rozstali się dwaj przyjaciele — Julek wrócił od drzwi do biurka i machinalnie powtórzył:

*„jak przeszłość zniknęła — jak przeszłość nie wróci!”*

Jaki posępny dźwięk tych wierszy! jakie są piękne przeczuciem i smutkiem!

Długo nie mógł zasnąć, bo nie mógł zapanaować nad wzruszeniem, jakie wywołało w duszy jego nagłe zjawienie się Szpitznagla, a wyobraźnia unosić go znowu poczęła daleko we wschodnie krainy, do których tęsknił od lat dzieciennych.

---

### Kanarek.

W kilka dni później, 26 lutego 1827 r. w bardzo piękny i cichy dzień zimowy, zerwała się nagle straszna wichura, i zakręciła tumanem prochu zmieszanego z suchym śniegiem i resztkami postrąconych igieł sosnowych; przez uchylone okno w mieszkaniu p. Szpitznaglowej przy ulicy Zamkowej po Nr. 127, z tą zimową kurzawą wpadł kanarek i niespokojnie bić się począł o szyby okna przyległego pokoju. Pani Szpitznaglowa zdziwiona, przymknęła uchylone okno i ujrzała ze zdumieniem, jak kanarek krążyć począł nad jej głową, piszcząc żałośnie, a potem zatoczył się po szybach i spadł na osadę okna, dysząc i kwiląc boleśnie. Dziwnem przeczuciem tknięta, zadrżała sama nie wiedząc dla czego o syna, wybiegła do pokoju męża. wołając głosem zdławionym łzami:

— Ferdziu, pošlij natychmiast sztafetę do Snowia, tam się coś stać musiało straszno.

— Co? gdzie? u kogo? — zapytał zwykle jowialny i niebardzo czuły pan Ferdynand Szpitznagiel.

— Coś się stało z Ludwisiem, zlituj się, pošlij sztafetę. Mam przeczucie, pošlij natychmiast. Kanarek wleciał...

— O, o, kanarek wleciał! gdzie? którądy? i ja mam posyłać sztafetę, że kanarek wleciał? otwórz że mu okno, to wyleci sam, bez sztafety.

— Ferdziu, na Boga, nie żartuj, coś się tam stało z Ludwisiem...

I z płaczem spazmatycznym p. Szpitznaglowa upadła w fotel stojący przy biurku męża.

— No, i trzeba, widzę, pošłać sztafetę, stracić kilka rubli, a chłopak może pędzi już do Egiptu!

Z temi słowami opuścił pokój p. Ferdynand, a pani Szpitznaglowa wyszła, zanosząc się płaczem, dla którego przyczyny sama nie umiała znaleźć. Dręczyło ją dziwne przeczucie. Poczęła kanarka łapać; ptak nie bronił się, a gdy został schwytyany, na polu wicher się natychmiast uciszył.

Gdy po niejakiem czasie konny posłaniec ze Snowia wrócił, okazało się, że przeczucia matki nie zawodzą. Ludwik Szpitznagiel w chwili wyjazdu nagle życie zakończył.

Wiadomość o tym wypadku otrzymał Julek w liście oddzielnie do niego adresowanym i opieczętowanym.

Rachując, że znajdzie w tym liście wiadomości od Konstantego Rdułtowskiego o wyjeździe Ludwika, wyszedł na przechadzkę do lasu sosnowego nieopodal od Wilna i tam w samotnej ciszy rozłamał pieczętkę. Na samym wstępie został, jak ogromem rażony; Ludwik nie żył! pismo z rąk mu wypadło; od śmierci ojca

pierwsza śmierć, która wstrząsnęła całą jego istotą; on kochał prawdziwie Ludwika i potrzebował jego ducha dla swojego ducha. Jeszcze miał w oczach tę piękną twarz młodzieńca; te oczy wilgotne, oczy sarny o kolorze dzwonek leśnych, zda się patrzyły jeszcze w oczy jego; i on nie żyje?... ten duch lotny, pełen zapalów, już uleciał ku sferom niebieskim, stał się dla Julka nieuchwytnym już tylko wspomnieniem? przeszłością, która nie wróci?!...

Ból zaszarpał sercem chłopca, nerwowa jego natura zadrżała na myśl kruchego życia i niepewności robionych planów i zamiarów na przyszłość!

O jakaż szkoda takich zdolności, takiej ognistej fantazyi, takich wzlotów ducha! jaka szkoda takiego przyjaciela!... Podniósł z ziemi nieszczęsne pismo, a czując dreszcz zimny, przejmujący go do kości, skierował się w stronę miasta i na pół przytomny wrócił do swego mieszkania. Tu zamknąwszy drzwi na klucz, oddał się szczeremu żalowi; nie wstydził się płakać, nikt go nie widział; następnie wziął list i zaczął czytać dokładnie.

Konstanty opisywał szczegółowo, że Ludwik dni kilka u nich zabawił, że był ogromnie wymowny w opisach wschodniej natury, że przedstawiał krajobrazy, tak, jakby już je widział, że się zapalał w opowiadaniu i wszystkich uwagę, do tego co mówił, przykuwał. Ostatniego dnia przed wyjazdem nagle posmutniał, i ku zdziwieniu obecnych dał poznać, że nie czuje się szczęśliwym z otrzymanej posady, mówiąc z żalem, że go wysyłają „w kraj bez zimy, bez wiosny!“ Nawet wyraźnie się odezwał:

— „Chcą mię zabić!“

Nazajutrz znowu był weselszy, potem, gdy zaję-



chały konie, poszedł po swoje tłomoki, i więcej nie wrócił. Nagła śmierć zatrzymała go w Snowiu raz na zawsze...

Położył Juliusz list na biurku i już bez łez długo patrzył przed siebie, a potem wstał, wziął pióro i począł pisać do ukochanej swej matki do Krzemieńca, i tym sposobem dał ulgę swemu cierpieniu.

---

### **Podróż do Odessy.**

W tym samym roku 1827, ukończywszy roczne studia w uniwersytecie, Juliusz Słowacki wybierał się w dalszą już podróż, bo aż do Odessy. Ból w piersiach jakiego od roku już doznawał, zniewolił panią Becu do wysłania syna do morskich kąpiel. Doktorzy obrali Odessę; młody chłopiec, ucieszony nadzieją podróży, rozweselił się trochę i zaczął, gorączkowo nawet do wyjazdu się sposobić. W tym celu wyjechał do Wierzhówki, skąd wspólnie z Zenonem Michalskim mieli udać się w drogę. Po dwutygodniowym pobycie w rozkosznej Wierzhówce, rzuconej ślicznie nad rzeką Ladawą, wsiedli dwaj młodzieńcy do eleganckiego powozu, do którego założono 4 konie w lejc; pożegnali z wesołym uśmiechem, stojące na ganku panienki, Julcię i siostrzyczkę jej, przezwana przez Słowackiego, Mniszeczka, pożegnali błogosławiącą p. Michalską i ruszyli w drogę wraz z mającym im stale towarzyszyć kozakiem. Może raz pierwszy, odkąd ów mały, wypieszczony Heli został młodzieńcem, czuł się Juliusz tak swobodnym i zadowolonym, jak w tej chwili, w tym pięknym powozie, z nadzieją długiej, urozmaiconej podróży. Towarzystwo młodego, wesołego Zenona, kie-

szeń zaopatrzona dostatnio, zapas przysmaków, skracających nudę jazdy w monotonnej czasem okolicy, dodawały młodym humoru. Drogę swą obrócili na Tulczyn, który postanowili zwiedzić; po 3 dniach podróży, wśród przepięknych lasów, pełnych bujnych traw i liliowych dzwonek, pełnych świegotu przeróżnego ptactwa, pełnych zwierzyny, smykającej się pośród gęstwi drzew, wyjechali nasi podróżni na drogę, wiodącą pośród rozległych równin, pokrytych zielenią cukrowych buraków i szumiących kukurydź. Gdzieniegdzie, pola pszenicy okiem nieprzejrzone, przerywane były basztanami, na których zieleniły się ogórki, małe polne melony i kawony, a tu i tam słonecznik, lub kukurydza bujała sobie wysoko. Na środku basztanu, sklecona buda, chroniła przed słońcem i deszczem kacapa z rodziną, a pies uwijał się i ujadał. Nareszcie ukazał się oczom naszych młodzieńców Tulczyn; z niemałym zadowoleniem wysiedli podróżni w zajeździe, a żydek zlustrowawszy dobrze kocz swych gości, piękne konie, krakowski strój furmana i kozaka, który jechał luzem, pogładził brodę z zadowoleniem i otworzył najparadniejszą izbę, jaką miał w zajeździe.

Nasi młodzieńcy, nie mając zamiaru znajomić się bliżej z żydkiem, powierzyli pieczę nad tłumokami kozakowi Fedkowi, a sami, otrzepawszy się trochę z kurzu, wyszli do pierwszej lepszej restauracyi. Posiliwszy się dostatnio, bo w Tulczynie przeróżnych można dostać przysmaków, udali się do pałacu.

### **Tulczyn.**

W powiecie braclawskim, w gubernii podolskiej, nad rzeczką Tulczynką, rozciągała się dawniej waro-

wna osada, zwana Tulczynem. Straszliwie zniszczona przez hajdamaków (kozaków), w r. 1648, dopiero do wielkiej świetności doprowadzoną została przez wojewodę ruskiego Szczęsnego Potockiego. Ten możny i bogaty pan, zbudował pałac w r. 1782 i założył ogród wokoło niego w stylu tak pięknym, że Tulczyn szeroko zasłynął w kraju i stał się przedmiotem podziwu ludzi zwiedzających go. Również wznosił prześliczny, gotycki kościół Dominikanów. W r. 1792 Szczęsny Potocki, zawiązawszy Targowicką konfederację, zdradził przez nią ojczyznę, bo złączył się z Rosyanami i wieczną hańbą okrył swe imię, i takąż pamięcią otoczył Tulczyn w oczach potomności.

Gdy Juliusz z Zenonem weszli do ogrodu, w głębi którego wznosi się pałac, zostali oczarowani pięknnością budynku i ogrodu, noszącego nazwę *Chorosze*. Na wstępie, nad przysionkiem, uderzył ich napis (dziś zatarty zupełnie):

*„By wolnych i cnotliwych był zawsze mieszkaniem!”*

Wyrazy te uderzyły silnie czysty i prawy charakter Juliusza — a wrażenie swoje młody poeta, później wprawdzie, takim wierszem określił:

*Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,  
Omijaj zamek ten i te parowy;  
Niech cię nie wabi ten na zamku czole  
Napis, co błyska od słońca na pole:  
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,  
Złotem pisane i zdaleka widne!...  
Uciekaj stepem przez burzanów fale,  
Nie wierz napisom, nie zacieraj w śalc,  
Bo tam owionie i męztwo ci zetrze*

wietrzne niezabudki, wabiąc ku sobie oko podróżnych, lub kołysał się sokół, czatujący na ofiarę. Częste dosyć jary, a wśród nich szumiące wody, zmieniały i ożywiały krajobraz. Wkrótce jednak stepy inny przybrały charakter, bardziej pustynny, piaszczysty, zjeżony mogiłami; powietrze stawało się coraz gorętsze, suchsze, aż w końcu po długiej i nużącej już podróży, wyłoniły się pierwsze kontury portowego miasta Odessy.

---

### Odessa.

Juliusz niepokoić się już zaczynał na myśl o Czarnem morzu. Miasto go nie nęciło, przeciwnie, wiedział, że ponad Wilno, chyba jeden Kijów tylko może mieć piękniejsze położenie w kraju, ale z niespokojnością oczekiwał widoku morza; na to jednak trzeba było pójść aż do portu. Co prędzej więc, dostawszy się już do miasta, i rozgościwszy w hotelu, nie zważając ani na znużenie, ani na głód, dwaj młodzieńcy pobiegli do portu. Pogoda im sprzyjała, słońce oślepiające rzucało blaski na wodę, która szeroko za portem jeszcze sprawia wrażenie łuski rybiej o srebrnym połysku, a dalej, dalej już, jak oko zasięgnie, czerni się matową taflą bez końca. Port bardzo ogranicza widok morza — dla tego morze czarne, z miasta oglądane, nie sprawia ani silnego wrażenia, ani nie daje nawet pojęcia o bezbrzeżnej płaszczyźnie, na której woda swe fale dźwiga, kłębi, pieni, a nas podziwem przejinuje. W Odessie chcąc morze w pełni oglądać, trzeba wyjść na miejsce otwarte, inaczej potęgi morza odczuć niepodobna. Tak zrobili nasi podróżni, wsiedli w dorożkę i zajechali na

kopułą, w środku świątyni, grobowiec Szczęsnego, obok niego zaś grobowiec nadwornego poety, wojewody *Trembeckiego*.

Z bolesnem uczuciem patrzył Juliusz na ten grób znakomitego mistrza języka polskiego, spoczywającego obok zdrajcy, bo:

*Nigdzie tyle krwi, tyle na gmachu kamieniach,  
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach,  
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,  
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą!*

Mickiewicz kształcił swój język na poezyach Trembeckiego, na jego „Zofiówce,” i ten staruszek, ten prostoduszny ojciec wróbelków, które karmił setkami i do pokoju swego wpuszczał, musiał swe prochy tak blisko prochów zdrajcy złożyć.

W rynku stoi kolumna, postawiona na pamiątkę konfederacyi Targowickiej i zmiany wiary katolickiej przez Potockiego na wiarę luterską. Zwiedziwszy wszystko dokładnie, młodzi przyjaciele, zaspokoiłi cmokającego żydka i pożegnali się z gościnną izbą, czerwonymi firankami, kanapą krytą płóciem czerwonym w drobniutką kratkę i z bohomazami na ścianie. Wsiadłszy do swego eleganckiego powozu, opuścili zajazd, zostawiając przed bramą i na ulicy cały szereg gapiących się żydków z rękami w kieszeniach i śmiertelnych koszulach, bo już szabas zachodził.

Teraz wyjechali na obszerne stopy zarosłe trawami po pas, a wśród tych traw sterczały dumnie lilijowe głowy bodiaków, takie przepiękne, a takie kołące! Od czasu do czasu szumiały trawy i rozchylały się na boki, bo spłoszony drop, lub suhak umykał wśród nich ukryty; górą przelatywały kraski, jak po-

miejsce zwane dziś Langeronem. Ztąd mógł Juliusz swe oczy napawać widokiem wody bezbrzeżnej, czarnej, spokojnej, budzącej tem większą nieufność i myśl, co tam się dzieje w tej cichej, na pozór głębinie.

Nasyciwszy oczy tym nieznanym sobie dotąd widokiem, niezupełnie jednak zaspokojeni w swych oczekiwaniach, bo morze Czarne nie należy do najpiękniejszych, z wyjątkiem chwil burzy, gdy się pieni złowrogo,—wrócili do hotelu. Posiliwszy się, wyszli na miasto; odrazu uderzyła ich różnorodność typów, ubiorów, mowy. Nie potrzebowali się z poznawaniem miasta spieszyć, bo tu zabawić musieli około czterech tygodni, gdyż Julek miał się kąpać w morzu. Rozłożyli więc swoje plany na przeciąg tych czterech tygodni, a Julek rozpoczął nazajutrz kąpiele i natychmiast wysłał list do matki swej, aby była o niego spokojną. Kąpiele wywierały na niego bardzo dobry skutek, ból w piersiach ustępował, apetyt wracał, cera się zarumieniła, czuł się silniejszym, a pod koniec pobytu w Odessie, nawet zupełnie zdrowym. Ukończywszy kuracyę, zabierali się obaj młodzi z powrotem do domu. Ułożyli sobie jeszcze koniecznie zwiedzić po drodze Humań, a raczej Zofiówkę. I znowu wjechali w stepy, w kwietne kity traw, i znów przez dłuższą chwilę wchłaniali w siebie tę stepów tęsknotę, tę nieskończoność tak ruchomą, falującą, tak odmienną od nieskończoności morza.

Do wrażeń, jakich doznał Słowacki na widok stepów, odnieść należy ten wspaniały wiersz z V. pieśni Beniowskiego:

*Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy  
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,*

*Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże!  
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,*

*.....*  
*Kto ciebie nie czuł w natury przestraszu,  
Na wielkim stepie, albo na Golgocie.*

*.....*  
*Ani też w uczuć młodości zapachu  
Uczuł, że jesteś, — ani rwąc stokrocie  
Znalazł w stokrociach i niezapominkach  
A szuka w modłach i dobrych uczynkach —  
Znajdzie — .....*

Usłyszeli raz jakiś żalony śpiew, który powietrze  
niosło ku nim zdaleka; śpiew był tęskny, jakiś pogrze-  
bny. Julek prosił, aby stanąć i wsłuchiwał się w me-  
lodję, którą znał dobrze z okolic Wierzychówki.

— Wiesz Zenon, to diaczki śpiewają, pogrzeb  
idzie.

— Fedku, — zawołał Zenon, — czy to pochorony?

— Pochorony, panie.

— Zaczekajmy.

— Zaczekajmy, skoro chcesz, konie wytchną  
trochę.

Zdaleka zbliżał się orszak pogrzebowy, śpiew  
coraz wyraźniej uszu dochodził; z pośród gęstych  
traw wyłonił się krzyż niesiony na czele pogrze-  
bowego orszaku, potem pop kapą okryty, następnie  
mary, a na marach trumna okryta. Za trumną szła ro-  
dzina zmarłego, zawodząc boleśnie, a dalej mała gro-  
madka ludzi. Cały orszak skierował się na lewo, dro-  
żyną, wśród stepu bujnego, ludzie nikli — tylko  
wierzchołek krzyża długo w blasku był widny, a śpiew  
diaków unosił się w powietrzu coraz ciszej, ciszej, aż  
wszystko w dali trawy ukryły, a szum stepu zagłuszył.

Po pewnym czasie, po przystankach, wypoczynkach i noclegach — ukazały się oczom naszych podróżnych prześliczne futory, pełne sadów czereśniowych. Wjechali w krainę zagajoną drzewiną owocową, gdzie pełno było dereni, morw, gdzie się roiło od pszczół, które opuszczając futory, obsiadały bodiaki, tak, że lilowe korony kwiecia wyglądały, jakby kroplami ciemnego bursztynu okryte. I znów za futorami ciągnęły się szeroko basztany, złociły melony, zieleńły kawony, a dalej, dalej jeszcze ta cudna, złoto czerwona pszenica, która w tych bezmiernych przestrzeniach tak dumnie wznosi swe kłosa, bezpieczna o swe zdźbło, bo jedno drugie gęsto podpira i tworzy jeden mur złota, zdaleka widziany. Potem wjechali w gęste, przepiękne lasy dębowe, na których zajadłe walki toczą rogate jelonki, rżerząc i szeleszcząc im tylko właściwym sposobem.

Nareszcie ukazał się i Humań, to miasto przesiąknięte krwią od Tatarów (w 1675 r.) i hajdamaków (w 1770 r.), pod wodzą Gonty przelaną. W niewielkiej odległości od Humania, leży sławna Zofiówka—druga rezydencja tegoż Tulczyńskiego wojewody Potockiego, z przepięknymi ogrodami. Juliusz z Zenonem postanowili dni kilka wypocząć w Humaniu, aby Zofiówkę swobodnie zwiedzić, tę Zofiówkę, którą Trembecki tak pięknym wierszem opisał. Następnie nie zatrzymując się już nigdzie dłużej, jak dla wypoczynku tylko, nasi młodzi, zadowoleni, a Juliusz, z duszą pełną stepowych wrażeń, wrócili pod rodzinną strzechę.

---

### Ostatni rok uniwersytetu, 1828.

Po tak miło spędzonych wakacjach i po wycieczce z matką swą do stryja swego Erazma Słowackiego,



mieszkającego w Żytomierzu, powrócił Julek do Wilna, aby już w tym roku 1828 zakończyć studia prawne. Nie zaniedbując wcale swych nauk, rozpoczął jednak Juliusz prowadzić życie bardzo towarzyskie, nie tyle w samym Wilnie, ile przez ciągle wycieczki do Jaszun. Śniadeccy prowadzili dom otwarty, urządzali liczne zabawy wspólnie z młodymi Balińskimi; nie brakło przeróżnych majówek, wycieczek w okolice; urządzano tańczące wieczorki, żywe obrazy, a w zimie szczególnie wesoło bawiono się na ślizgawkach i podczas sławnych w owe czasy kuligów, którym śnieżna zima dużo werwy dodawała. Juliusz brał czynny udział we wszystkich zabawach, a nadewszystko w kuligach. Ta jazda kilkunastu par sani, jednych za drugimi, w ruchu niezmiernie szybkim, te konie rozpędzone, twarze zrumienione mrozem, rozjaśnione uciechą, to napadanie znienacka sąsiadów i zabieranie ich ze sobą, ten głos dzwonek, to czysty, wyraźny w otwartym polu, to przycichający pod lasem, a w lesie, jakby przelewały, niepewny, nierówny, dziwnego uroku tej szalonej jeździe dodawał. Młody Juliusz, nad wszystko przekładał kuligi, które tak odbiły się w jego fantazyi, że dały powód do napisania niedługo potem prześlicznego wiersza p. t. *Kulig*.

*Oto zapusty! dalej kulikiem,  
Każdy wesóły, a każdy zbrojny,  
Jedzie na wojnę, jak gdyby z wojny,  
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.  
Dalej! kuliku w przyjaciół chaty —  
Zbudzimy śpiących, zabierzemy z sobą.  
Nie trzeba wdziawać balowej szaty,  
Ani okrywać czoła żalobą,  
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej  
A gdzie stanjemy? aż nad granicą —*

*Gwiazdy nam świecą,  
Staniemy cali.*

*Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —  
Nie trzaskaj z bicza — niechaj śpi licho.*

*Szybko po drodze tak jak upiory,  
Śmigajmy szybko — cicho — i cicho.*

*Niech sanki świszczą*

*Jak błyskawica*

*W okrag księżycy,*

*Złote mgły koło,*

*Kugańce błyszczą*

*Cha! cha! cha! jak nam wesoło!*

Kulig ten był pisany na początku powstania polskiego w r. 1830, w dalszym więc ciągu przybiera charakter ściśle patryotyczny, stanowi, jakby wojenną pobudkę np.:

*Stójcie tu stójcie — oto dwór biały  
I światło w oknach, dam znak — wystrzełę.*

*Odpowiedziały mnogie wystrzały.*

*Ha, dobra wróżba; — wszak tu wesele —*

*Tu szlachta pije — wyprawia gody.*

*Drużby za nami! chodź panie młody!*

. . . . .

Dalej znów kulig zajeżdża do domu szlachcica, ale tam pogrzeb!... Ha, trudno!

*Ha, ha! co robić tu nie wesoło*

. . . . .

*Mój panie synu prosimy z sobą.*

*Daj na pacierze — zostaw na dzwony,*

*Zabierz przyjaciół — z czarną żalobą*

*Tak jak jesteście — dalej! i dalej!...*

To znów zajeżdżają przed dwór znakomitego szlachcica, — tam w karty grają.

*Panowie szlachta! do dyabła karty —  
Dalej do broni! a karty w kąty!*

. . . . .  
. . . . .

— *Mości Panowie!*

*Niech w karty grają sami królowie!  
A my do koni! — dalej! i dalej...*

W następnym domu, a raczej w starym zamku odbywa się maskarada:

*Sluchaj no! sluchaj, mój włoski panie,  
. . . . .  
. . . . . Włoch, Korsykanin,  
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,  
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,  
Tak, jak jesteście — dalej! i dalej...*

W ostatnim domu cicho — głucho, kulig sądzi, że tu śpią; stary sługa wychodzi ze świecą.

*Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!  
O nie! on nie śpi — pan mój i dzieci  
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,  
Wyszli na czele zbrojnej czeredy —  
A teraz cicho — pusto we dworze.  
Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?  
Widzicie bracia, mylą pozory!  
Takiemu panu błogostaw Boże!  
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!  
Jedźmy więc sami — dalej! i dalej...*

Kończy się kulig przepięknie melodyjną, muzyczną zwrotką:

*Jakże noc pyszna, jak lecą konie!  
Lecą i lecą — aż z pod kopyta,  
Pryskają iskry — połyska błonie,  
Śmigają sanki — już świta! świta!  
Na niebie błednie czoło księżycy,  
Droga skończona — oto granica —  
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!  
Noc rozwidniała  
Zagrzmiały działa —  
Oto jest kulig Polaka!*

Maleńki ten utwór jest niezmiernie piękny pod względem budowy wiersza i niezmiernie bogaty w uczucie, gorąco pojmującego sprawę ojczyzny Polaka.

### Teatr.

Drugi rodzaj rozrywki, daleko bardziej niż kulig, mający dla młodego Słowackiego ponęty, stanowił teatr. W poczty najwięcej Juliusz zwracał uwagę na jej dział najpotężniejszy — to jest dramatyczny. Ażeby jednak dramat należycie zrozumieć i siłę jego ocenić, albo odczuć, to koniecznie trzeba ten dramat widzieć oddany żywym słowem, i nie przez jedną osobę, ale przez wszystkie w utworze występujące, gdyż każda osoba ma swoje własne życie i swój odrębny charakter. Dla tego też prawie równie ważne jak twórca dramatu, ma znaczenie aktor. Autor tworzy daną rolę, aktor

musi autora zrozumieć i zupełnie w jego ducha wniknąć, aby grą swoją przedstawić to czynnie, co autor oddał tylko martwym słowem. Dla tego Juliusz pilnie zaczął chodzić do teatru, aby zrozumieć, co jest potrzebne dla utworzenia dramatu.

Do roku 1816 tj. do przybycia Wojciecha Bogusławskiego, teatr w Wilnie równał się razem z budynkami i aktorami, lichej szopie cyrkowej. Ztąd bywały, choć bardzo komiczne, ale i nieprzyjemne wypadki. To się przewróciła sztuczna góra i z niej zleciało wojsko, pozbierane z amatorów z ulicy, które znów z przekleństwami uciekało ze sceny. To zleciał archanioł na aktora i przygniótł go, to się gdzieś zaczepił geniuszek o deskę i zaczął płakać. To dyabły nie mogły się wpakować do piekła i pouciekały za kulisy, to aktorzy kłócili się głośno z suflerem, że nie podpowiada i tem podobne komiczne zajścia. Oświetlenie było ze świeczek łożowych, z których ciągle łój z góry na dół kapał, dość, że widzowie więcej bawili się niepowodzeniem aktorów, aniżeli samą sztuką. Tych jednak czasów Słowacki już nie pamiętał, bo w r. 1818 zbudowano piękny, obszerny, nowy teatr, wspaniale go oświetlono, a Wojciech Bogusławski objął nad nim dyrekcję. Bogusławski sam był autorem 60 utworów scenicznych, przytem był wybornym aktorem. Od tego już czasu teatr wileński stał się jednym z pierwszych teatrów w kraju. Juliusz uczęszczał na przedstawienia bardzo często, przysłuchiwał się uważnie i przypatrywał całemu układowi scenicznemu i powoli przyswajał sobie niezbędne warunki dla utworzenia sztuki w taki sposób, aby na scenie mogła być przedstawioną. W jego młodej duszy gromadziło się powoli mnóstwo materiału na przyszłego wielkiego poetę, ale dziwnie rozważny młodzieniec, nie spieszył

się jednak z płodami swej twórczości, zbierał pilnie zasoby, patrzył, obserwował, chował skrzętnie do swej duszy i serca na niedaleką już przyszłość.

### Ludwika Śniadecka.

We wszystkich tych rozrywkach, tańcach, kuli-gach, żywych obrazach, brała bardzo czynny udział Ludwika Śniadecka. Juliusz, znając ją od najmłodszych swych lat dziecinnych i będąc od niej, jako o kilka lat starszej, bardzo rozpieszczany, przywiązał się serdecznie i pokochał ją, może po swej matce, najsilniej. Ludka odpłacała mu zawsze tkliwem uczuciem, żywo interesowała się jego zdrowiem, jego poetyckim zwłaszcza talentem, i, pomimo, że była starszą, lubiła z Julkiem nieraz długo rozmawiać, jeździć z nim konno na dalekie spacer, zwłaszcza w Wilnie, do pięknej alei w Zakrecie. Umysł Julka, jego ajuja fantazyja, zarównowała różnicę wieku, do tego stopnia, że młodemu chłopcu wydało się, że Ludka jest przeznaczona dla niego, a on dla niej. Od tej chwili stała się przedmiotem jego marzeń i wielkiem ukochaniem, i nie przypuszczał nawet, żeby kiedykolwiek mogło się co odmienić.

Tymczasem p. Ludwika była już narzeczoną młodego oficera Korsakowa, syna wojennego gubernatora w Wilnie, i ani jej przez myśl nie przeszło, że wiadomość o tem wprawić może w rozpacz Julka. Młody chłopiec wziął tę sprawę bardzo do serca, jako poeta, począł pisać sonety, na tle zawiedzionych nadziei, o czem znów dowiedziawszy się Ludka, prawie zerwała z nim sto-

sunki. Tem rzeczywiście chwilowo przywiodła go do ogromnego żalu, bo młody chłopiec kochał ją jak siostrę, jak swój poetyczny ideał.

I rzeczywiście, tym ideałem pozostała Ludka dla Juliusza na zawsze, zapomnieć jej nie mógł nigdy, a jeżeli mu się kiedy później jaka inna osoba podobała, to zawsze dla tego, że mu czemś przypominała Ludkę. Tymczasem wybuchła wojna Rosyi z Turcyą, młody Korsakow poszedł z armią i zginął wkrótce pod Warną. Nic nie mogło uspokoić żalu Ludki po narzeczonym. Po śmierci ojca wyjechała do Turcyi, tam obok grobu swego narzeczonego kazała zbudować szpital dla żołnierzy i raz na zawsze pozostała w Konstantynopolu. W czterdziestym roku życia wyszła za Michała Czajkowskiego, znakomitego autora kilku powieści na tle dziejów hajdamaczyzny.

Juliusz Słowacki prawie we wszystkie utwory wplata postać Ludwiki; to swoje dziecinne, idealne do niej przywiązanie w przeróżnej formie przedstawia, dla tego imię p. Śniadeckiej raz na zawsze związane będzie z imieniem wielkiego naszego poety.

W tymże roku kończył już Słowacki swoje uniwersyteckie studia. Bardzo pięknie Lelewel opłsuje koniec roku szkolnego w uniwersytecie wileńskim:

„Tysiąc kilkaset młodzieży w ciągłym ruchu uwija się po korytarzach, galeryach, dziedzińcach. Jednych czekają egzaminy, drudzy kończą kursy, inni czynią starania o świadectwa do wyjazdu. Wszędzie ruch, wrzawa, rozgardyasz. Pomędzy mrowiskiem młodzieży w mundurach granatowych, pstrzy się mnóstwo figur urzędowych: w czarnych frakach, w mundurach, w togach pąsowych, w biretach; biskupi w fioletach, księża w starych sutanach, zakonnicy w habitach, woj-

skowi i cywilni z gwiazdami, orderami, wstęgami i plu-  
mażami (piórami), starsi, lub młodzi, sami, lub w towa-  
rzystwie żon, córek i synów...

Na placu przed uniwersytetem pełno powozów, ka-  
ret, bryczek, perekładnych; widok ich w jednych budzi  
radość, drugich przyprawia o niepokój.

Jedni chodzą stroskani, zamyśleni; innym oczy  
śmieją się wesoło; to ci którym się powiodło.“

Młody Słowacki nie trapił się o nic, był pewnym,  
że dostanie premium. Tymczasem raz pierwszy zawio-  
dło go oczekiwanie, pierwszą nagrodę przyznano in-  
nemu. Boleśnie odczuł ten zawód młodzieńki Juliusz,  
ambitnym będąc nad miarę, czuł się upokorzonym tak  
dalece, że aż się rozplakał u siebie w pokoju. Wyszedł  
potem na spacer, długo błądził po Antokolu i słowo dał  
sobie, że więcej do Wilna nigdy nie wróci.

Nazajutrz pojechał raz ostatni do Jaszun, pożegnać  
starych Śniadeckich i stamtąd z Beauprém udał się  
bryczką do Krzemieńca.

Juliusz jechał posępny i myślał: „moja droga  
otwiera się przedemną smutna, pozbawiona wszyst-  
kiego, muszę między Czerczą a Bazylianami przygo-  
tować się do walki z życiem.“

---

### **Powrót z uniwersytetu w r. 1828 do Krzemieńca.**

W przeciągu całej podróży z Wilna, to jest w prze-  
ciągu czterech dni, młody Słowacki był chmurny, mil-  
czący, zgnębiony; mało ze swym towarzyszem rozma-  
wiał. Do Krzemieńca zajechali nasi studenci już późno,  
a nawet dobrze po północy; księżyc oblewał jaskrawo



kościół pojezuicki, który według własnych słów Juliusza „księżycem biały przerażał strasznym trupim frontem”, a na myśl przychodziły mimowolnie „manuskrypta wewnątrz murów i korytarze, gdzie po ścianach czerwone serca Chrystusowe, niby plamy przez zbójców pozostawione przerażają oczy.” Podniecona fantazyja młodzieńca blaskami księżyca, obejmowała już nie tylko zewnętrzny widok miasta, ale wnikała w głąb murów klasztornej świątyni i odczuwała posępną grozę pustych przestrzeni. Zamkowa góra wraz z niższą, łysą u wierzchołka Czerczą, wydała mu się „jako koloseum”, ów sławny amfiteatr rzymski, miejsce przelewu krwi tylu tysięcy chrześcijan. Naokoło panowała głucha cisza; słowiki tylko od czasu do czasu napępniały powietrze uroczym śpiewem, a turkot wózka po bruku nierównym miasta wraz z dzwonkiem dziwnie, posępnie, miarowo odbijał się o zielonkowo białe ściany, drewnianych domków. Młody Juliusz złączył ten melancholijny i rzewny nastrój przyrody z nastrojem swego ducha i tak zapamiętał tę chwilę swego powrotu z Wilna, że w późniejszym jednym swoim liście z zagranicy tak pisze:

„Cóż bym dał za taką chwilę! zdaje mi się, że widzę tę górę zamkową, oświeconą księżycem i słyszę mój dzwonek pocztowy.”

Beaupré wysiadł wcześniej, a Julek zajechał przed dworek pp. Januszewskich. Zajechał od tyłu, żeby nagle nie budzić, ale Znajda swoim zwyczajem ujadać poczęła, a nie żywiąc dla Julka nigdy sympaty, uspokoić się nie dała. Mimo to nikt nie wychodził; po chwili namysłu zdecydował się furtkę od ogrodu odbić i choćby na ganku doczekać ranka. Nietyle ujadanie suki, ile szmer i odgłos odbijania furtki, zbudził dziadunia. Wy-

szedł staruszek na ganek, myśląc chwycić złodzieja, tymczasem poznał w dobijającym się, ukochanego wnuka. Otworzył furtkę coperdziej, uściśnął serdecznie Julka i do domku z radością wprowadził. Nie budzili jednak nikogo, dziadunio dał swoją lisiurkę — i znużony Julek, przespał się pod nią, „jak syn marnotrawny“ do rana.

Pani Becu zbudziwszy się nazajutrz, dowiedziała się wnet o przyjeździe syna; stęskniona, pobiegła do niego natychmiast, i z płaczem witała swego jedynaka, wymawiając, dla czego o powrocie nie uprzedził, dla czego nie dał jej możności oczekiwania na niego ze światłem, z gorącą wieczerzą. Dla czego nie pozwolił jej przywitać się natychmiast, ułożyć w wygodnej, miękkiej pościeli, co było koniecznem po tak długiej podróży, zwłaszcza, że po ostatnich egzaminach musi być bardzo, bardzo znużony.

— Mizerny jesteś, mój Julku, — mówiła matka, — patrząc z miłością w oczy syna, ale pod moją opieką przyjdiesz do sił, nabierzesz rumieńca i wrócisz do tego wyglądu, jaki miałeś po kąpielach w Odessie.

Nadbiegła Babunia i Teofilowie i zrobiło się gwarno w białym dworku dziadunia, zdawało się wszystkim, że z tym ukochanym Julkiem jeszcze więcej szczęścia w cichym, spokojnym domku być musi.

Julek rozgościł się w pokoju obok pokoju swej matki, miał teraz wypoczywać, nabierać sił i przygotowywać się do życia zupełnie nowego, do życia samodzielniego, w którym miał już zarazem pracować na kawałek chleba, miał zdobywać sobie stanowisko użytecznego członka społeczeństwa.

Tymczasem marzeniem chłopca była tylko poezya i sława z niej płynąca!

## Józef Korzeniowski.

Juliusz nie należał do młodzieców leniwych. Jakkolwiek nie lubił, nawet nie znosił narzuconych mu obowiązków, to jednak sam sobie potrafił czas tak rozłożyć, że nigdy nie bywał beczynnym. Rozumiał dobrze, że chcąc być poetą, trzeba się kształcić, trzeba poznać wszystkie wzory literatury ojczystej i trzeba poznać arcydzieła obcych literatur.

Począł więc przesiadywać w bibliotece licealnej i studyować takich mistrzów języka ojczystego, jak Kochanowski Jan z Czarnolesia, Trembecki, Antoni Malczewski, Adam Mickiewicz. Następnie pochłaniał wprost dzieła Byrona, i tak się przejął jego posepnym i satyrycznym duchem, że sam się nie spostrzegł, jak ten Byron stał się częścią jego istoty tak dalece, że w późniejszych Juliusza utworach, wpływ tego genialnego, ale smutnego, często zjadliwego i boleścią przesiąkniętego geniusza, udzielił się jego twórczości. Pod względem towarzyskim w Krzemieńcu było Julkowi lepiej, aniżeli w Wilnie, tu jeszcze Nowosilcow nie położył swej niszczącej łapy; gimnazjum rozwijało się dobrze, grono profesorów było wybornie dobrane, czołwał między nimi profesor *Józef Korzeniowski*. Ten szlachetny, rozumny i niezmiernie inteligentny, powieściopisarz na owe czasy najlepszy, zabrał ścisłą znajomość z Julkiem i zastąpił mu Szpitznagla, z różnicą, że Szpitznagiel działał u Julka potężnie na wrodzoną mu już fantazyę, a Korzeniowski zupełnie przeciwnie, rozwijał u Julka sztukę obserwowania wszystkiego co go otaczało, tak natury, jak i ludzi.

Szpitznagiel wywoływał w duszy Julka burze niecierpliwce, męczące go oczekiwania, spełnić się mających

marzeń, a Korzeniowski budził ducha spokojnej i rozważnej twórczości, a sam, układając sztuki do teatru, pisząc dużo komedyj, pouczał Julka sztuki scenicznej, odczytywał mu swoje manuskrypta. Czytał nawzajem utwory Julka i zyskał sobie wielką i nigdy niezmienną sympatyę i szczerzy szacunek młodego poety. Drugą bardzo ciekawą ze względu na charakter postacią w Krzemieńcu, był ksiądz Alojzy Osiński, także literat a bardziej krytyk. Odyniec przezwiał go *Vanitas Vanitatum* („próżność nad próżnościami”) i rzeczywiście, nie było na owe czasy istoty bardziej zarozumiałej, próżnej i złośliwej. Jest o nim anegdotka, że gdy miał fluksyę i bardzo cierpiał, to przecież każdemu się chwalił z tem, że doktor mu oświadczył, iż „tak doskonale rozwiniętej fluksyi, jeszcze w życiu swoim nie widział.”

Byli wówczas w Krzemieńcu i Aleksander Mickiewicz i Wacław Rzewuski, sławny ze swoich przygód wśród Arabów, przez nich uwielbiany i przezwany z arabska: Mirza Tudż-el Faher Emir Al Omrach. Mieszkał Rzewuski niedaleko od Krzemieńca w Sawranii, posiadał piękne wykształcenie, muzykę, śpiew, uczył młodzież jazdy konnej, odbywał z nią konne wycieczki, ubierał się po arabsku, otaczał kozakami i żył na sposób wschodni. Słowacki lubił go bardzo i gdy zginął w powstaniu pod Daszowem napisał o nim dumę przesłiczną p. t. „Duma o Wacławie Rzewuskim.“ Prócz naukowej pracy Juliusz bardzo dużo w tym czasie małował z natury. Rozrywkom nie wiele się oddawał, więcej lubił samotne przechadzki. Nieraz całą noc przesiedział i przemarzył na ławce w Botanicznym ogrodzie, zwłaszcza w tym czasie, gdy stale na czas długi zawisała nad Krzemieńcem bardzo jasna i wyraźna kometa. Pomimo

swej wrażliwej natury, był młody Juliusz zawsze bardzo rozsądny, czego dowodem fakt, że, gdy przyjechał do Krzemieńca sławny magnetyzer Onufry, nie tylko że w jego sztuki nie uwierzył, ale je wyśmiał w ten sposób:

— Widziałem baby wczoraj kołem siedzące około wielkiej wanny: każda przyłożyła sobie do bolącej części ciała rurę żelazną, przez tego Onufrego nabal-samowaną duchem i wyciągała z niej oburącz zacza-rowaną siłę. Co było najzabawniejszego w tem dziwnem widowisku, to szczegóół, że czupiradła owe postroiły się w strusie pióra i rajskie ptaki, dzięki czemu, podobne do indyków, wyglądały koło tej wanny z rurami pokręconemi, niby czaple i indyczki — nad wężowiskiem.

I śmiał się z przypisywanej siły tej kuracyi: „Siła? niuch tabaki wrzucił do wanny, baby kichają.“

I bardzo ubolewał nad błagą takiego oszusta, a bardziej jeszcze nad głupotą wierzących i marnujących pieniądze. Słowacki umiał pieniądz szanować, nie trwonił go nigdy, raczej był skąpy, aniżeli rozrzutny.

A przecież, mimo, zdaje się, życia urozmaiconego, Juliusz tak pisze w swym pamiętniku: „Nudziłem się bardzo przez te całe pół roku w Krzemieńcu, przez całe wieczory chodziłem po osobnym pokoju i myślałem... Marzyła mi się jakaś tragedia o Mahomecie.“

Nigdy jednak tragedyi tej nie napisał, bo wówczas za młody był na oddanie słowami bogactwa pomysłów, jakie rosły w jego wyobraźni, a później myśli tej zaniechał.

---

### Włóczęga po Podolu i Litwie.

Pani Becu, przeczuwając sercem matki, że Julkowi tęskno za bogatszymi wrażeniami, aniżeli te, których mógł mu dostarczyć Krzemieniec, zaproponowała przejażdżkę dla odwiedzenia różnych znajomych na Podolu i Litwie.

— Najchętniej, droga moja mamó, ty wiesz, że ja włóczyć się lubię, a każda podróż w strony nowe, jest najwyższą dla mnie rozkoszą.

I nazwał Juliusz tę podróż „włóczęgą po Podolu i Litwie.” Rozpoczęli naturalnie od Wierchówki; tam był już i brat p. Becu, Jan Januszewski, jako narzeczony owej czarującej Julci Michalskiej. Tu, jak dawniej, najmiłsze chwile spędzał nad jeziorem w Julinkach, obserwując łabędzie wypływające wspaniale z pośród ajerów (tataraków) i łaskawie biorąc pokarm z rąk Jasia i Julci. Z Wierchówki zrobili dalszą wycieczkę do posiadłości zmarłego przed kilku laty szlachcica, hrabiego Ignacego Ścibor Marchockiego herbu Ostoja. Był to wielki oryginał, utworzył swoje własne państwo Minkowieckie, zrobił graniczne słupy i położył napis: „Granica Państwa Minkowieckiego od Państwa Rosyjskiego.” Rządząc tem państwem, miał zamek feudalny w Ostrokwie, w Przytulii wspaniałe ogrody, równające się tuleczyńskim, swoje własne ustawy i prawa zastosowane do obyczajów narodowych. Miał przyboczną radę z kmieci złożoną i wspaniale obchodził co rok uroczystość *Dożynek*, nadawszy im nazwę *Święta Ceryery*. Podczas tej uroczystości on, pan Ścibor, szedł na czele zgromadzenia, ubrany w purpurową togę, otoczony swą przyboczną radą. Następnie dziewczęta w swych ślicznych koszulach, powiewając wstęgami od

warkoczy i koralu na szyjach, uwienieczone kłosami pszenicy, dźwigały na barkach krzesło, na którym siedziała jedna z córek hrabiego w stroju Cerery, greckiej bogini urodzajów. Wszyscy szli w pola z pieśniami zastosowanymi do uroczystości. Postać Marchockiego bardzo oryginalna, podała Słowackiemu później myśl do napisania po francusku romansu p. t. *le roi de Ladawa*, znanego nam w wyjątkach dopiero z dzieł pośmiertnych.

Gdy się zbliżali w podróży swej do granic państwa Minkowieckiego, tak opisuje wrażenie sam Juliusz: „Zamek był na szarawej skale, pokrytej lasem topoli i dębów. Ponad nimi na niebie rysowały się nieregularnego kształtu wieże. Bok skały, na której wznosił się zamek, przedstawiał dość spadzistą pochyłość, zupełnie zieloną, z czego skorzystał właściciel tej posiadłości, zakładając przepyszny ogród w guście angielskim, z wyjątkiem bram i łuków tryumfalnych, zbudowanych na sposób rzymski. Ogród przecinała mała rzeczulka, zwana Ladawa, która przebiegłszy liczne gaje, wpadała do Smotrycza, u ujścia tworząc rodzaj niewielkiego jeziora.“ A dalej „była to chwila owego południowego milczenia, bardziej imponującego jeszcze, aniżeli cisza północy, zaludniona duchami i widmami; albowiem była to owa martwa i smutna jasność letniego słońca, które doszło do swego najwyższego punktu.“ Tak się przedstawiał Juliuszowi zdaleka zamek feudalny Ostrokowa. Tu zabawiła pani Becu dni kilka, a Juliusz z niezmiernem zajęciem rozpatrywał nową dla siebie okolicę, wspaniałe podolskie krajobrazy, i tu zebrał mnóstwo bogatych wrażeń dla wielu prześlicznych scen w późniejszych utworach. Zrobiwszy jeszcze kilka wycieczek w najpiękniejsze strony Podola, napił swoje oczy widokami zupełnie odrębnej natury, napił się tego powietrza, na-

plywającego szerokimi falami z pagórów, tak charakteryzujących ziemię podolską, nasłuchiwał się pieśni, zawodzących rzewną, trochę weselszą od ukraińskich melodyą, i tak się przejął tą bogatą, a przecież zupełnie odmienną naturą, że w zupełności zasłużył na nazwę *Podolskiego poety*. Wszystko, co zgromadził we własnym kraju, widoki, charakter osób, odrębne narodowe cechy, stały się później niewyczerpanym skarbem jego twórczości, ciąglem, rzewnem wspomnieniem, które nigdy w ciągu długiej, dośmiertnej jego tułaczki nie opuściło go ani na chwilę i zdołało pokryć własnym, rodzinnym kolorytem, nawet wrażenia, odbierane w najpiękniejszych miejscach Szwajcaryi lub Wschodu.

Zawsze i wszędzie patrzył Juliusz oczami Polaka, czuł sercem Polaka i wiecznie tęsknił za swoją ziemią i wrażeniami w niej zebranymi. W najpiękniejszych miejscach zagranicą zawsze widział podobieństwo do Julinek, do Krzemieńca, do Jaszun, do Mickun, do tych bżów, kalin, jarzębin i rubinowych poziomek leśnych. Był to ptak wytracony z gniazda, ale niemogący o niem zapomnieć; był śpiewak, który zawsze i wszędzie rodzinną i ojczystą tylko nutę pamiętał tak dalece, że można go śmiało nazwać *poetą wspomnień*.

### Ostatni raz na Litwę.

Objechawszy znajomych na Podolu, pani Becu skierowała podróż na Litwę, do której zawsze całe życie tęskniła, jako do najmiłszych wspomnień z czasów życia ojca Julka. Pragnęła odwiedzić znajomych i Olesię Becu, teraz już panią Mianowską.



Tak więc raz jeszcze i to już poraz ostatni w życiu zajechał Juliusz do Jaszun, do Śniadeckich i poraz ostatni widział Ludkę taką smutną nad strumieniem,

. . . . . *gdzie wianki koralów*  
*Na włosy twoje kładła jarzębina.*

Poraz ostatni ucieszył się jej nad wyraz łaskawem obejściem, gdyż po śmierci Korsakowa, chętnie widziała szczere przywiązanie Julka. Jan Śniadecki udzielił młodemu Słowackiemu polecające listy do Warszawy, do ks. Lubeckiego, ministra skarbu i do Kajetana Koźmiana z najchlubniejszymi o zdolnościach i charakterze młodego człowieka świadectwami. Pożegnawszy wszystkich przyjaciół i znajomych, ze łzami w sercu wracał Juliusz na Wołyń. Że smutny był, dowodzi ustęp jego z listu w lat 10 pisany do matki:

„Dziesięć lat temu, czułem o tej samej porze, woń sosnowych lasów koło Oszmiany. Jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie, droga moja, wjeżdżać z tobą przed ten dom żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina koralowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, bo ja wszystko sobie wskrzeszę w pamięci!...”

Czyż istotnie nie żył Juliusz wspomnieniami?

Wracając, musieli zawadzić nasi podróżni o Pińszczyznę. Tu zupełnie nowy krajobraz uderzył oczy młodego poety. Równina, jak okiem sięgnął, błotnista, smutna, biedna, pokryta mnóstwem rzeczulek, strumieni, jezior, bagien; gdzie niegdzie lasy przerywały ten nieukończony smutny krajobraz, którego ozdobą w tej porze było mnóstwo przepięknych lilii wodnych, nenufarów. Zdaje się, że tu jest ojczyzna tego tak u nas poszukiwanego kwiecica. Na szerokich, wielkich liściach

pięknego kształtu i zieleni, bieleją te wodne róże, a w około nich spowite grzeją się w słońcu litewskie węże. I o tem w liście z r. 1835 pisze Julek do matki:

„Czy pamiętasz mammo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu?“

W innym znów do Zygmunta Krasińskiego, tak pisze:

„Jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilii wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu, chłopstwo jadło kwiatów łądygi, nie mając chleba.“

A jak trwałemi były jego wspomnienia, dowodzi śliczny ustęp z utworu jego p. t. *Lilla Weneda*. Córka ratuje ojca, skazanego na śmierć głodową, za pomocą wieńca z nenufarów, w jaki ustroiła swe włosy i prosi królowę Gwinonę, by ją do ojca wpuścić kazała.

*W niezawiazanej przychodzę koszuli,  
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,  
Lecz wy mnie puście do ojca mojego  
Który od dwóch dni jest morzony głodem.  
Ja go nie mogłam zbawić, więc pożegnam.  
Dla tego głowę ubrałam w lilije,  
Wte wodne kwiaty, które u nas kładną  
Dziewicom zmarłym na ostygle czoła.  
O pani! spuść ty ze swojej srogości!  
O! pani! . . . . .  
Ja biedna zimne węże rozczuliłam,  
I tak się do mnie gady przywizały,  
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,  
Jak pies wyjący smutnie z przywizania...  
I cóż ja winna, że węże wołały  
Słuchać mej pieśni, niż mojego płaczu?*

*A żem ja węże zimne rozczuliła,  
Dla czegoż w tobie powiększyłam srogość?  
Czy ty zazdrościsz mi pani zwycięstwa,  
Które mi ojca mego wybawiło?*

*O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,  
A ja go będę na śmierć skazywała,  
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,  
Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni,  
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,  
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał:  
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,  
W czoło chcę tylko pocałować zimne,  
Powiedzieć jego głuchemu trupowi,  
Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.*

*O! patrz! koszula moja niezwiązana,  
Nie niosę chleba, ani żadnej strawy:  
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,  
To wleci za mną jaka muszka złota  
I ten ją starzec zje?... O! pani moja,  
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka  
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.*

*Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo  
I nikt się o mnie biedną nie upomni!  
O! proszę ja was, kaźcie wy mnie wpuścić  
Do mego ojca głodnego.*

A potem wróciwszy od ojca, Lilla woła:

. . . . .

*Królowo! ojca mego nakarmiłam.  
Mój ojciec do mnie należy, królowo!  
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,  
W liliach było mego ojca życie!*

*Ja życie ojca przyniosłam na głowie,  
Jego zbawieniem ukoronowana...*

Tylko wielki i wrażliwy umysł poety mógł obrazek z błot pińskich tak ślicznie, tak nieskończenie pięknie przenieść do swego poematu i tak wdzięcznie do okoliczności dostroić. Czyż i tu nie czujemy, jak silne były wspomnienia ze stron rodzimych — i jak wielką grają rolę w jego twórczości pod obcym, wesołym i pięknym niebem?

### **Pożegnanie matki.**

Juliusz Słowacki powróciwszy z matką do Krzemieńca, zastał miłą niespodziankę u Teofilów, maleńką ich córeczkę, śliczną dziecinę, której nadano imię Melania. W całym domu radość była z tego powodu ogromna, a Juliusz, kochając serdecznie Teofilów, podzielał również ich szczęście. Ostatnie tygodnie swego pobytu w domu poświęcił zupełnie matce; odbywał z nią wycieczki na Czerczę — lub do botanicznego ogrodu, skąd się rozciągał przepyszny widok na cały Krzemieniec — i tam długie prowadził z nią rozmowy.

— Synu mój drogi, — mówiła pani Becu, — z boleścią dla mojego serca muszę myśleć o twoim wyjeździe. Ty musisz jechać w świat dalszy i szerszy, musisz sobie zdobyć odpowiednie stanowisko.

— Wiem, że tu siedzieć nie mogę, a przecież rozpacz mnie bierze, gdy pomyślę o projektach, jakie ty, mamo, snujesz dla mnie.

— Moje drogie dziecko, przedewszystkiem kawałek chleba, o nim myśleć muszę ja dla ciebie i ty dla siebie, bez pewności utrzymania nie możesz spełnić żadnych twoich planów.

— Ale wiedz mamó, że mnie urzędowa praca za-  
bić może; ja od dziecka marzyłem o przestrzeniach bez-  
granicznych dla mego oka i ducha, a wobec twych pla-  
nów, mamó, czeka mnie pokój pełen dymu, stolik zie-  
lonem suknem kryty, lub niekryty i pisanina bezmyślna;  
ty nie wiesz, mamó, czy ja wytrwać potrafię?

— Trzeba moje dziecko... najpierw kawałek chleba,  
a później praca poetyczna, bo ta ci bytu nie da. Ja zapa-  
dam na zdrowiu coraz częściej a gdy umrę, czy ty wiesz,  
drogie dziecko, że będziesz miał bardzo mało, zaledwie,  
na najskromniejsze utrzymanie. To, co ci przy-  
pada po ś. p. ojcu twoim, nie wystarczyłoby na to życie  
romantyczne, o jakim marzysz.

Ton tej rozmowy niemile działał na rozmarzonego  
młodzieńca; zwykle odpowiadał milczeniem, lub  
idąc za wrodzonym upodobaniem, zmieniał przedmiot  
myśli i powoli wciągał bezwiednie matkę swą w ro-  
mantyczne marzenia, a wówczas najmilsze z sobą  
spędzali godziny, chodząc po alejach w księżycowym  
świecie i trzymając się za ręce.

Nadszedł jednak czas wyjazdu; pani Becu całą siłą  
woli panowała nad swoim żalem i trwogą o najuko-  
chańsze, jedyne dziecko,—bała się, czy sobie da radę  
sam w obcym mieście. Rachowała dużo na Odyńca, że  
ten zaopiekuje się Julkiem w Warszawie, rachowała  
na opiekę ks. Czartoryskiego i Kajetana Koźmiana, ale  
to wszystko mało było wobec trwogi o syna. Tych  
samyh uczuć doznawał Juliusz, lecz z drugiej strony,  
nęcił go świat nowy, do którego dążył, a kto wie, czy  
i nie myśl, że wyjazd ten do Warszawy, jest pierwszym  
krokiem do życia romantycznego, za którym tęsknił.  
W końcu przyszło do pożegnania i ostatniego wyjazdu.

Usposobienie matki w tych chwilach, najlepiej maluje wiersz Juliusza, który napisał, opuszczając Krzemieniec:

*Synu, wstępujesz teraz w trudną życia drogę,  
Gdzie już nad tobą czuwać i strzedz cię nie mogę!  
Rzuciwszy dom, rodzinę, w obce idziesz kraje,  
Gdzie ci nieznane serca, nieznane zwyczaje.  
Teraz ci zorzy szczęścia jaśnieją szkarłaty,  
I nadzieja po drodze, bujne sieje kwiaty.  
Ale, gdy wiek dojrzałszy uczucia przemieni,  
Gdy ujrzysz się sam jeden w tym obcym ci tłumie,  
W którym nikt twoich myśli, serca nie zrozumie:  
Wtenczas choć myślą wracaj w ojczyste krainy,  
I przenieś się na łono kochanej rodziny;  
Przypomnij dom, gdzie lata spędziłeś dziecinne,  
Przypomnij braci, siostry, zabawy niewinne,  
Wspomnij na twego ojca, co się cieszy w niebie  
I co z górnych przybytków, spogląda na ciebie.  
Bądź zdrow synu! Ach! trudna, trudna życia droga!  
Błogostawię cię jeszcze, wezwij w pomoc Boga,  
Jedź, żegnam cię . . . . .*

Zajechały sanki pocztowe, zadrgał dzwonek u dyszla i odjechał młody Słowacki, z nieopisanym żalem za tymi, co stali na ganku: za matką, za dwojgiem siwych staruszków, za Teofilami.

Pojechał — i wołał do Boga głosem zdławionym:

*O! jakże smutno w jasnej życia wiosnie,  
Być tak samotnym! . . . . .*









*Pod wasze stopy rzucamy niewieście  
Grobowce nasze, a wy na mogiłę  
Wstąpcie — a kto wart — tego wskrzeście!*  
*Juliusz Słowacki.*

Tom II.

— **JULIUSZ.** —

Wiek młodzięczy, dojrzały i twórczość poety.  
1829—1849.



## Warszawa.

W dniu 15-go lutego 1829 r., jak pisze sam Słowacki w swoim pamiętniku, opuścił Krzemieniec i udał się pocztowemi saniami do Warszawy. Podróż trwała dwa dni; dwa dni... to było bardzo długo dla młodzieńca, który, opuściwszy ukochane progi domowe, oddać się musiał smutnym rozmyślaniom o swej przyszłości. Nie był to kulig wesoły do Jaszun! ten dzwonek nikogo nigdzie nie wywołał na ganek dla wesołego powitania. To była podróż, na końcu której miało się ukazać nieznanne miasto, a w niem pustka dla niego, mimo ulicznych tłumów, i ten straszny stolik w kancelaryi, zielonem suknem obity, plika papierów, nudne urzędowe sprawozdania i monotony skrzyp pióra, notującego bezmyślne cyfry.

Było mu smutno! Tam daleko zostawił wszystko ukochane, jedno tylko jechało z nim — wspomnienie!...

Gdy się nareszcie ukazały wieżycy miasta, mimo woli otrząsł się młody Juliusz z zamyślenia, i polecił woźnicy jechać do parku Łazienkowskiego; tam bowiem mieszkał, w koszarach, jedyny jego znajomy, ex-ułan z gwardyi napoleońskiej, oficer Stejn. Wypocząwszy chwilę u Stejna i przebrawszy się z podróż-

nych sukien, Słowacki wziął sanki i kazał jechać do Błękitnego pałacu, hr. Stanisława Zamojskiego, gdzie mieszkał Odyniec. W drodze niemiła spotkała go przygoda; z wielkim pędem najechały obce sanie na jego sanki, a zaledwie zdołał przychylić się, gdy rozszalałe konie przesadziły sanki i padły, płacząc się w uprząż. Woźnica został wyrzucony z siedzenia, a Słowacki nieprzytomny znalazł się pomiędzy końmi. Cała ta przygoda skończyła się jednak o tyle szczęśliwie, że młody poeta, bez żadnego uszkodzenia, został z pomiędzy koni wyciągnięty, a uspokoiwszy się, wsiadł do innych sani i pojechał do Odyńca. Skłonny jednak zawsze do przewidywania złego, tak mówi w pamiętniku:

— Przypadek ten uważałem, jak za jaką wróżbę mego pobytu w tem mieście.

Odyńca zastał w domu, przy pracy literackiej dla hr. Zamojskiego.

— Jak się masz Julku? — powitał go serdecznie dawny znajomy.

— Nieświetnie wita mnie Warszawa, bo mnie o mało nie zabiły konie przed chwilą.

Tu opowiedział Juliusz swój wypadek.

— A matka twoja, Julku, czy zdrowa?

— Niebardzo, w tych czasach cierpiała często, a nawet całe wieczory przeleżała na swej kanapce, co mnie w rozpacz wprawiało.

— Jak mi jej żal, tak kocham to zacne, szlachetne serce!

— Masz tu, kochany Edwardzie, list do ciebie od mojej matki, przyjechałem ci go wręczyć.

Po chwili Odyniec, przeczytawszy list, rzekł wesoło:

— Nie trap się niczem, wszystko będzie dobrze, mieszkanie znajdziemy, w urzędzeniu ci pomogę, do komisji skarbu zaprowadzę, ale wpiery musisz iść Julku koniecznie do ks. Czartoryskiego.

— Mam list i do niego, i do Koźmiana.

— A do tego „starego“, który razem z królem Zygmuntem I., jeden nosi przydomek, to pedant, nudziarz, ale dla Śniadeckiego, każdy tu robi wszystko. Bądź tylko dobrej myśli, dobrze ci będzie z nami w Warszawie.

Nic na to Słowacki nie odrzekł; — Lubecki go przerażał; co on, poeta, może mieć za związek z ministrem skarbu, z człowiekiem, który mu każe rachować.

Zabrali się obaj młodzi ludzie i poszli na Leszno do znajomego Odyńcowi Tadeusza Hrehorowicza, byłego wileńskiego akademika. Zastali go na szczęście w domu.

— Tadeulu mój drogi, przedstawiam ci tego młodzieńca, jest to Juliusz Słowacki, syn Euzebiusza, pracować ma w komisji skarbu, przyjechał dziś i chwilowo nie ma mieszkania, udziel mu przyjaznego schronienia, póki się sam w mieście nie rozpatrzy; będzie wam obu miło, boć i ty w tem biurze pracujesz.

Hrehorowicz z całą otwartością uściskał rękę młodzieńca i prosił, aby jego mieszkanie za swoje uważał. Ucieszony Julek z obrotu sprawy, pojechał z Odyńcem do Stejna — zabrał swoje pakunki i zamieszkał u Hrehorowicza, człowieka niezmiernie dobrej i sympatycznej natury.

---

\*) *Tadeulu*, tak zdrobniale nazywał zawsze Odyńiec Hrehorowicza.

### Książę Lubecki.

Ministrem skarbowości w Warszawie, był wówczas ks. Lubecki, człowiek bardzo zdolny, energiczny, dbający ogromnie o dobrobyt kraju, bo rozumiał, że od niego zależy szczęście pojedynczych członków i całego państwa. W dobrobycie Lubecki widział nawet przyszłą niezależność Polski. Książę ten, uprzedzony przez ks. Adama Czartoryskiego i mając złożone przed sobą chlubne świadectwa uniwersyteckie, przyjął Słowackiego bardzo życzliwie i polecił szczególnej opiece swemu sekretarzowi Miniewskiemu. Miniewski, człowiek dość inteligentny, wskazał biuro, przy którym miał Juliusz pracować, położył przed nim różne akta do przepisywania, objaśnił, słów kilka zachęty powiedział i wrócił do swego pokoju.

I siadł młody poeta, z duszą kołysaną marzeniami romantycznego życia, przy stole obitym zielonem sukniem, spojrzął na papiery, które raczej spalić, niż przepisywać brała go chętka i z rozpaczą dziecka, które bezsilne jest wobec tego, co mu robić kazali, wziął pióro do ręki i zaczął przepisywać. Od g. 9 rano przepisywał tak do godz. 3 po południu; męczył się w dzień godzin sześć, siedział przy swoim stoliku smutny, milczący, pracował sumiennie, a w duszy toczył walkę. Widział Jaszuny, Krzemieniec. Czerczę, słyszał rozbity licealny dzwonek, gwar studentów w korytarzach, widział leżącą matkę chorą, czerwony ogień z kominka, padał na jej twarz blada. Widział ten zawieszony krucyfiks nad drzwiami, taki biały, smutny, słyszał Melanki kwilenie, to znów stawała przed nim Ludka, Zakret, konne przejażdżki, czuł nieomal woń fijołków, śpiew słowików...

I męczył się ten młody chłopiec, podejmując pracę przeciwną swej naturze, a jednak pisał sumiennie i chodził do biura regularnie.

Hrehorowicz prędko polubił Juliusza, a przy swej łagodnej, pełnej dobroci naturze, poddał się nawet wszystkim, kapryśnym nieraz wybrykom towarzysza, gdyż Julek nie będąc nigdy wesołym i z życia zadowolonym, tem chmurniejszy był w Warszawie, a nawet często bardzo zgryźliwy.

Wróciwszy raz z biura, w pierwszych dniach kwietnia, rzekł do Hrehorowicza:

— Czy nie wiesz, Tadeulu, co się dziś stało w mieście? — po ulicach skupiają się gromady ludzi, akademicy biegają i naradzają się tajemniczo; coś się stać musiało, słyszałeś co może?

— A podobno dziś umarł wojewoda Bieliński.

— Nie może być! trzebaby pójść do Odyńca, on tam wszystko wie z pewnością. Ten motylkowaty młodzieniec wszędzie jest i wszystko widzi.

— A i owszem, bierz kapelusz i chodźmy.

Młodzi ludzie za chwilę znaleźli się na ulicy i dążyli w stronę Saskiego ogrodu, do domu Zamojskiego, ordynata.

— Wiesz co, Julek, przejdźmy Saski ogród, popatrzymy trochę, bo i tu lubi Warszawka gromadzić się pod cieniem kasztanów, a Stary Koźmian powiada, że:

*z extraordynaryjnej ordynata łaski,  
Odyńcem z Ordynćem patrzą w ogród saski.*

— Któż to Ordyniec?

— Sąsiad Odyńca; okna obydwóch wychodzą na ogród.

— A rozumiem, motyl śledzi róże w ogrodzie; dobrze, chodźmy, jak będzie w oknie, wstąpimy do niego, jak nie, przejdziemy przez miasto zachwycić języka.

Weszli w ogród; tu było to samo, co na ulicy; gromadki żywo rozprawiały, widocznie coś się gotowało. W głębi jednej ustronnej alei, obok stawu, stała grupa akademików, Hrehorowicz znał kilku z nich.

— Siadajmy tu Julek na chwilę, znam między tymi prymasa akademików, Łubieńskiego, patrz, ot tego, co tak żywo rozprawia. Okrutny z niego patryota, krzyczy zawsze głośno, może coś posłyszemy.

Słowacki chętnie przyjął propozycję, bo staw i pływające po nim łabędzie, przypomniały mu Julinki, Wierzhówkę i usiadłszy na ławce, zatonął w własnych wspomnieniach... Po chwili doleciały go słowa żywo z pewną zawiścią powiedziane.

— A ja wam mówię, że nie przyjdzie!... no, ale jeżeli nie przyjdzie, wypoliczkuje go w auli! (sala uniwersytecka), ja nauczę tego dumnego hrabiczka, kochać kraj ojczysty.

Ostry, donośny, groźny ton głosu, wyrwał Słowackiego z marzeń.

— O kim że on tak pogardliwie mówi?

— Nie wiem, nie znam bliżej jego stosunków.

Wtem od strony przeciwnej zbliżał się w ich stronę smukły młodzieniec; biegł szybko, a był tak zamyślony, że minął siedzących, nie spojrzawszy na nich.

— Edward! — zawołał Hrehorowicz i szybko zabiegł mu drogę.

— Ach, Tadeulo! a ty co tutaj robisz?

— Dokąd tak szybko biegniesz? do ciebie iść chcieliśmy.



— A któż jest z tobą?

— Julek.

Odyniec odwrócił się, a Słowacki jednocześnie podchodził ku niemu.

— Cóż wy tu robicie?

— Szliśmy do ciebie, pytać co się w mieście dzieje?

— Bieliński dziś życie zakończył, olbrzymia będzie manifestacya, całe miasto w żałobie, panie w kre-pach, Czartoryski powie przy trumnie mowę. Biegnę teraz do generałowej Dąbrowskiej, tam szczegółów się dowiem, chodź ze mną Julek. Tadeulo tam nie bywa, wróci do siebie, a ty chodź.

— Jakże tak, nieubrany? idę prawie prosto z biura.

— Dziś tak wszyscy zajęci śmiercią Bielińskiego, że nikt patrzeć nie będzie, czyś mniej wystrojony, jak zwykle. Tadeulu, bądź zdrow, wracasz do siebie?

— Nie, zajdę do Honoratki, wypiję kawę i posłucham.

Słowacki dał się namówić i poszli na herbatę do generałowej.

### **Pogrzeb Bielińskiego.**

Ulice Warszawy roiły się w pierwszych dniach kwietnia 1829 r. od napływających ciągle tłumów; a wszyscy szli w jednym kierunku i z jednego znów punktu rozchodzili się w różne strony. Ciało zmarłego wojewody wystawione było w jego mieszkaniu, a dostęp do niego otwarty był dla wszystkich. Wdzięczne serca z głośnym często płaczem, rzucały się u stóp katafalku, wzniesionego dla tego sprawiedliwego i od-

ważnego Polaka. W trzecim dniu, od daty śmierci, miał nastąpić pogrzeb; nabożeństwo zapowiedzianem było w kościele św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu.<sup>1)</sup> Patrole W. ks. Konstantego uwijały się gęsto wśród płynących tłumów, które w milczeniu, przesuwały się ulicami. Szpiegi, nasłani przez Nowosilcowa, nadstawili zbrodnicze ucho, dla pochwycenia głośniejszego nieostrożnego słowa. Sam Nowosilcow przeparadował kilka razy na koniu.

W. książę Konstanty, mówiono, wściekał się w Belwederskim pałacu na samą myśl, że ten Bieliński odniósł nad nim zwycięstwo.\*)

Nadeszła chwila pogrzebu; kościół zapelniał się po brzegi, tłumy stały na ganku u wejścia, tłocząc się koło figury pochylonego Chrystusa, aby widzieć zdala nadchodzący kondukt pogrzebowy. Gęsty szpaler żandarmów, jakby cierniem osaczył ulicę po stronie kościoła. Gdy karawan zatrzymał się przed świątynią, zrobił się naraz zamęt, ktoś drzwi od kościoła zatrzasnął, a żandarmi nie dopuszczali zdjęcia trumny z karawanu. Wówczas młodzież akademicka z Łubieńskim na czele, złamała linię żandarmów; jedni porwali ciało wojewody na ramiona, drudzy rzucili się do wyważenia drzwi w kościele. Podwoje pod naciskiem ustąpiły; akademicy, wśród przerażonej w głębi kościoła publiczności, złożyli trumnę na katafalku, wspaniale przybranym. Nastąpiła cisza, przerywana od czasu do czasu żalonym wybuchem płaczu dwóch małych dziewczynek, sierrotek, które u stóp trumny wraz

---

<sup>1)</sup> Według pamiętników z Dąbrowskich *Mańkowskiej*. — Pogrzeb Piotra Bielińskiego, prezesa Sądu sejmowego, odbył się według Dziejów *Sokołowskiego* (IV, 1510), dnia 12 marca r. 1829.

<sup>2)</sup> Patrz: Wyjaśnienie na końcu tomu.

z matką klęczały. Wszystkie damy, otaczające katafalk, były w grubej żałobie, mężczyźni i akademicy nieli krepę powyżej łokcia na rękawie. Cała świątynia była kirem obleczona, a w tej grobowej ciemni, jarzyło się tysiące świateł pośród wspaniałej zieleni. Mszę św. rozpoczął cichym, posepnym głosem ksiądz arcybiskup Woronicz, po skończeniu której ks. Adam Czartoryski wypowiedział mowę dla uczczenia pamięci zmarłego. Następnie akademicy, wśród niczem niezamąconej ciszy, wzięli trumnę na barki, i kondukt pogrzebowy skierował się ku Powązkom. Za trumną szło mrowie ludzi; szły wszystkie stany bez wyjątku, szły wszystkie szkoły, szli żebracy, kalecy, starcy; nie było tylko tych, którzy trzymali stronę rządu, a więc nie było generała Wincentego Krasińskiego, i nie było między akademikami jego syna, młodziutkiego Zygmunta. Biedny młodzieniec nie mógł się oprzeć rozkazowi ojca, i rwał sobie włosy z rozpacz — i gorzkie łzy wylewał, bo on za ojczyznę byłby chętnie dał swe życie.

---

### Pojedynek.

Nazajutrz po pogrzebie, Słowacki zbudził się w stanie silnego rozstroju nerwów. Tadeulo również smutny, mało się odzywał; milcząc, obydwu zbierali się do biura, milcząc, wypili śniadanie, aż dopiero wychodząc już z domu, Hrehorowicz spytał:

— Czy dziś wrócisz z biura prosto do domu, czy też masz zamiar gdzieindziej?

— Zamiaru dotąd nie mam żadnego, ale o co ci idzie?

— Bo ja, zjadłszy obiad, pójde na kawę do Honoratki, jestem pewny, że niejedno usłyszę.

— To mi opowiesz, wróciwszy; ja się czuję zmęczony; ten pogrzeb wczorajszy zrobił na mnie silne wrażenie, ty wiesz, że ja wszystko silniej odczuwam po spełnionym już fackie, aniżeli w samej chwili działania. O, jakbym dziś nigdzie, nigdzie nie poszedł, ale pisał, i pisał bez końca! Przekłete biuro! gnębi myśl moją i zatruwa mi każdą chwilę życia.

Po tych słowach wziął kapelusz, rękawiczki, tekę z papierami i kwaśny poszedł do biura; w drodze już nie się do towarzysza nie odzywał.

O czwartej godzinie po południu, wróciwszy z biura, korzystając z samotności, chciał pisać, nie kleiło mu się, rzucił pióro, wyciągnął się na kanapce; — zaczęła go brać tęsknota za domem, za matką i począł marzyć półsennie, pół na jawie... o czym?... o Jaszunach, Julinkach, Czerezy... To znów stawał mu w oczach obecny stan groźny Warszawy i tak przemajaczył do godziny siódmej. O siódmej wrócił Hrehorowicz; Tadeulo wszedł do pokoju z przepiękną różą w rękę i tę zdaleka ukazywał Julkowi. Róża w kwietniu była osobliwością.

— Patrz Julku, jak piękna, wonna!

Na te słowa nagle Julek się zerwał z kanapy, różę wyrwał, stargał i po podłodze listki rozsypał. Zdumiony Tadeulo, zawołał:

— I za cóż taką mi przykrość zrobiłeś? — róża była tak piękna!

I znowu Julek niespodzianie za całą odpowiedź, rzucił mu się na szyję i serdecznie zapłakał.

— Et, głupstwo róża, — zawołał wzruszony towarzysz, — słuchaj Julek, opowiem ci, com słyszał u Honoratki. Oto Łabieński wypoliczkował młodego Krasień-

skiego w uniwersytecie za to, że nie był na pogrzebie Bielińskiego, a wszyscy koledzy, okrzyknawszy go zdrajcą, odsunęli się od niego w ławce. Chłopiec podobno zemdlał, zrobiła się straszna awantura, no i naturalnie, Krasiński wyzwał Łubieńskiego na pojedynek.

— Powinien był tak zrobić; ja z zimną krwią partryłbym w oczy śmierci, gdyby chodziło o honor mojego nazwiska.

— Ale słuchaj dalej; — generał Krasiński oparł się o W. ks. Konstantego. Ten waryat, zaraz wezwał generała Łubieńskiego i krzyknął:

— Generale, gdyby nie to, że jest waszym sytem, kazałbym go wychłostać na środku Saskiego placu, a potem posłałbym go gryźć śniegi sybirskie, a tak ma iść precz z uniwersytetu i z kraju, w dwadzieścia cztery godzin ma go tu nie być. Rozumiesz generale?

Łubieński, skłoniwszy się po wojskowemu, miał odpowiedzieć:

— Wasza Książęca Mość wybaczy, młodość ma swoje prawa i swoje wady.

— No i Krasiński ma iść precz, on się nie podał na ojca, to też buntowszczyk, tylko jeszcze się boi...

— Zaczynają się gwałty powoli; przeczucie mi mówi, że teraz każdy dzień coś nowego przyniesie. Cóż więcej słyszałeś, Tadeulu, gadał, pracować dziś nie mogę.

— Prawdziwego nie, ale strasznie smutne i głuche chodzą wieści o ciągłych aresztowaniach, nie jest się bezpiecznym na ulicy, podobno jakiegoś studenta wbrew jego woli na ulicy dobosz ostrzygł i ogolił.

— Pięknie zaczyna Mikołaj!... — i zamilkli obydwaj, smutnym się oddając dumaniom. Słowacki nałożył fajkę i powoli ciągnął dym począł.

— Wiesz Tadeulu, znalazłem nareszcie mieszkanie w domu Paca, przy Miodowej, już ci się dłużej nie mogę narzucać, masz kłopot ze mną. Pożegnaj cię od połowy miesiąca.

— Czyż ja ci to dałem uczuć kiedy? Szkoda, miło mi było z tobą; mogłeś nawet zostać tu nadal, bo ja muszę zajrzeć na moją Litwę kochaną — póki tam ci-szej trochę, słyhać coś, że i tam patryotyczne związki szerzą się bardzo; żeby ich tak nie wyłapali, jak tutaj.

— Och, pewnie, Bieliński nie żyje, kto by ich broił tak dzielnie i odważnie.

— Słyszałem jeszcze, że postanowili już ostatecznie odsłonięcie pomnika Kopernika na jedenastego maja. Warszawa znów cała wylegnie, Niemcewicz ma gadać, pójdziemy Julku, prawda?

— A pójdziemy, naturalnie. Kto to robił jego popiersie?

— Thordwalsen.

— Ja znów słyszałem, mówił mi w biurze Miniewski, że koronacya Mikołaja ma się odbyć 22 maja na pewno, znów będzie na co patrzeć. Prosiłem o urlop, bo słaby się czuję, może mi Lubecki użyczy na lipiec, to jeszcze i Mikołaja obejrzę.

— Dadzą ci to urlop tak wcześnie?

— Kazali mi się starać o obywatelstwo tutejsze, muszę więc załatwiać różne formalności, niezależne odemnie; tym sposobem niespodziewanie zajrzę do moich.

I tak gawędząc na temat coraz obojętniejszy, zjedli młodzi ludzie kolację i do snu się ułożyli.

## Juliusz u siebie.

W połowie kwietnia przeniósł się młody Słowacki do własnego mieszkania. Jakkolwiek był miły Tadeulo, przecież krępował go w pracy poetyckiej. Juliusz porobił już dużo znajomości, miał otwarte przed sobą salony panny Kickiej Teresy—i pp. Węgrzeckich; miał dom pani generałowej Dąbrowskiej, prawie jak swój własny, bo tam każdego dobrego Polaka serdecznie witano. Zapoznał się z kilku poetami, pragnął więc teraz tworzyć, a dla tego musiał sam mieszkać, aby w takich godzinach natchnienia nie być krępowanym niczyją obecnością. Umieblował sobie mieszkancko starannie, kupił fortepian, ustroił okno i biurko kwiatami, i teraz po pracy biurowej oddał się pisaniu poezji. Umieszczał utwory swoje w dzienniku redagowanym przez Odyńca a zwanym Melitele. Był to dziennik podówczas najlepszy ze wszystkich pism warszawskich. Współczesny, znakomity pisarz Kazimierz Władysław Wójcicki, tak mówi o tem piśmie do drugiego literata na zwykłych posiedzeniach poobiednich w tak zwanej: *Kawie literackiej* (tak zwano kawiarnię, gdzie się schodzili sami literaci — a do Honoratki schodzili się na narady w sprawach i wypadkach krajowych).

— Uściskałbym tego chuchraka Odyńca, żebym go znał, za jego Melitele, ale on po żadnych kawiarniach nie chodzi. W Paryżu, albo w Londynie setki tysięcy rozbiegłyby się po Europie przypstrzone rycinami, i ludzie rozdziawialiby gęby. My jednak po staremu cudze łachmany bierzemy za piękny bisior (bogata w starożytności materya), a na własne atłasy i aksamity, pa-trzymy, jak na kuchenne ścierki!!“...

Mając już zupełną swobodę w swem własnem

mieszkań, Słowacki oddał się swej ulubionej pracy nad poezją. Wkrótce ukazał się w Melitele poemat zatytułowany: „*Hugo*“, następnie napisał dramat „*Min-dowe*“, poemat „*Mnich*“ i wiersz „*Piosnka dziewczyny kozackiej*.“

Na nieszczęście, ktoś surowo skrytykował *Hugona* w Melitele, wskutek czego Słowacki wpadł w silne rozgoryczenie, a trawiony tęsknotą za domem, zapadł ciężko na zdrowiu. Samotne życie, jakie czas jakiś prowadził, bo i Odyniec i Hrehorowicz, po odsłonięciu Kopernika i koronacyi Mikołaja, opuścili Warszawę, codzienne zmuszanie się do wstrętnej pracy biurowej, silnie rozwijająca się fantazyja spowodowała podrażnienie żółciowe, a następnie ciężką, przewlekłą, paroksyzmalną febrę. Gorączka mordowała młodzieńca, a im więcej cierpiał fizycznie, tem silniej bujała fantazyja i tworzyła obrazy, jakich następstwem był naprzykład *Mnich*. Jeden tylko stary sługa był jego opiekunem i bardzo nudnym pocieszycielem. Powoli febra ustępować zaczęła, siły wracały, i Słowacki otrzymawszy upragniony urlop, wyjechał na kilka tygodni do matki. W Krzemieńcu przyszedł zupełnie do sił, odżywił ducha i serce i pożegnawszy już teraz poraz ostatni strony swoje rodzinne, z większą już odwagą powrócił do Warszawy.

---

### U Honoratki.

Niedługo po powrocie Juliusza, przybyli z Krzemieńca do Warszawy dwaj Kaczkowscy, jako profesorowie medycyny na uniwersytecie. Ucieszył się z ich przybycia młody poeta; teraz mógł w ich to-



warzyństwie niejedną miłą chwilę przepędzić. Młodzi Kaczkowscy, ciekawi spraw Warszawy, namówili Juliusza, aby z nimi poszedł do kawiarni Honoratki, tam bowiem mogli spotkać wszystkich zagorzałych patryotów polskich i o wielu ciekawych dowiedzieć się szczegółach. Słowacki dotąd unikał wszelkich kawiarni, które jednak w owe czasy nader ważny i ciekawy miały charakter polityczny i literacki i były ogniskiem licznych zebrań w przeróżnych celach. Załedwie weszli do sali, już zapelnionej i usiedli przy stoliku ostatnim, przy którym było jeszcze wolne miejsce, zainteresowała ich rozmowa sąsiadów.

— Okropność, co się dziś stało na rewii pułków polskich w obliczu Konstantego!

— Słyszałem, — przerwał mu sąsiad, — nie ujdzie to plazem Konstantemu! dość naszej ślamazarności! dość bratniej krwi! dość tyranii W. księcia! — Mówiąc to uderzył pięścią w stół, splunął pogardliwie, wstał gorączkowo i usiadł znowu.

— Ja dziś przyjechałem z Wrocławia, nie wiem, co się stało, — rzekł trzeci, — opowiedz mi Stachu w porządku rzecz całą.

Krótko ci powiem: Oficer Szkaradowski miał kołnierz rozpięty na trzy hałtki, spostrzegł to ten zwierz moskiewski, przyskoczył do niego, zaklął i pięścią wobec żołnierzy uderzył go pod brodę razy kilka, wołając: „durak“.

— A potwór, tyran niełudzki!

— Słuchaj, co z tego wypadło. Szkaradowski, nie mogąc przenieść takiej hańby — wobec żołnierzy, oparł szpadę ostrzem do siebie, osadził ją mocno w baryerze, rzucił się na nią piersiami i ducha wyzionął. Co

my mamy robić w takim wypadku?... Powiedz bracie, co mamy robić?...

— Na to by ci odpowiedział Gurowski.

Tu zbliżyli się ku sobie wszyscy trzej i cichutko szeptać zaczęli.

Usłyszawszy nazwisko Gurowski — zwrócił się do swych towarzyszków Juliusz i rzekł również cicho:

— Gurowski proponował spisek koronacyjny, chciał doprowadzić do tego, aby w czasie koronacji Mikołaja, podczas wielkiej rewii wojsk na Placu Saskim, zamordować carską rodzinę — widać myśl jego kiełkuje i przenosi się na osobę W. księcia Konstantego.

— Straszne plany i straszne z nich skutki, — rzekł starszy Karol Kaczkowski.

Przy sąsiednim stoliku zapal namiętny wziął znowu górę nad rozsądkiem.

— Słyszeliście pewnie, że, jeżeli nie będzie jawności obrad na tym sejmie, i więźniów, których Bielhiński obronił, nie wypuszczą, to niedługo....

W tem podbiegł do rozmawiających ksiądz i szepnął:

-- Na miłość boską, ciszej! czyż nie wiecie, że Birnbaum sam nawet przebrany tu być może, a Obszelwitz (szpieg mający pod obserwacją szkoły i inne publiczne zakłady), przysłał tu pewnie kilku, których Makrott (perukarz) dobrze ustroił, że ich nie poznasz... a Szaniawski?... (kierownik cenzury), dziś wieczór, jak codzień, stanie przed Konstantym i co się działo, do snu mu opowie...

Po tych słowach przy stoliku ucichło.

— Któż to ten Szaniawski? — spytał Kaczkowski.



Juliusz Słowacki  
według rysunku Kurowskiego w 1838 r.



— Ach, to łotr nad łotrami, spowiada się co tydzień, komunikuje codziennie, leży krzyżem w kościele, pości w domu jak asceta, a ma swój własny u Marego pokój, i tam sekretnie jak bydło, na cały dzień się obżera, codziennie zdaje raport Konstantemu, i taki człowiek trzyma w ręku losy cenzury!!...

Przeszli trochę dalej i siedli w samym środku kawiarni, prosząc o drugą porcję kawy czarnej i podanie sobie dzienników.

— Wszystkie zajęte, — odrzekł chłopiec usługujący, — tylko jest wczorajszy Momus.

Za chwilę przyniósł kawę i numer Momusa.

Dowcipne było to pismo, redagowane przez Alojzego Żółkowskiego, sławnego komika warszawskiego teatru.

— Patrz, jak dowcipnie mówi Żółkowski: „Głupia Warszawa bez Poznania!” — zawołał Słowacki.

— A wiesz co spotkało Żółkowskiego za to zdanie? — rzekł nagle Bonawentura Niemojewski, zacny kraju obrońca. Znając od generałowej Dąbrowskiej Słowackiego, zbliżył się ku niemu i siadł przy stoliku.

— No ciekawym?

— Konstanty go wezwał i rzekł: „gdyby nie to, żeś Żółkowski, kazałbym ci dać za twego Momusa sto kijów.“ Żółkowski, skłoniwszy się nisko, odpowiedział: „Za jeden Kijów byłbym Waszej Księżęcej Wysokości na całe życie wdzięczny!“

Podobała się odpowiedź Konstantemu i darował mu kije i obiecujący Sybir; ale Momus „propał“, — ostatni był ten numer wczorajszy. Szaniawski i Melitele chce zamknąć, czy wiecie? dla ciebie to, kochany poeto, najsmutniejsza wiadomość.

Za chwilę do Niemojewskiego przybiegł Maurycey Mochmacki, czynny patryota, znakomity historyk, a poznawszy się z jego towarzyszami, nerwowo, gorączkowo odciągnął go do oddzielnego za tą ogólną salą pokoiku; drzwi się za nimi zamknęły.

- Czegóż ten młodzieniec tak zgorączkowany, — zapytał Kaczkowski.

-- A, Mochmacki, to poniekąd w zasadacli Gurowski, ale o niebo wyższy od niego, a tu w Warszawie wielki wpływ wywiera na przebieg obecnych wypadków, znam go z salonu Dąbrowskiej.

Późno już było, nawet światła wniesiono, Słowacki, nie lubiący tego rodzaju atmosfery i politycznej gorączki, zaproponował opuścić kawiarnię. Gdy wyszli na ulicę, przebiegł koło nich ulicznik warszawski, ten sławny ulicznik, który wszystko wiedział, co się dzieje na świecie, biegł lotem ptaka i śpiewając wołał: „rewolucya w Paryżu! — króla zrzucili! — w Paryżu króla zrzucili! — rewolucya! rewolucya w Paryżu!” I tak podskakując, podbijając się piętami, to gwizdał, to śpiewał: rewolucya! Nagle przyskoczył do niego jakiś jegomość, chciał za kołnierz chwycić; chłopak zwinął mu się pod ręką, plunął w oczy i znikł w domu przechodnim. Jegomość, na chwilę plunięciem oszołomiony, przetarł oczy, pocerwieniał, ale już chłopca nie było.

— Oto macie już wyobrażenie, co się dzieje w Warszawie, — rzekł Juliusz, uściśnął rękę przyjaciół i zmęczony ogromnie, wrócił do swego mieszkania.

## Noc Listopadowa r. 1830.

Słowacki nie lubił wszelkich rozruchów, które go wyprowadzały ze stanu równowagi i mąciły systematyczny układ życia. Niezmiernie akuratywny, sumienny w obowiązkach, nawet mu ciężących, pedantycznie porządkowy, wyrachowany, a więc lubiący przewidywać co będzie później, nie mógł się czuć spokojnym i szczęśliwym wobec tego, co się działo w Warszawie; a szły wypadki za wypadkami, coraz groźniejszą zapowiadając burzę. Bytność w Honoratce, zostawiła mu niesmak; postanowił bywać jak najczęściej w teatrze, aby umysł rozerwać i sztukę dramatyczną studyować. Poezya i tylko poezya była duszą całej jego istoty wewnętrznej.

Tymczasem burza się zbliżała, i w pamiętną noc 29 listopada 1830 r. mieszkańcy Warszawy ujrzeni o godzinie 6 wieczorem łunę, która szeroko, jaskrawo zabłysła nad Solcem, wzdłuż Wisły położonym. Łuna ta jednak nie we wszystkich dzielnicach była jednocześnie dostrzeżoną; gdzieś niegdzie tylko uderzono na alarm, wołając: „Na Solcu browar zapalono!”... tu i tam usłyszano krzyk: Do broni bracia! Uderzmy na wroga! Na Belweder!... Były to tylko pojedyncze okrzyki, które zrazu z niewiarą przyjmowano, a gdy ogień na Solcu przygasł, nie wiedziała Warszawa, co o tem myśleć.

Tymczasem w tę noc pamiętną, w tę noc bohaterką rozpoczęto powstanie; kto?... szkoła podchorążych, kilka batalionów strzelców i saperów, młodzież akademicka i młodzi literaci. Poeta Seweryn Goszczyński, Ludwik Nabelak, Leonard Rettel, na czele 15-tu wyborowej młodzieży, pod dowództwem podchorążych Trzaskowskiego i Kobylańskiego, ruszyli

z parku Łazienkowskiego na Belweder, pałac, w którym mieszkał w. ks. Konstanty. Zamiarem spiskowych było porwać Konstantego i uwięzić. Uprowadzony w porę przez swego kamerdynera Kochanowskiego, uciekł Konstanty do pokoiów żony, a tam spiskowi wejść nie śmieli, szanując spokój kobiety. Tymczasem, Piotr Wysocki, podchorąży, który cały spisek w szkole wojskowej przygotował, wtargnął na czele 160 podchorążych do koszar ułanów, ale tu cofnąć się musiał przed przeważającą liczbą żołnierza.

Konstanty, o ile dziki w czasie pokoju, o tyle tchórz w razie napadu zbrojnego, wycofał się z Warszawy z wojskiem za Mokotów; w swej dzikości jednak porwał więźnia Łukasińskiego,\*) którego obowiązany był puścić na wolność, przykuł go do armaty, i tak wymaszerował do Wierzbowa pod Warszawą, i tu się ukrył w domku ogrodnika. Powstańcy, wówczas przebiegając całą Warszawę — przełamali wojska rosyjskie i całą ludność do boju otwartego wezwali. Zakipiała Warszawa walką; losy zostały rzucone; cofnąć się już nie było można, chodziło tylko o dobrego

---

\*) Waleryan Łukasiński, major sławnego pułku czwartego, założył w Królestwie Związek Patryotyczny, którego głównym celem była walka o niepodległość Polski. Przez zdradę, związek ten wykryto, wszystkich członków z Łukasińskim na czele wylapano, uwięziono i na srogą karę skazano. Ponieważ jednak sądy odbyły się nie według przepisów udzielonej Królestwu konstytucyi, kraj nie przyjął wyroku, zwołano sejm, któremu przewodniczył wojewoda Bieliński, i ten zacny człowiek zasądzonych obronił i zmusił W. ks. Konstantego, że ich na wolność wypuścił. Jednakże skutkiem niedopatrzania się, jednego Łukasińskiego przemocą porwał ze sobą, uchodząc z Warszawy w Noc Listopadową, i ten nieszczęśliwy, najszlachetniejszy z najszlachetniejszych Polak, całe życie spędził w strasznym więzieniu rosyjskiem w Schlüsselburgu.





Waleryan Łukasiński.



przywódcę, o mądrego kierownika, o zgodę, o jedność!  
Niestety! nie z tego nie było! Wódz taki, zbawca Ojczyzny nie urodził się dla Polski, a kłótnie, wyczekiwania, krzyżowały najlepsze chęci i najlepsze pomysły niweczyły.

Noc taka musiała silnie na duszę Słowackiego po-  
działać; to też zanucił hymn:

*Bogarodzico! Dziewico!  
Słuchaj nas matko Boża,  
To ojców naszych śpiew,  
Wolności błyszczy zorza,  
Wolności bije dzwon,  
Wolności reśnie krzew.*

*Bogarodzico  
Wolnego ludu śpiew,  
Zanieś przed Boga tron!*

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

*Noc była. — Orzeł dwugłowy  
Drzemał na szczycie gmachu  
I w szponach niósł okowy —  
Słuchajcie! zagrzmiały spiże;  
Zagrzmiały — i ptak w przestrachu  
Uleciał nad świątyni krzyże.  
Spójrzal i nie miał mocy  
Patrzeć na wolne narody,*

*Olśniony blaskiem swobody —  
Szukał cienia — i w ciemność uleciał północy!*

. . . . .  
. . . . .

*Do broni bracia! do broni!  
O!o ludu zmartwychwstanie!  
Z ciemnej pognębienia toni,  
Z popiołów Fenix nowy. —  
Powstał lud -- Błogosław Panie!  
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.*

. . . . .

*Bogarodzico! Dziewico!  
Słuchaj nas matko Boża,  
To ojców naszych śpiew.  
Wolności błyszczy zorzo,  
Wolności bije dzwon,  
Wolności rośnie krzew.*

*Bogarodzico*

*Wolnego ludu śpiew,  
Zanieś przed Boga tron!*

Hymn ten odrazu wyrobił Słowackiemu wielkie uznanie i prawdziwy zachwyt u kobiet. Wiersz został rozchwytyany, przepisywany, rozsyłany.

Jednocześnie napisał swój sławny *Kulig, Pieśń Legionu Litewskiego i Odeę do Wolności*.

Podczas, gdy wypadki bolesnej natury, jak ogniem obejmowały Warszawę — dostała się do rąk Słowackiego broszura Joachima Lelewela, traktująca szczegółowo proces studentów w Wilnie za Nowosilcowa. Na własne oczy przekonał się Juliusz, co za człowiek był profesor August Becu, drugi mąż jego ukochanej

matki, a jego ojczym. Uczucie wstydu, które ogarnęło jego duszę nie miało granic: zdawało mu się, że spotka go los młodego Krasińskiego. Chorobliwie odczuwał hańbę, jakby jego hańbą była; próżno tłumaczył sobie, że to ojczym, nie on spełnił podłość; — lękał się, że go spotka zarzut, który należałoby teraz w tej właśnie chwili oczyścić, choćby własną krwią swoją, a do oręża i walki czuł wstręt. Męczył się okropnie, zamknięty w swej samotni, aż w tej walce z duchem swoim, matka przyszła mu z pomocą. Otrzymał list z domu, w którym ukochana jego, przeczuwając udręczenie, proponuje wyjazd za granicę, do cieplejszego klimatu, i w tym celu wysyła mu pieniądze, ale już na Drezno. Matka wysłała pieniądze na Drezno... a więc, trzeba jechać! nie ma chwili do stracenia. Matka pragnie, aby on wyjechał — więc jechać musi!

Nie wahał się dłużej, pozalatawał formalności, posprzedawał meble, spakował swoje papiery, manuskrypta, bieliznę, trochę ubrania, i prawie nie żegnając się z nikim, opuścił Warszawę d. 8 marca w 1831 r.

### **W Dreźnie.**

Dnia 28 marca r. 1831, stanął Słowacki w Dreźnie; w tym roku Wielkanocne święta przypadały wczesnie, i młody nasz poeta zawitał do Drezna w sam Wielki Piątek. Odpocząwszy chwilę w hotelu, Juliusz zmienił podróżne ubranie i wyszedł na miasto, szukać Odyńca. Po długim błędzeniu zaszedł do cukierni Baldiniego, która wydała mu się najpiękniejszą a nosiła miano „Café de l'Europe.” Wszedłszy, za pierwszym rzutem

oka spostrzegł poetę, pijącego kawę przy stoliku najbliższym wejścia.

— To Czatyrdah?...\*) — zawołał Słowacki, zainacnaacka stanąwszy za plecami Odyńca.

— Aa! Aa!... — zawołał Edward, wyrażając ogromne zdziwienie, gdy poznał Juliusza.

— Zgadłem, że musisz być w Europie — i tu przyszedłem cię szukać.

Dwaj poeci, ucieszeni ze spotkania, wzięwszy się pod rękę, poszli natychmiast do kwatery Odyńca. Najgłówniejszą rzeczą dla Słowackiego było mieszkanie, otóż przy swoich stosunkach, Odyńiec wynalazł mu śliczny pokój o pięciu oknach, wychodzących na duży plac i kościół. Salonik był gustownie umeblowany, a zwłaszcza piękna, alabastrowa lampa żywo przypominała mu lampę w pokoju Hersylki w Krzemieńcu.

Ułatwiwszy się z mieszkaniem, Odyńiec, jak zawsze serdeczny, wprowadził go na salony dam polskich, przebywających w Dreźnie. Odtąd życie płynie Słowackiemu nad wyraz miło; wybrane kółko pań takich, jak: generałowa Dąbrowska, pani Dobrzycka z córką Salomeą, i drugą swą córką, wdową po wojewodzie Bielińskim Wirginią, pani Matylda Szymanowska, córka Poniatowskiego, którego syna wychowywał ojciec Juliusza ś. p. Euzebiusz, stanowiły tak miłe towarzystwo, że młody poeta z rozkoszą odetchnął po krwawych wypadkach, jakie miały miejsce w czasach ostatnich w Warszawie. Zapoznawszy się trochę z miastem, poszedł zaraz do *Grüne Gewölbe*, aby zwiedzić skarbiec królewski, następnie do Galeryi obrazów, aby widzieć sławną madonnę Syxtyńską, arcydzieło Ra-

---

\*) Czatyrdah, góra w Krymie, tytuł jednego z sonetów krymskich Mickiewicza.

faela. Stanąwszy przed tym obrazem, wpierv nim zdołał ocenić wspaniały wytwór geniusza malarza, ujrzał siłą wspomnienia, Wilno, malarnię wujaszka Fila, i słyszał prawie rozmowę z nim prowadzoną o Rafaelu. Więc to ta Fornarina była tu uchwycona, w tych przeczystych, niewinnych rysach!...

Zwiedzał potem galeryę bardzo często, bo też tu skarby zgromadziła familia Saskich królów, ale jeszcze częściej i dłużej przesiadywał w Bibliotece.

W salonie pani Dąbrowskiej panował duch ściśle patryotyczny, matka z córką interesowały się najwięcej sprawami kraju. Tu się spotykało najczęściej wojskowych, tu, wkrótce mająca nastąpić emigracya, znalazła źródło opieki dla siebie. Salon pani Dobrzyckiej zgromadzał w święta i niedziele młodzież polską, uczącą się po zakładach drezdeńskich. Tu był przytułek polskiego języka i ochrona polskich zwyczajów. Pani Dobrzycka zupełnie nie znała obcych języków, posiadała tylko język polski i znała tylko literaturę i historię swego kraju. Ona głównie sprawiła, że młodzież polska kształcąca się w Dreźnie, pielęgnowała z zamiłowaniem ojczystą mowę i ojczyste obyczaje. Ostatnie patryotyczne rewolucyjne pieśni Słowackiego, ustaliły mu między paniami imię znakomitego poety, ogólnie nazywano go tu „Twórcą Bogarodzicy.“

W Dreźnie zaczął Juliusz pracować dalej nad utworem Żmija, którego już pieśń jedną miał ułożoną. I rzecz dziwna, wśród najboleśniejzych i najpiękniejszych chwil i tryumfów oręża polskiego, myśl Słowackiego dąży w strony rodzinne, i fantazyja jego odbija widziane raczej wały, sypane z czasów kozaczyzny, raczej przekłada bajeczne podania o minionych i niebywałych nawet bohaterach, aniżeli o tych, obecnych, któ-

rzy znów w duszy Mickiewicza drżą tętnem bólu i genialnej twórczej potęgi — jak „Dziady“ i „Reduta Ordona.“

### Pierwsi Emigranci.

Pierwsza pani Dąbrowska dowiedziała się o wzięciu Warszawy, o wydaniu jej w ręce Moskala przez generała Krukowieckiego, i o wydaniu mieszkańców na łaskę i niełaskę zwycięzkiego, a dzikiego Paszkiewicza. Straszna chwila!... straszna to chwila, gdy w kopalni zasypanej gruzami, zgaśnie światło, a zagrzebani górnicy wydostać się nie mogą, i czekają tylko na pomoc, ale czy przyjdzie? czy ich jęk doleci na zewnątrz?... a czy nawet jest często siła, mogąca ich z gruzów, na pół zduszonych do życia powrócić?... Tak, — jest Wiara!... z tym sztandarem wiary zjawili się rozbitki po upadku polskiego powstania na starodawnym rynku Drezna. Tych pierwszych rozbitków, pierwszych przedstawicieli napływać mającej emigracji (wychodźstwa), pierwsza spotkała w kościele córka pani Dąbrowskiej, p. Bogusława. Usłyszawszy mowę polską przy wyjściu z kościoła, młoda dziewczyna zarżała z radości i otwarcie zawołała, widząc trzech panów mówiących: „To zapewne kościół katolicki.“

— Panowie Polacy... — i wzruszona, więcej wymówić nie mogła. Ujrzała mężów w opylonych, zużytych mundurach, a jednego z nich z raną na czole, przewiązaną czarną chustą. Byli to: marszałek Wincenty Tysszkiewicz, Mikołaj pułkownik Kamieński i Mikulicz, bliźki krewny Jana Kajetana Koźmiana.



Odtąd rynek stary (Altmarkt), zapełniał się codzień wychodźcami, a między nimi pułkownik Kamieński, silnego ducha żołnierz, z gazetą w ręku, wołał:

— Panowie, nasza górą! Jeszcze wróci polska chluba! Jeszcze Pan Bóg w niebie! Ujrzymy w Paryżu niebawem nasz sejm i naszą Reprezentacyę Narodową! a na wiosnę, panowie, legiony!

Na to inny z emigrantów Bronikowski, rzekł machnąwszy ręką:

— Czytałem, czytałem, milion franków obiecują dla wychodźców i basta!

— Nie basta, panowie! na wiosnę pomoc belgijsko-francuska i 10 milionów na potrzeby wojska; już Skrzynecki wezwany do Brukseli na naczelnika! już Kruszewski na swoim stanowisku!

Inny emigrant Nakwaski, wyrwał z rąk Kamieńskiemu gazety, czytał i zawołał:

— Ma Mikołaj słuszność; pełno nadziei! Nasza górą! Niech żyją Francuzi!

— A co? czy Wam tego panowie dawno nie przepowiadałem? ogłoście mnie za proroka!

— Niech żyje Francya! — niech żyje Kamieński! Powstał gwar nieopisany na rynku; scenie tej z okien przypatrywano się od generałowej Dąbrowskiej, a obecny tam poeta Antoni Górecki, zerwał się, wybiegł na rynek, i zawołał:

— Ależ na Boga żywego! Panowie! czy wam wszystkim Pan Bóg rozum odebrał? Daję wam słowo honoru, że marszałek dworu, a przyjaciel nasz Tödwen, był u mnie dziś rano i zaklinał, błagając o zachowanie się spokojnie i bez demonstracyi, coby mogło nam szkodzić...

Tymczasem po drugiej stronie rynku powstał większy jeszcze rozgwar, krzyknięto: hurra! hurra!...

Wśród gromady wojskowych, zjawił się młody, blady, smętny ale z namiętym wyrazem twarzy porucznik Skulski. On to zastrzelił swego wodza Giełguda za to, że nieszczęśliwie zgubił litewskie powstanie. Wśród tego hałasu, zjawiła się nagle elegancka postać kobieca. Była to pani Seweryna Sobańska, wspaniale ustrojona, żona patrioty, zesłanego na Sybir, z domu Potocka, a dziś zaprzędana Rosyi i powiernica ambasadora rosyjskiego Schroedera. Zaledwie ją panowie ujrzeli, zbliżył się do niej ks. Eustachy Sapięha, jej krewny i z ironicznym na ustach uśmiechem powitał ją:

— Witam, kochany kuzynie, twoja podróż była równie długa, jak przyjemna.

Ksiązę nic nie odpowiedział, bo tylko co powracał z powstania...

Pani Sobańska dalej pytała.

— O czem tak radzicie? i o czem mowa między wami mili powstańcy?

— O deszczu i pogodzie, szanowna pani!

— Nie kłancie, nie kłancie, my wszystko wiemy; wiemy, że marzycie o nowem powstaniu, o Legionach...

Na to ks. Sapięha rzekł wesoło:

— O! o legionach utworzonych z samych wielbiceli mojej szanownej kuzynki.

— Jesteś kuzynku zawsze niewinny! a ja wiem, że macie w głowie związek belgijsko-francuski i liczycie na jakieś oddziały...

— Kiedy my już nigdzie służyć nie chcemy, tylko w legionie szanownej kuzynki.

— Kiedy tak, to rozkazuję, żebyście dziś przyszli do mojej łoży w teatrze, a potem na herbatę do mnie.

Na to ksiązę zirytowany, rzekł cierpko:

— Na teatr przyjdziemy, ale na herbatę nie przyjdziemy.

— Rozumiem, rozumiem, — odrzekła szydersko, — teatr co innego, a mój salon?...

— Adiu kochany kuzynie.

Na rogu małej uliczki, przy rynku, była uboga kawiarnia, drzwi były otwarte; głos rozmawiających dokładnie słyszeli starsi, ubodzy, milczący tułacze; jeden z nich rzekł:

— Słyszałeś, tam się gdzieś na zabawy wybierają!

— Młodzi, jeszcze za mało cierpieli, — rzekł inny.

— Ich świat jeszcze ciągnie do siebie — a nas już tylko ziemia ciągnie... Żeby jeszcze własna!...

— A cóż nam już i po świecie, i po ziemi, kiedy na niej nie ma naszej kochanej Polski!... Świat bez Polski, to ciało bez duszy!

— Ot, lepiej było tam ginąć na polu bitwy, niż tu zdychać z głodu! — gorzko wyrzekał stary, siwy wynędzniały emigrant.

Obraz tej początkującej i rozłazącej się po świecie emigracyi, żywo miał Słowacki przed oczami. Bolesne, nie do opisanie sceny, rozgrywały się przy rozłączaniu się rodzin ze sobą, bo kobiety zwykle do kraju wracać musiały dla braku funduszków emigracyjnych. W tych czasach Sobańska odegrała haniebną rolę szpiega i mnóstwo rodzin wydała w ręce moskiewskie — a jednocześnie, pani Karolina Sobańska, Radziwiłłówna z domu, w Warszawie wyrwała dziesiątki ofiar z cykadelli i z rąk moskiewskich i z narażeniem własnego życia wysyłała za granicę!...

---

## Pan Górzeński.

Zgromadzenia emigrantów na starym rynku, bywały codziennie coraz liczniejsze; panie zamożne, Odyniec, rozciągnęli nad nimi opiekę; robiono składki, wyrabiano paszporty i wysyłano ich w różne strony, a najwięcej do Francyi, dla stałej siedziby. Anglia, Francya, Szwajcarya, Niemcy, Galicya, Ameryka, zapełniła się tymi rozbitkami, którzy szli wszędzie, z myślą wyszukania nowych środków dla ratowania Ojczyzny. Słowacki ze swoich okien obserwował te tłumy rodaków; toż i on rozpoczął tułaczkę, bo jako poeta, cóżby mógł pod wrogą cenzurą w swym ojczystym kraju zaśpiewać? Gdy tak siedząc przy oknie i pijąc kawę, obserwował ruch emigrantów, otworzyły się drzwi do pokoju i cicho bez szelestu, wsunął się jakiś nieznajomy mężczyzna. Słowacki z pytającym wzrokiem podszedł ku niemu; nieznajomy przedstawił się: „Górzeński, obywatel z Poznańskiego“.

— Proszę spocząć, — rzekł Juliusz, wskazując krzesło, — czem służyć mogę?... Pan może także jest członkiem emigracyi, może pan chce się dowiedzieć o jaki komitet opiekuńczy? z całą chęcią służyć...

Tymczasem Górzeński obejrzał się na drzwi i spytał:

— Czy można na klucz zamknąć, żeby kto nie spodzianie nam nie przeszkodził?

Denerwowało już Juliusza tajemnicze zachowanie się gościa, ale wstał i drzwi zamknął. Wtenczas pan Górzeński wyjął spory pakiet, ukryty pod kamizelką na piersiach, a podając go Juliuszowi, rzekł:

— Rząd Narodowy, przysłała do pana wezwanie, abyś pan natychmiast, ale to natychmiast, bez zwłoki,

udał się do Londynu i tam własnoręcznie oddał ten list generałowi Grouchy.

-- Jakto, wprost jeździć mam do Londynu?

-- Nie, masz pan udać się w pierw do Paryża, do Ludwika Platera, on da panu ustne objaśnienia, i wtenczas podążysz pan prosto do Londynu.

-- Jakże ja to wykonam, podróż taka wymaga pieniędzy, ja na tyle nie mam, --- rzekł Słowacki nieśmiało...

--- Rząd Narodowy posyła panu potrzebny fundusz, ale, że list ten błakał się już całe dwa miesiące, nakazany jest teraz gwałtowny pośpiech.

--- Jakżeś pan ten list od Rządu Narodowego dostał?

--- Do granicy pruskiej przedarła się przez różne stráže mała wiejska dziewczynka, ona to dostawszy się na stronę polską, oddała ten list panu Strzeleckiemu, ten miał polecenie dostarczyć to pismo mnie, a ja następnie otrzymałem rozkaz dowiezienia go panu do Drezna. Wszystko poszło szczęśliwie, — teraz niech Bóg pana dalej prowadzi.

Rzekłszy te słowa, wstał, pożegnał młodego poetę i wyszedł.

Po jego odejściu, Słowacki, odurzony tą sprawą tak niespodziewaną, stał w miejscu, jak wryty.

-- Jakto, mnie, tak młodemu, Rząd Narodowy zaufa?... mnie zwierza tajną missyę, wierzy, że ja to dobrze spełnię?... Jakże dumny, szczęśliwy się czuję! ja dla Ojczyzny coś zrobić mogę... coś, co choć w części ukoi wyrzuty mego sumienia, żem opuścił Warszawę, w chwili najkrytyczniejszej, w chwili, kiedy taki wąty Gaszyński, Garczyński, Goszczyński, krew swoją na polu bitwy za Ojczyznę dają i mieczem i pieśnią służą

świętej sprawie!... O, jadę natychmiast, choćbym upadł ze znużenia, nie spocznię aż w Londynie!

I dotrzymał słowa młody poeta, pędził już trzeciego dnia od chwili odebrania papierów do Paryża, ztamtąd pocztową karetą dojeżdża do Calais o g. 12 w nocy, najmuje statek i staje w Londynie o g. 5 rano, d. 3 sierpnia 1831. Zajechał do hotelu Royal, na ulicy St. Jermyn. Obmywszy się trochę i przebrawszy, dopytał się o komitet, pośredniczący między Anglią a Polską i list Rządu Narodowego wręczył generałowi Grouchy. W liście tym, rząd narodowy w Warszawie, proponował generałowi Grouchy, waleczemu ciągle poprzednio przy Napoleonie, aby objął naczelne dowództwo nad powstańcami, ale Grouchy oświadczył, że propozycja ta dochodzi go już za późno i odmówił. Spełniwszy tak swoją misję, spał Słowacki bez przerwy 2 dni; zbudziwszy się, odczuwał jeszcze silne znużenie, jednak ciekawość takowe przemogła i puścił się na oglądanie Londynu.

Anglia, Anglicy, ich obyczaje, wprost oczarowały Juliusza. Po pięciodniowym pobycie w Londynie i wysłaniu obszernego listu do matki swej, wrócił Słowacki w początkach września do Paryża.

### **Paryż 1831 r.**

Wracając z Londynu, postanowił Słowacki zostać w Paryżu czas dłuższy, a to wyłącznie w celach naukowych. Paryż ze wszystkich miast europejskich posiada najwięcej środków do kształcenia się; liczne biblioteki, liczne muzea, galerye sztuki, dostarczyć mogły tak młodemu jeszcze poecie niewyczerpanego źródła

wiedzy. To też postanowił tu pozostać aż do następnej wiosny. Zamieszkał przy ulicy: Rue Neuve de St. Eustache N. 5. Najał meble, a spragniony cichości, spokoju, cieszył się, że w ogromnym Paryżu, przynajmniej czas jakiś będzie mógł żyć samotnie i pracować. Niedługo jednak cieszył się samotnemi wycieczkami na cmentarz Pere Lachaise, położony na górze Ludwika i stanowiący najpiękniejszy punkt Paryża, niedługo się cieszył samotnemi wycieczkami po muzeach i galeriach, — napływ bowiem emigrantów, po upadku powstania, przerwał ciszę jego życia. Młody poeta musiał wziąć udział w życiu tułaczych rodaków, nie mógł się odosobnić, bo i tak ciężył na nim zarzut, że uciekł z Warszawy w najgroźniejszej dla Ojczyzny chwili. Wśród emigracyi polskiej w Paryżu, potworzyły się stronnictwa, jedne przedstawiały demokrację, drugie arystokrację. Stronnictwo demokratyczne zwało się Litewskiem Towarzystwem, przewodniczył w niem Lelwel i Mochnacki. Stronnictwo arystokratyczne, miało swoje siedlisko w Hotel Lambert, a na czele jego stał ks. Adam Czartoryski. Młody Słowacki, nie umiał dla siebie wybrać jednej, prostej, wyraźnej w politycznych przekonaniach drogi; biorąc bowiem udział duchem w Towarzystwie Litewskiem, ciałem przyłąnił do Hotelu Lambert. Podzielając przekonania stronnictwa demokratycznego, nie mógł znieść obyczajów tych ubogich emigrantów; ich bieda, potargane buty, ich nędzny wygląd, budziły w nim niesmak, wstręt prawie. Kłótność przekonań, nieczłoda, hałas wytręcały młodego poetę z cierpliwości. Tymczasem u Czartoryskich, idealna atmosfera zbytku, gładkość obyczajów, dostatek, przepych, a za tem wszystkim idąca swoboda myśli, nęciły go, tego rozpieszczonego i w niezmiernych

wygodać od kolebki wychowanego, młodzieńca. Bywając i tu i tam, naraził się na nieufność obydwóch stronictw i sam sobie przygotował cały długi szereg lat udręczeń, więcej po nad to, bo zgromadził koło siebie cały szereg wrogo usposobionych rodaków. I nie nie przemogło niechęci ludzkiej ku młodemu poecie, ani jego przedziwnej piękności utwory poetyczne, ani jego szarpanie się i wołanie:

*Zaprawdę! — Gdybyś mię widział narodzić!  
Jak ja samotny byłem i ponury!...*

. . . . .

*Bo się kruszyło we mnie serce smętne,  
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych.  
! próżno słowa wyrzucam namiętne,  
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych  
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —  
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych;  
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,  
A która także mię kochać powinna!...*

### **Drukarnia panien Pinard.**

Wśród tych niemiłych stosunków pośród emigracyi, Juliusz z zapalem rzucił się do pracy; w krótkim czasie przygotował aż dwa tomiki utworów. Gnębiła go tylko jedna troska, skąd weźmie fundusz na koszt wydawnictwa; prosił wprawdzie matkę swoją, aby mu na ten cel pieniędzy nadesłała, ale czy przyśle?

Tymczasem dnia 20 lutego, tak Słowacki pisze w liście do matki: „gdy sobie siedzę u siebie rano,



wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 fr. i natychmiast składa mi na stole sumę w biletach, razem z listem od mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie. Nazajutrz poszedłem do drukarni panien Pinard... Był tam Chodźko, i przedstawił mnie najstarszej pannie Pinard, ta mu oświadczyła, że mnie znajduje bardzo do rzeczy, a Chodźko odrzekł z uśmiechem: O, Polacy nie są weale głupi! Widzisz, kochana mamó, że są chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupi.

Po obiedzie zostałem sam z pannami. Średnia z nich, Kora, śliczna, śpiewała mi piękne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniały mi się ciche, domowe wieczory w Wilnie...

„Dnia 12 kwietnia -- taki jest ustęp w liście do matki — mam poezye moje i pierwszy dzień ich wyjścia, był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności! Matko moja, cóż ty, cóż wy wszyscy o Waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że ciebie te poezye nie zmartwią... Dziś u panien Pinard obaczyłem rejestr ludzi sławnych, zawarty w biografii „Współczesnych“ z pod litery S taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej. Widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie!”

Od chwili wyjścia pierwszych dwóch tomików Poezyi, Juliusz chwili nie ma spokojnej, to się oddaje niepomiarowanej radości, to napawa się żółcią, która mu zalewa serce, gdy czyta krytykę utworów swoich, niemilosiernie go chłostającą. Prócz piękności języka, odmówiono im wszystkiego; zarzucono naśladownic-

two, niejasność, bezbożność, suchość, brak serca, brak prawdy, a nawet otwarcie niedołążność układu. Z domu od matki nienajlepsze zdanie w liście otrzymał.

Zgnębiony, zawiedziony w pierwszym swym poetyckim występie, nic dziwnego, że znów zateśknął do Czartoryskich, tam go witano z poklaskiem dla jego poezji świeżo drukowanych. Pobyt jednakże w Paryżu przykrzyć mu się poczynał, a na dobitkę wszystkich niepowodzeń, raz wieczorem przyniesiono mu z poczty egzemplarz świeżo wydrukowanej trzeciej części *Dziadów* Mickiewicza. Na kilku kartkach zobaczył ustępy pozakreślane czerwonym ołówkiem. Szybko je przejrzał, i spostrzegł, że znowu Adam Mickiewicz z ogromną siłą odtworzył postać jego ojczyma. Krew nabiegła mu do serca. Czyż się nigdzie przed tą hańbą skryć nie może? I któż mu, jakby na ironię, czerwonym ołówkiem tę jego hańbę zakreślił? Czyż jego hańbę? cóż on winien... Ależ to nazwisko matki, jej hańba, jest jego hańbą! Zgryziony, postanowił uciekać, ale nim ucieknie, musi przeczytać *Dziady* mu przysłane. Czyta, powoli nienawidź jego, żal, gniew, topi się pod ogniem cudotwórczej poezji. Ach bosko piękne! czoło trzeba uchylić przed geniuszem, ale człowieka, który to pisał, nienawidzę!... Gdy sobie jeszcze wspomniał, że Kora zanadto przywiązała się do niego, że Paryż to tylko błyskotliwy motyl, że Francuzi stanowią społeczeństwo, do którego czuje odrazę, postanowił bez namysłu natychmiast Francję porzucić i dnia 30 grudnia 1832 r. o godzinie 5 wieczorem siedział już w hotelu „Pod Wielkim Orłem“ w Genewie.

### **Panna Eglantyna Pattey.**

Opuściwszy Paryż, doznał uczucia, jakby uciekł przed ścigającą go zimorą i odetchnął. Juliusz potrzebował koniecznie pięknej około siebie natury, Paryż go znużył do niewypowiedzenia. Zamieszkał też w prywatnym pensjonacie, o kilkadziesiąt kroków od Genewy u pani Pattey. Jakaś dobra gwiazda przywiodła Juliusza w progi domu tej dobrej, szlachetnej i miłującej Polaków Szwajcarki. Jak rodzona matka, opiekowała się młodym poetą, a córka jej, trzydziestoletnia już panna Eglantyna, otoczyła go tak serdeczną sympatją, że może od wyjazdu z Krzemieńca, nie czuł się Juliusz ani razu tak szczęśliwym.

Miał przed oknami pokoju, jezioro Genewskie, miał trawniki, pełne fiołków, miał sosny i świerki niebotyczne, w dali góry śniegiem pokryte, niebo jasne, błękitne i codziennie kwiaty w swoim pokoju na stole. Jakże dobrze mu było pod opieką tych kobiet, które go bardzo pokochały. W salonie p. Pattey zbierali się liczni goście, Słowacki rej wodził w zabawach, urządzał polskiego mazura, tańczył nawet kozaka i w zachwyty Szwajcarów, nawet Anglików wprowadzał. Zabrał dużo znajomości, między nimi najwybitniejszą była znajomość z domem pp. Wodzińskich. Była to bogata, z Kujaw pochodząca rodzina, składająca się z 3 córek, synów, nauczycielek, guwernerów, sług, lokajów itd. Najstarsza z panienek, p. Marya, była niezmiernie wykształcona i pięknie grała na fortepianie. Nie była ładna, ale zachwycała inteligencją i dowcipem. Z tą rodziną odbył Słowacki wspólną podróż po Szwajcaryi; dotarli do sławnej kaskady Giesbach, widzieli najpiękniejsze górskie widoki, najbogatsze wschody i zachody

słońca. Nagromadził Juliusz w swej wyobraźni tyle widoków przepięknych, takie gry światła i cieniów, że stworzył niezadługo potem taką perłę poezji naszej, jaką jest utwór „w Szwajcaryi“. A jednak, mimo dobrego humoru, nawet wesołości, na końcu poematu „w Szwajcaryi“, czytamy taki ustęp:

*Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą  
Tam pójdę, aż na ciemnych skał krawędzie!  
Spojrze w lecące po niebie łabędzie,  
I tam polecę, gdzie one polecą!  
Bo i tu, i tam, za morzem i wszędzie,  
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,  
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;  
I wszędzie mi źle -- i wiem, że źle będzie.  
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,  
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,  
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem  
O moje serce rozdarte i krwawe:  
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę  
Idąc po fali... zaszeleści złotem,  
I załaskoce tak duszę tajemnie,  
Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie. —*

Prześlicznych ustępów w tym słonecznym poemacie, jest mnóstwo np.:

*Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,  
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,  
I ciszej źródła po murawach dyszą,  
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać  
I o czem cichem pomówić ze światem,  
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.*

. . . . .

### Smutne wieści.

W listopadzie w 1833 r. otrzymał Juliusz smutne wieści z domu, umarła bowiem pani Januszewska. Długo, bardzo długo nie miał Słowacki listu od matki — aż nareszcie wpadła do jego pokoju p. Eglantyna, trzymając list w ręku. Chwilowa radość zamieniła się w smutek ciężki, — bo młody poeta wszystkich we wspomnieniach kochał silniej, jak w rzeczywistości. Wyobraźnią żywo pobiegł na rodzinne miejsce, bo jak sam mówi: „mój anioł stróż przelatuje ciągle do was i wracając znów do mnie, opowiada mi nieszczęścia.“

Panie Pattey, dowiedziawszy się o tej stracie rodzinnej, szczerze podzielały smutek poety i razem z nim płakały. Drugą bolesną nowiną była wiadomość, że i pani Becu miała już w ręku trzecią część *Dziadów* Mickiewicza.

Juliusz, dowiedziawszy się o tem, woła w liście do matki: „ja go nienawidzę!“ nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły... I muszę tego dokonać. Bóg mię sam natchnął, bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło!... Drukuję to dzieło bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem.“

Dziełem tem był *Kordyan*; od tej chwili rozpoczyna Juliusz wyraźną walkę z Mickiewiczem, który znów, jako uosobienie natury litewskiej w sobie skupionej — milczy i ani słówkiem znać nawet nie daje, że wie o tem, że jest jakiś Słowacki, który się mieni być poetą i jest nim rzeczywiście. Dwa wielkie duchy rozpoczęły walkę, jeden zacznie niedługo ciskać pioruny gniewu, a drugi z wyniosłym spokojem zawsze milczy. Troski domowe, troski literackie urabiają cha-

rakter Juliusza, z młodzieńca wyrasta na mężczyznę, o zakroju poważnym, myślącym, tylko względem swej matki jest coraz czulszym, coraz nawet naiwniejszym, jakby małe dziecko, np.: „Matko, mammo, mamuniu, wszystkimi imionami, jakie ci dawałem w życiu, wołam cię i zaklinam, abyś mi nie płakała. Mammo moja, bo trzeba cierpieć, co się Bogu podoba i póki mu się podoba... Kiedyś zlecimy się, jak liście jesienne, które wiatr w jeden tuman zbija i pędzi nie wiem gdzie?... O, jak ja się zawiodłem, myśląc, że kiedyś będę ci służył do stołu i całował ręce twoje i klękał przed tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie... Ale niejedną ja nie mogę wyłamać z głowy chleba.“

Prawie wszystkie listy z Genewy są niezmiernie rzewne: „wszak pamiętasz mammo, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny, to wina mojej twarzy i Boga. Zdaje się, że Bóg miał włożyć kiedyś moją duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur okrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam, patrzy na słońce... Takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach...“

W końcu sprzykrzył się pobyt w Genewie Juliuszowi, i pomimo łez pani Pattey i Eglantyny, która się serdecznie przywiązała do poety, pożegnał ciche ustroenie, i wyjechał do Rzymu, gdzie się miał spotkać z Teofilami Januszewskimi.

Po pierwszych chwilach najserdeczniejszego z nimi stosunku, rozpoczęły się wkrótce nieporozumienia a to z powodu, że Juliusz, poznawszy Zygmunta Krasińskiego, tak go polubił, i Zygmunt jego wzajemnie, że prawie całe dni spędzali razem na przechadzkach.

„Chodziliśmy razem na spacer i najczęściej spędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród, pełny



Zygmunt Krasiński.





róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.

„Przy świetle księżycy, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgle sinej, tonął z dziwnem rozemdleniem serca, myślałem o przeszłości... Nieraz ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno! powie ci to Zygmunt... — Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim i widziałem groby dwóch poetów. Młody Keats leży pod małym kamieniem, poeta wydał swoje wiersze, krytyka ostra zabiła go, to jest, dostał melancholii, potem suchot i pochowano go w Rzymie. Cóż moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? Czy na Krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni, nie będzie mi spokojniej?...“

O Zygmuncie Krasińskim, do którego najżywszą czuł sympatyę, tak pisze Juliusz w swym liście: „Miał wiele podobieństwa do dawnego dzieciennego przyjaciela mojego Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów.”

Zygmunt Krasiński był młodszy od Juliusza o 3 lata, ale umysł jego był tak wyrównywający Słowackiemu, język tak wytworny, dowcipny, a imaginacya tak rozmarzona, uczucie nieszczęściami kraju i swemi własnemi tak przeczulone, że Juliusz największą rozkosz znajdował w rozmowach z młodym poetą.

„Wieczorami na żywych i passyonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy już Filowie spali.“

Ztąd wynikło nieporozumienie, że Julek zaniedbuje swoich dla obcych. Pogodzili się jednak wkrótce i wyjechali do Neapolu, z kąd Juliusz puścił się nareszcie w tę od dzieciństwa marzoną podróż na Wschód.

„Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem i stoję nad brzegiem morza Adryatyckiego, tak, że podniosłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę, bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom!...”

Puścił się w tę podróż razem z Zenonem Brzozowskim.

### **Smutno mi Boże!**

Gdy się okręt zakolysał a falach morskich pędzących go nareszcie ku murom Aleksandryi, owionął Słowackiego smutek i żal za przeszłością, od której go ta bezbrzeżna oddalała woda, a gdy jeszcze ujrzał stado bocianów lecących z północy na południe — załkała dusza jego wspaniałym hymnem o zachodzie słońca:

*Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie  
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;  
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie  
Gwiazdę ognistą.  
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze  
Smutno mi Boże!*

*Jak puste kłosy z podniesioną głową,  
Stoję roskoszy pełen i dosytu;  
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,  
Ciszę błękitu.*

*Ale przed Tobą głębi serca otworzę:  
Smutno mi Boże!*

*Jako na matki odejście się żali  
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,  
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali  
Ostatnie błyski,*

*Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,  
Smutno mi Boże!*

*Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,  
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,  
Spotkałem lotne w powietrzu bociany  
Długim szeregiem.*

*Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,  
Smutno mi Boże!*

*Żem często dumiał nad mogiłą ludzi,  
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,  
Żem był pielgrzymem, co się w drodze trudzi  
Przy blaskach gromu,  
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położyć:  
Smutno mi Boże!*

*Ty będziesz widział moje białe kości,  
W straż nie oddane kolumnowym czołom;  
Alem jest jako człowiek, co zazdrości  
Mogil... popiołom.  
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,  
Smutno mi Boże!*

*Kazano w kraju niewinnej dziecinie \*)  
Modlić się za mnie codzień; a ja przecie  
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,  
Płynąc po świecie.  
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może  
Smutno mi Boże!*

---

\*) Melance — córeczce Hersylki Januszewskiej. Zmarła w trzecim roku życia, a podobnie jak Urszula Kochanowska, układała zadziwiająco łatwo wierszyki, n. p. ułożyła wierszem modlitwę, która do Jez pobudziła Juliusza, gdy ją odczytał.

*Na tęczę blasków, którą tak ogromnie  
Anieli twoi w niebie rozpostarli,  
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie  
Patrzący marli...  
Nim się przed moją nicością ukorzę  
Smutno mi Boże!*

Wspaniały ten hymn odsłania całą głębię smutku i żalu za wszystkim, co minęło a nigdy dla niego nie wróci i jest jedną z najpiękniejszych pereł pośród pereł poezji, jaką nas ten orli ptak obdarzył.

Widok cudnie pięknego wschodu słońca, który odsłonił w różowych blaskach Aleksandryę, rozproszył ponury nastrój poety, i rozjaśnił jego twarz bladą.

### El-Arisch.

Po zwiedzeniu Egiptu, puścili się nasi podróżni przez pustynię do miasta Gazy. Po ośmiodniowej podróży na wielbłądach, wśród okiem nieobjętych piasków, przybyli do El-Arisch, miejscowości, w której każda karawana musiała odbywać kwarantannę.

„Wystaw sobie, droga moja, naznaczono na odbycie 12 dniowej kwarantanny równinę piasku.“

Na tej równinie rozbili namioty. Zrazu i ta nowość, zwłaszcza cudne noce, zajmowały wyobraźnię poety, ale raz sroga rzeczywistość kazała o wszystkim zapomnieć, a tylko ratować siebie, namioty i pakunki. Szalona burza, straszna, piorunowa, zahuczała nad samotną karawaną, a następnie wezbrany strumień o mało jej nie zatopił. Burza trwała godzin 13; nad ranem słońce pięknie za-

świeciło i pozwoliło podróżnym osuszyć namloty i ubrania. Jedyłą rozrywkę w tej nudnej kwarantannie stanowił Dr. Steble, który miał zlecony lekarski nadzór nad podróżnymi. Doktor ten opowiadał Słowackiemu, jak w czasie dżumy odbywał tu kwarantannę Arab z żoną i dziewięciorgiem dzieci. W tym czasie poumierały mu kolejno dzieci, potem żona, a po śmierci każdego członka rodzinyznaczano nowych dni 40. Az w końcu Arab został sam, odbył ostatnie dni kwarantanny i zdrowy, ale prawie obłąkany z rozpaczy, do domu sam powrócił. Zdarzenie to barwnie opowiedziane, po grozie ubiegłej nocy złożyło się w umyśle poety na przepiękny poemat p. t. „*Ojciec zadżumionych.*“

*Ach ona była młoda! taka ładna,  
Taka wesola, kiedy moją głowę  
Do liliowych brata rączek,  
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,  
Okolo cedru biegala po trawie  
Jak pracowity snujac się pajaczek.*

. . . . .  
*Ach, ona była domu mego panią!  
Ona jak jaśni anieli obrońce,  
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła  
I gdzie płacz jaki słyszala, tam biegła;  
I wszystkie nasze oplakala ciosy,  
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.*

. . . . .  
*I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!  
I ta mi córka na rękach umarła!  
A była jedna najstraszliwsza chwila,  
Kiedy ją bóle targaly zabójcze,  
Wolala: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!*

*I miała wtenczas czerwone usteczka  
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła.  
I tak umarła ta moja dziewczeczka,  
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —  
A piękna była jak anioł — po śmierci!*

. . . . .  
*I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;  
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.  
O! gorzka wolność i chwila odlotu!  
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;  
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy  
Będę wyrywał koły i powrozy,  
Które... O! Boże wiekuisty, świeć mi!...  
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.*

. . . . .  
*I co dnia patrząc na tak konające,  
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące!...*

### **Jeruzalem.**

Zwiedziwszy Egipt, Kair, piramidy, stanął Słowacki w Jerozolimie o godz. 9 w nocy d. 13 stycznia 1837 r. Miasto spało opasane murem; psy ujadały, czując obcych przybyszów. Po dwóch godzinach dobijania się, otworzono Bramę Syońską i cała kawalkada weszła w mury Jeruzalemu, i udała się na spoczynek do klasztoru. Zbudzeni zakonnicy zajęli się przybyłymi pielgrzymami, lokując ich jak mogli, — bo wszędzie pełno było gości; następnie poprosili ich do reflektarza na posiłek. Słowacki, przechodząc przez długi korytarz, nagle krzyknął radośnie:

— Oleś! a chwyciwszy idącego naprzeciw siebie mężczyznę za ramiona, obrócił go ku światłu i drugi raz wykrzyknął: „Oleś, cóż to, nie poznajesz mnie?”

Przechodzeń zlekka wysunął się z uścisku poety i rzekł obojętnie:

— Niech pan daruje, ale...

— Jakto? czy mnie nie znasz?

— Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie.

Wówczas ze ściśnionem boleśnie sercem, wymówił Juliusz swoje nazwisko.

Mimo to, i mimo, że w tak odległych krajach dwa niegdyś z dzieciennych lat znajome sobie serca spotkały się tu, u stóp Syonu, Oleś Szpitznagiel obojętnie zbył Słowackiego, mówiąc mu zlekka na pożegnanie: „do zobaczenia się!”

— Gdzie? pomyślał poeta....

Nazajutrz ujrzał ziemię, o jakże piękną! podobną do kobierca, okrytego renunkami ognistego koloru błękitnej i białej barwy, narcyzami, irysami i mnóstwem innego kwiecia. Tylko Jerozolima, zawieszona jak gniazdo jaskółcze na Syońskim wzgórzu, pomiędzy dwiema schodzącymi się w południowej stronie miasta dolinami, a raczej wąwozami i w sąsiedztwie dzikich i nieplodnych gór miała wygląd groźny, straszny.

### **U Grobu Chrystusa.**

Z dnia 14-go na 15-go stycznia miał Juliusz być dopuszczonym do Grobu Chrystusa, to jest miał przy nim noc spędzić samotnie. Dzień cały był silnie pod-

niecony do tego stopnia, że często wstrząsał nim płacz nerwowy, który ledwie mógł hamować, nie chcąc zwracać uwagi Zenona, bo to uczucie wydawało mu się tak święte, że nie powinno było mieć świadka. Nadeszła wreszcie godzina 7-ma wieczór. Słowacki wszedł do świątyni — bramę za nim zamknięto; został sam.

Przed nim u wejścia, na wprost drzwi leżała płyta z czerwonego marmuru oświetlona kandelabrami ze zwieszającymi się lampami. Na płycie tej zostały przed wiekami złożone zwłoki Chrystusa, po zdjęciu Ich z krzyża, na niej były balsamowane. Ztąd w prawo szło się na Golgotę, a w lewo do wielkiej rotundy, w której środku pod kopułą wznosiła się kaplica grobu Chrystusowego. Ściany zewnątrz wyłożone są czerwonym marmurem i osypane przepysznyimi ozdobami. Z rotundy zwieszają się ukośnie nad wejściem na sznurach niebieskie, jedwabne, szyte w srebrne gwiazdy dwie zasłony, nie zakrywające jednak ścian wcale. U wejścia, nad wyraz ozdobnego, stoją, jakby na straży z dwóch stron po trzy olbrzymie kandelabry z zatkniętymi na nich świecami woskowymi. Z góry zwieszają się na łańcuszkach złote i srebrne lampy, magicznie rotaczając światło. Młody poeta z drżącym sercem począł zstępować do wnętrza, które składa się z dwóch części: w jednej leży kamień, na którym spoczął Anioł w Wielką Noc Zmartwychwstania; ściany są wyłożone śnieżnie białym marmurem; w drugiej części spoczywa sarkofag z marmuru białego, czerwono nakrapianego, którego wierzchnia płyta jest w środku pęknięta. W zagłębieniach ścian stoją złote i srebrne świeczniki oraz prześliczne wazy, pełne świeżych kwiatów. Po nad gzymsem umieszczony jest stary obraz przedstawia-



jący chwilę Zmartwychwstania. Z sufitu zwiesza się 48 lamp złotych i srebrnych. Tu przywitał Juliusza kapłan, a skropiwszy go wodą święconą, zostawił na samotnej modlitwie.

— Zostałem sam! rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu!...

Jak może się modlić człowiek u grobu Chrystusa?... sam na to sobie każdy musi odpowiedzieć. Ale, jak się modlić może poeta tej skali uczuć i fantazyi co Słowacki, na to odpowiedzieć za trudno. On sam tylko tyle mówi: „modliłem się gorąco za ciebie droga moja i za moją ojczyznę, kamień łzami zrosiłem!... Miałem z sobą biblię i czytałem ją do g. 11 w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie. Oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień a potem przyszedłszy do mnie oboje, pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam! O godz. 12 Dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich: różne wiary budzić się na ten głos poczęły, katolicy księża zaczęli śpiewać jutrznię; ksiądz Maksymilian Ryłło wyszedł z mszą św. na intencję naszej ojczyzny.“

Słowacki służył sam do tej Mszy św. i dopiero nad ranem o trzeciej godzinie udał się na spoczynek i spał „snem dziecka, które się znuży łzami.“

### **Góra Oliwna, Dolina Józafata i Morze Martwe.**

Po owej nocy u Grobu Chrystusa Juliusz czuł się prawie odrodzonym; smutek z duszy jego ustąpił, natomiast dziwnie pogodna cisza zagościła w sercu. Z re-

ligijną czcią i silnie pobudzoną poetycznie fantazyą, rozpoczął pielgrzymkę do wszystkich miejsc pamiętnych pobytem, działaniem i męką Chrystusa. Wstąpił poeta do Ogrojca, rozłożonego na górze Oliwnej. Wyssoko gaj oliwny stanowił gęstwinę, a w dole rozkładały się najpiękniejsze kwiaty, najbarwniejsze anemony. Tu w dole czuwali niegdyś uczniowie, tam w górze modlił się przed wickami Chrystus... Wstąpił i poeta nasz na ten pamiętny wierzchołek, wspomniął na mękę Człowieka-Boga... i długo błąkał się po tym gaju w głębokiem skupieniu ducha. Góra Oliwna wznosi się na 500 stóp nad doliną Józafata, zwaną także Cedron. Niegdyś rzeka Cedron przedzielała tę dolinę na dwie równe połowy, dziś dno rzeki wyschnięte zawalają ostre kamienie. Dolina ta przedstawia straszny widok w jednej części. Dzika, kamienista, zjeżona mnóstwem przeróżnych nagrobków, bo wszystkie wyznania składają tu ciała zmarłych, wierząc powszechnie, że sąd ostateczny tu się odbyć musi. Na tej dolinie leży Grób Matki Bożej, jest to długi podziemny kościół, do którego się zstępuje głęboko po 50 przeszło schodach. O morzu Martwym tak pisze Juliusz w swym liście:

„Pyszny jest dzikością widok martwego Morza, zwłaszcza, że będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię, aż po głowy... Widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przednimi nogami na krzaku, przypominający ustęp z Biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam drab na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do jakiegoś dawnego bałwochwalskiego króla.”

Zwiedziwszy wszystkie pamiątkowe miejsca Ziemi świętej, Słowacki udał się do klasztoru ustronnego na górze Liban. Klasztor ten zwał się Betcheszban, mieszkali w nim księża Ormiańskiego obrządku. Tam spędził Juliusz ostatnie dni pobytu swego w Syrii. Klasztor ten położony na samotnej górze w miejscu niedostępnym, dzikiem, bezludnym, miał rozległy widok na morze, i na mnóstwo kwiatów, rozwijających się z wiosną na górach. Tu Juliusz w cichej, samotnej celi porządkował wrażenia, odniesione z odbytej podróży, a w końcu odbył spowiedź z całego życia. O tej spowiedzi tak pisze do matki:

„Dzień Wielkiej nocy spędziłem w klasztorze. Przyjechał umyślnie ks. Jezuita, ofiarując mi się za spowiednika. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi, ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie.” W tym klasztorze kilka razy przyśniłaś mi się droga moja!”

Wrażenia z tej długiej i niezmiernie romantycznej podróży, chciał Juliusz zrazu opisać matce swojej prozą, ale potem zmienił zamiar i ułożył to wszystko wierszem, nadając tytuł: „Podróż na Wschód.” Jest to opis niezmiernie barwny i wiernie oddany, a jeżeli sobie przypomnimy właściwość umysłu Juliusza, że zawsze na wszystko jaśniej spoglądał z oddalenia, możemy wiedzieć, jak tęczowym kolorytem zabarwił opisy miejsc i ludzi widzianych; nie brakuje tam nawet i takiego szczegółu arcyprozaicznego jak o Arabach brudnych, którzy:

*czasem z brody gęstej coś dostaną,  
I wcale tego na pazur nie kładną,  
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,  
Bowiem, zabijać rzecz żywą jest grzechem!*

W innym ustępie jak dosadnie maluje tancerkę:

*Królowa tańca, młodziutka dziewczyna  
Pleć miała żółto-ciemną, jak cytryna.  
Włosy, jak węgiel czarne, Indyanka!  
Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,  
Na głowie, naksztalt kręconego wianka,  
Koronę z chińskich jajek i latarek.*

Jest przepyszenie opisany ten taniec indyjski, z niezmierną prawdą oddane są ubiory i cały charakter dzikości tańca, i towarzyszącej muzyki, jak również otoczenia, które się tańcem zachwyca. Ostatecznie wracając już do Europy, w jednym z listów do swej matki tak pisze:

— Wracam z mojej wschodniej podróży zupełnie odarty: jak Babka mówiła, „spanachawszy manatki”. Koszule moje noszą pięć ran Chrystusowych, będę się musiał na nowo oszywać i opierać. Wiozę sobie ranne wstanie, płaszcz arabski wełniany, wiozę dywanik, który mi za pościel służył, w Kairze kupiony. Mam także Sziszę czyli Nargillę, to jest szklaną butelkę z której się pali tytoń i skarpetki perskie, które mi za meszty służyć mogą.

---

### **Szymon Konarski.**

Po odbytej podróży na wschód, Słowacki zatrzymał się czas dłuższy we Florencji. Został tu głównie

dla dalszej pracy naukowej nad sobą. Chciał w oryginale zapoznać się z literaturą włoską. Przebywał więc we Florencyi od lipca r. 1837 aż do sierpnia r. 1838. Spotkał się tu znowu z Krasińskim i najrozkoszniejsze spędzał z nim chwile. Koniec pobytu we Florencyi, został zaćmiony przez smutne wieści, które dochodziły bardzo niedokładnie i w bardzo długich odstępach czasu o bolesnych wypadkach, jakie rozgrywały się w kraju. Straszne prześladowania, bicie różgami, więzienia, zsyłki do katorżnych robot musiały wstrząsnąć narodem. Duch rewolucyjny, a jeszcze bardziej duch jednoczenia się w związki, ogarniał wszystkie państwa w Europie, — wszędzie od czasu rewolucyi francuskiej powiewał duch wolności. Na projekt włoskiego patryoty Józefa Mazziniego zawiązała się 12 kwietnia 1834 r. tak zwana Młoda Europa; ta składała się z poszczególnych związków, jak: Młode Włochy, Młoda Szwajcarya, Młoda Polska i Młode Niemcy. Zasada tych związków było, ażeby jedynym władzcą w kraju był *Lud* a jedynym rządzcą *Prawo*, a jedynym prawodawcą *Wola* ludu. Głównym działaczem tej Młodej Polski był Szymon Konarski. Piękny ten młodzieniec, poeta, patryota zapalony, wyuczywszy się zegarmistrzostwa przebiegał kraj, od dworu do dworu, od chaty do chaty jako rzemieślnik. Zawitał na Wołyń do Krzemieńca i tu silne poparcie i energiczną pomoc znalazł w pani Ewie Felińskiej. Odważna i rozumna ta niewiasta, żyła w ściślejszej przyjaźni z panią Salomeą Becu, matką naszego poety. Z Wołynia poszedł Konarski na Podole, tu zawitał do Wierzchówki, do państwa Michalskich. Prócz obowiązków patryotycznych, które Michalskim jasno przedstawił, i bardzo na swoją stronę skłonił młodego Zenona, wszedł Konarski w bardzo serdeczne osobiste

stosunki z całą rodziną tych zacnych ludzi, gdyż zaręczył się z młodszą siostrą zmarłej\*) Julci ową Mniszczką, panną Emilią. Następnie udał się Konarski do Wilna, a będąc już ściganym przez Moskali, ukrywał się po chatach, po lasach, po pińskich bagnach, doznając strasznych niewygód, głodu i zimna. Przybywszy do Wilna, chcąc uniknąć tropienia policyi, wszedł do służby za lokaja do obywatela Ignacego Rodziewicza. Z nim odtąd stale objeżdżał Litwę. Na nieszczęście został poznany, schwytany i stawiony w Wilnie przed sąd okrutnego księcia Trubeckiego. Męczono go strasznie dla wymuszenia zeznań, bito go, w rany lano spirytus, wbijano mu gwoździe za paznokcie; przecież nic z tego męczennika wydobyć nie mogli. Zniecierpliwiony Trubecki krzyknął: „to żelazny człowiek” i skazał go na rozstrzelanie. Oficerowie rosyjscy, podziwiając jego siłę ducha, chcieli mu ułatwić ucieczkę, ale jeden z więźniów, Antoni Orzeszko, chcąc siebie ratować, zdradził ten spisek i mnóstwo osób należących do związku Konarskiego, przed Trubeckim wydał. Wtenczas wywleczono Konarskiego z więzienia, zaprowadzono na przedmieście Pohulanka i tam go rozstrzelano d. 15 lutego 1839 r. Wszyscy, którzy mieli bliższy stosunek z Szymonem Konarskim, ulegli prześladowaniu. I tak Michalscy wszyscy zesłani zostali na Sybir, majątek sprzedano; Ewa Felińska została zesłana w głąb Sybiru, Teofila Januszewskiego wysłano do Kaługi na 3 lata a panią Becu zamknięto w więzieniu w Żytomierzu na 6 miesięcy. Słowacki naturalnie nic długo nie wiedział o tych strasznych wypadkach, ale jako bardzo

---

\*) W r. 1831 zginął w powstaniu Jan Januszewski, w rok po nim z żalu umarła żona jego Julcia, został po nich synek Staś który zmarł młodo w Galicyi.

nerwowy i skłonny do przeczuć, mimowoli począł się niepokoić, a nie odbierając żadnych wiadomości, popadł w rozpacz. Zygmunt Krasiński widząc, jak młody jego przyjaciel niknie mu w oczach, jak schudł, pożółkł i zapadł w ciężką melancholię, pojechał sam do Krakowa, i tu przez bankierskie biuro braci Bochenków, wielkich patriotów, choć w części dopytał się o losach rodziny Juliusza. Rzeczywista prawda nieomal powiększyła rozpacz poety, nic i nikt pocieszyć go nie mógł. Nareszcie, gdy po 8 miesiącach otrzymał list matki, tak małuje swą radość:

Paryż, d. 24 czerwca 1839 r.

„Zalany łzami i trzęsący się cały, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja, święta moja! czy opowiedzieć ci cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc, co się z tobą dzieje, czy zamilczeć o przeszłości, a cieszyć się tylko, że nas Bóg poratował...

W Paryżu pobyt Juliusza z przyczyny stosunków z emigrantami ubóstwiającyymi Mickiewicza, był nieznośny. To go gryzło zatruwało mu każdą chwilę życia, i rujnowało zdrowie zawsze bardzo wzięte.

„Żyję z ludźmi, którzy są pełni zazdrości, gwałtu i robię co mogę, abym ich zniecierpliwiał... Mam jednak i pomiędzy nimi powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna! O, moja droga, w czarnym szlafrocuku, jakby mi było dobrze przy tobie, jakbym ja chętnie usiadł do twego obiadku... znówbym płakał nad Homerem... a tybyś bajeczkom sens moralny dorabiała...”

Odtąd korespondencya z matką staje się przedziwnie piękna, wzniosła, rzewna. Juliusz woła na matkę: „moja droga Salli!“ daje jej spowiedź swego serca tak otwartą, tak szlachetną, tak wzniosłą, tak pozbawioną wszelkiej chęci ukrycia czegokolwiek, osłonięcia siebie, oszukania tej najdroższej dla niego istoty. Nie trzeba nikogo pytać o zdanie: jaki był Słowacki jako człowiek?... dość przeczytać jego listy, od początku do końca, a przekonamy się, jak to dziecko rozpieszczone, nerwowe—trochę samolubne, często zgoryczone, przekształca się bardzo powoli, bardzo racjonalnie, bez gwałtownych przemian, w męża o wielkiej ciszy i pogodzie ducha, który własne szczęście składa u stóp ukochanej sztuki poezyi, dla której żyje wyłącznie, i przez którą spogląda na cały świat ludzki i przyrodzony. Po za poezyą, jest zadziwiająco w życiu codziennem rozsądny, chłodny, wyrachowany, ambitny, często bardzo nieprzystępny, dla tego nie ma oddanych sobie przyjaciół; ma kilku zwolenników, a resztę otoczenia stanowią zawistni i niechętni lub całkiem obojętni. To też skarży się w piątej pieśni Beniowskiego:

*Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno  
Do tego życia co mi dał przywyknąć,  
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.*

*Lecz z mego życia poemat — dla Boga!*

Po katastrofie Konarskiego, Słowacki w listach, dla ostrożności, nazywa ojczyznę „kuzynką“, a siebie „wychowanicą Zosią“ — i przedziwnie miłe są te listy, posiadające charakter miękkiej czułości kobiecej.



## Improwizacya.

Eustachy Januszkiewicz, dawny Słowackiego szkolny, wileński kolega, zaproponował urządzenie wielkiej uczty na cześć Adama Mickiewicza w pierwsze święto Bożego Narodzenia 1840 r. Zaproszono na tę uroczystość 40 osób, a między niemi Juliusza Słowackiego. Nie mógł odmówić Eustachemu, zbliżywszy się już bowiem do Mickiewicza w Towarzystwie historyczno-literackiem, w którym Adam był prezesem, a Juliusz radcą, wypadało mu wziąć udział w uczczeniu dnia jego Imienin. Jak zwykle na ucztach bywa, kielichy gęsto krążyły, a przy każdym głośno objawiano zachwyty dla wieszczki; Słowacki siedział ponury i milczący, aż Eustachy podając mu kielich zawołał: „Juliuszu, jako poeta pij zdrowie naszego wieszka!“ Słowacki zbladł śmiertelnie, zawahał się, potem nagle wstał, zadzwonił w szklankę, prosząc o chwilę ciszy, i podniósłszy kielich zaczął mówić. — Brylantami zasypał słuchaczy, zadziwił, ale nie wzruszył — dopiero spostrzegłszy lekkie, stłumione niezadowolenie, zwrócił się wprost do Adama i rzekł:

— Na łądydze mojego życia dwa błyszczą kwiaty, jeden niechęci ku tobie: ten wędnieje i upada, drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nisko zakwita, schył się, aby go podnieść. Czyniąc to, pójdiesz tylko za przykładem Wojskiego z Pana Tadeusza, w którym tak cudownie opisałeś Grzybobranie, Wojskiego, który kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory.

Zgromadzeni goście, oklaskami teraz obsypali mówiącego, a Słowacki blady, z czołem kroplami potu zroszonym opadł na krzesło prawie omdlały.

Powstał Mickiewicz z twarzą promieniejącą natchnieniem i zwrócił całą siłę wymowy wprost do Juliusza, mówiąc spokojnie i tłumacząc przyczynę, dla której Juliusz nie ma powodzenia, jako poeta. Nazwał utwory Słowackiego piękną, cudownie piękną świątynią, ale w tej świątyni nie ma Boga... nie ma serca!...

*„A wieście, że dla poety jedna tylko droga:  
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!”*

Po tych słowach nastąpiła chwila zbratania się dwóch wielkich, ale całkiem odmiennych poetów; wstali, podali sobie ręce i w serdecznym, przyjacielskim uścisku zapomnieli o wzajemnej niechęci. Niedługo jednak trwała ta przyjaźń; Słowacki miał wieczny żal do Mickiewicza za to, że nigdy słówkiem nie odczuwał się o jego utworach i również w wykładach swoich o literaturze Słowiańskich ludów, nie wzmiankował nawet nigdy o istnieniu poety Słowackiego. Dopiero tę wzajemną zawiść zniósł szczególnie człowiek, który, jakkolwiek wątpli i słaby, posiadał dziwną moc, a który się nazywał *Towiański!*

---

### **Mistrz Towiański.**

Widząc ciągłą rozterkę, zawiść, zazdrość, niezgodę wśród emigrantów, a wśród tego chęć odbudowania Polski, Adam Mickiewicz zapragnął moralnie swych rodaków podźwignąć. W tym celu utworzył stowarzyszenie „Braci Zjednoczonych“, których celem było urabiać duchowo i kształcić swoich współpraci. Nie tyle kazał myśleć o zbrojnym powstaniu, ile o powstaniu ducha i serca z niziny ziemskich, zgubnych za-

targów. Zjednoczenie Braci jeszcze się wydało nie dość odpowiadającym celowi; zamierzał Mickiewicz stworzyć koniecznie *Zakon*, zakon surowy, któryby ogłosił wyrzeczenie się siebie na korzyść Ojczyzny. Znalazł wkrótce zwolennika dla swych zamiarów w osobie Bogdana Jańskiego, który „został objęty skrzydłami wieszczka, oderwany jego duchem od ziemi i postawiony na świeczniku chrześcijańskim wśród tułających Polaków, a jako brzoza polska nad brzegiem wody, ssał całym rdzeniem i korą i wierzchołkiem prawdę ewangelii.” Ten Bogdan Jański złączył się z Hieronimem Kajsiewiczem, ułanem-poetą, i Piotrem Semeneńką i we trzech najawszy ustronny domek, rozpoczęli życie zakonne, mając na celu odrodzenie Polski. Następnie Kajsiewicz i Semeneńko przyjęli święcenia kapłańskie i utworzyli Zgromadzenie Braci Zmartwychwstańców, tak nazwanych dla tego, że otrzymali zatwierdzenie Papieżkie w Wielką Sobotę 1842 r. Na takim gruncie już religijnie przygotowanym wśród emigracyi, zjawia się niezmiernie ciekawa postać, ogólnie znana pod nazwą: *Mistrz Towiański*.

Andrzej Towiański, ubogi szlachcic litewski, człowiek niepospolitych zdolności, obdarzony potężną, ognistą wymową przy niezmiernym spokoju w swej sympatycznej do Napoleona podobnej postaci, podbił łatwo pod swoją ewangeliczną naukę emigrację polską. Rozpoczął od Mickiewicza, którego, dziwnym trafem uleczywszy mu żonę z obłąkania, zniewolił ku sobie. Potem zjednał sobie Słowackiego, a mając już za sobą takie dwa potężne umysły, zostawił im kierunek nad całą Bracią w imię Chrystusa. I umilkła naraz cała rzesza emigracyjna, ucichły swary, wszyscy w duchu ewangelicznym ręce sobie podali i rozpoczęła się praca we-

wnętrzna nad sobą samym, pod głównym kierunkiem starszego Brata Adama. Teraz ostatecznie pogodzili się obydwaj poeci i wspólnie pracę swą dla braci młodszej poświęcali. Mickiewicz, jako poeta milknie raz na zawsze pod wpływem Towiańskiego, występuje już potem tylko jako człowiek czynu i potężny myśliciel. Słowacki przeciwnie, tworzy największe arcydzieła owiane duchem tajemniczym, duchem rozmyślań, a swą naturę, tak buntowniczą dotąd, ucisza w sobie, wyrzeka się wszelkiej rozkoszy ziemskiej, gardzi własnością, rozwija w sobie nieskończoną miłość dla bliźnich, nadzwyczajną łatwość przebaczenia uraz, a w listach do matki dochodzi wprost do nadziemskich duchowych uniesień. Niedługo jednak utrzymał się w związku Braci, wycofał się z ich koła, a zasady towianizmu dostosował później do swych własnych przekonań. To rozmarzenie jego ducha i odrywanie się coraz widoczniejsze od ziemi, miało także poważne źródło w zdrowiu, które nagle groźne objawy płucnego cierpienia przybierać zaczęło. Słowacki widocznie na twarzy się zmieniał, dokuczał mu ból piersi, ciężki oddech i kaszel.

---

### **Matka Makryna Mieczysławska.**

W r. 1845 zjawiała się w Paryżu Przełożona Zgromadzenia Sióstr Bazylianek, szukając schronienia i opieki pośród polskiej emigracji. Wśród ogólnego prześladowania za Mikołaja, w okropny, nieludzki sposób były męczone unickie zgromadzenia zakonne. Józef Siemaszko, niegdyś ksiądz unicki, kapelan Bazylianek, później Biskup unicki, zdradził nikczemnie swą

wiarę i w okrutny sposób, zostawszy prawosławnym Archimandrytą, prześladował i męczył Bazylianki. Wszystkie śmiercią przypłaciły stałość w wierze unickiej, a trzy z nich zdołały uciec. Uciekały pojedynczo, i tym sposobem dwie z nich, nie wiadomo, jaki los spotkał, a matka Makryna dostała się do Paryża. Skoro się rozeszła wieść pośród emigrantów o nowej ofierze okrucieństwa ces. Mikołaja, Słowacki udał się natychmiast do Matki Mieczysławskiej. Tu dziwnym trafem spostrzegł odrazu niezmiernie podobieństwo w twarzy matki Makryny do swej ukochanej Salli. Pobudzony tem rzecwnem wspomnieniem, klęknął przed żyjącą męczennicą i prosił ją, aby mu opowiedziała historię prześladowania, które z taką odwagą, słabe, wątłe kobiety przeniosły i śmiercią zapieczętowały. Matka Mieczysławska chętnie szczegóły wszystkie opowiedziała, a nawet prosiła, aby takowe mogły być do wiadomości publicznej podane. Juliusz, uczciwszy świętą niewiastę, wziął od niej błogosławieństwo i całą tę rozmowę wierszem opisał p. t.:

„Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską Bazylianką w Paryżu.”

Zakonnica ta dostała się w końcu do Rzymu i tam dzieje całego prześladowania przedstawiła Papieżowi Grzegorzowi XVI.

---

### Wymarsz.

*Baranki moje,  
Zaświtał czas!  
Nad piękne zdroje  
Powiodę was.*

*Puszczę was owieczki  
Na piękne kwiateczki,  
I będę past.*

\* \* \*

*Baranki z ducha,  
Ja pasterz wasz!  
Pan Bóg mię słucha  
Ozłocił twarz.  
Bogiem promienny,  
Odprawiam bezsenny  
Anielską straż!*

Taki smętny pasterz, duchem bożym przepelniony, poprowadził garstkę młodzieży w Poznańskie. Tam Mierosławski szykował powstanie. Słowacki już bardzo chory, bardzo wycieńczony, chciał wziąć udział w wypadkach poznańskich w r. 1848. W towarzystwie Fredry, Niewiarowicza, Czarnowskiego, Tchórzewskiego, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, stanął poeta w Poznaniu w pierwszych dniach kwietnia.

Sam czynnego udziału wziąć nie mógł, bo już był zanadto chory, zamieszkał więc gościnnie w domu pp. Bukowieckich i przeważnie poza godzinami, które musiał oddać towarzystwu, spędzał wszystkie chwile na czytaniu Biblii. Pan Bukowiecki, były żołnierz Napoleoński z pod Berezyny w randze majora, był strasznie okaleczony; nie miał rąk, jednej nogi, a druga pozostała, była prawie nie do użytku, wskutek odniesionych ran. Młody syn Bukowieckiego, Julian, nie posiadał się z radości, dowiedziawszy się, jaki gość w ich domu przebywa i wszyscy otaczali Juliusza nadzwyczajnem uwielbieniem. A przecież i ta radosna chwila wśród

ziomków Polaków i na ojczystej ziemi, musiała się stać dla Juliusza trucizną, która mu serce zalała. Mierosławski po kilku drobnych potyczkach i po ostatniej bitwie pod Sokołowem d. 2 maja zrozumiał, że dalej walczyć nie można. I tak, jak zwykle dotąd, rozpoczęły się aresztowania, na nowo zapełniły się więzienia, a emigrantom z Francyi nakazano w ciągu 24 godzin Poznań opuścić. Przy ostatnim pożegnalnym obiedzie, Juliusz zapytał sędziwego majora, gdzie został tak strasznie okaleczony?... Pan Bukowiecki, nie znając rodzinnych stosunków Słowackiego, z całą szczerością zaczął opowiadanie:

— Byłem w tylnej straży, zasłaniającej odwrót Francuzów pod Berezyną. Ugodzony kulą w nogę, padłem. Pochwycili mię towarzysze i zawieźli aż do samego Wilna. Tam wszystkie lazarety już były przepełnione. Złożono mię więc rannego i przemarzłego w sieni mieszkania doktora Becu, polecając jego opiece. Ale Becu zawsze był łotrem. Napiętnował go też Mickiewicz w Dziadach, strasznie, ale sprawiedliwie. Pan, panie Słowacki, wychowany w Wilnie, dosyć się musiałeś nasłuchać o tym nikczemniku. Otóż doktor Becu, przez nienawiść wszystkiego, co polskie i francuskie, tyle był bezsumiennym, że mię kazał wyrzucić do mroźnej, śniegiem zasypanej stajni i ani spytał o mnie. Trzeciego dnia przyszli po mnie koledzy i prawie trupa przenieśli do Szarytek. Po takiej kuracyi u p. Becu, trzeba było amputować odmrożone członki, a ranną nogę zaledwie w pół roku zgojono.

Słowacki zmilczał, i tak zapanował nad sobą, że nikt z obecnych nie spostrzegł zmiany w twarzy. Gdy został sam z majorem, nagle wybuchnąwszy płaczem, rzucił się do nóg starca i wołał błagalnie: „Przebac

majorze! Policya groźna, za godzinę wyjeżdżać mi każe, ale jej się oprę, dopóki cię nie prześlągam, majorze!“

Zdumiony weteran, zmieszany, prosi o wyjaśnienie.

— Becu był drugim mężem mej matki, był moim ojczymem. Okropna prawda, okropna prawda, majorze!

— To mnie pan powinieneś odpuścić! — wołał major ze łzami, — nieświadomie zraniłem ci duszę. W każdym razie sam nie zawiniłeś pan nigdy w niczem.

— Tak, ale według Pisma św., winy ojców spadają jeszcze na czwarte pokolenie, — wołał Słowacki prawie w obłąkanej rozpacz.

— Ależ Becu nie był ojcem twoim!

— Becu był małżonkiem matki mojej. Ja czuję, że ta straszna wina czyni i mnie współwinowającą ojczyma.

Po tych słowach rzucił się Słowacki na piersi bezramienne starca i uciszył się, otrzymawszy od niego tkliwe słowa przebaczenia.

— Bóg z wami majorze, a na pamiątkę, weźcie oto tę biblię, tę towarzyszkę moją od lat już wielu.

Za uderzeniem 4-ej godziny po południu szedł Słowacki z wyrazem strasznego zgnębienia w twarzy do pocztowej karety, gdzie w obecności policyi ucałowałszy towarzyszącego mu Juliana Bukowieckiego, i rzucawszy w duchu ojczystej glebie ostatnie pożegnanie, wyruszył przez berlińską bramę do Wrocławia.

### **Widzenie się poety z matką.**

Słowacki jechał do Wrocławia smutny, bardzo smutny! Nazwisko ojczyma nie przestaje go prześlado-



wać na wszystkich punktach ziemi, gdzie się obróci między rodakami, hańba tego nikczemnego człowieka idzie przed nim i za nim. To znów myśl jego, ulatując do tej gromadki, którą wioził z zapalem na usługi ojczyzny, chmurą osiadała mu na czole, bo czyż wie, jaki los ich tam spotkał?... a Feliński, młodziutki, tyle obiecujący, był jego ulubionym uczniem z ostatnich czasów pobytu wśród emigrantów. Tęsknił do niego, żał mu go było więcej niż innych. On, pasterz rozpuścił owieczki na pożarcie wilkom! Przybywszy do Wrocławia, znalazł takie przepełnienie po wszystkich zajazdach, że stojąc na dole u wejścia w jednym hotelu zły już nawet, myślał, gdzie noc przepędzi. A chory był, znużony, pragnął spocząć. W tym samym hotelu, prawie na strychu, zajął już ostatnią izdebkę przejezdny Weryha Darowski, obywatel z Mydlnik w okolicy Krakowa. Weryha schodził właśnie ze schodów, a widząc podróżnego, nie wyglądającego bogato i o wyrazie twarzy zdradzającym silne znużenie, a może i chorobę, rzekł:

— Ha, to możebyśmy razem jakoś... Stancję mam.

— A gdzie ona? — rzekł Słowacki opryskliwie.

— Tu na trzeciem.

— Idźmy zobaczyć, — odrzekł Juliusz bez podziękowania.

— Idąc po schodach, poeta nasz z trudem oddychał, przystawał, kaszlał, w końcu rzekł cierpko:

— Gdzież mnie pan prowadzisz u licha! Na strychy, czy co?

Weryha już na dobre obrażony, nie odrzekł nic i pomyślał: „chcesz, to idź, a nie, to nie! jakby mi jaką łaskę robił.“

Słowacki szedł wolniutko dalej; gdy weszli do izdebki, Juliusz cisnął kapelusz na stółek i nie zdejmując

jąc z siebie dużego pledu, zaczął chodzić po izbie sporym krokiem; Weryha, jakby nie widział.

Darowski rozciekawiony już w swym oryginalnym gościu, rzekł:

— Jestem Darowski... Weryha...

— Aa! — odrzekł Słowacki, stanąwszy chwilę, i więcej nic nad to, a potem nagle patrząc na niego, rzekł z niepokojem:

— Ale to tam moja torba w sieniach została!

Zirytowany już do żywego Darowski zawołał:

— Przepraszam, z kim mam przyjemność?

Słowacki przeszedł jeszcze do okna i nagle rzekł ostro:

— Ale co za przyjemność, mój panie? tu nie ma żadnej przyjemności. Izba jak klatka, zmęczony jestem, zbity drogą tak, że ledwie żyję, i cóż tu za przyjemność?...

Weryha zakipiał gniewem i rzekł:

— Jak jest, to jest... ja jako gospodarz tej izby, czy klatki, przedstawiłem się panu i radbym nawzajem wiedzieć, kogo mam za gościa?

Darowski się niecierpliwił, a Juliusz jak chodził tak chodził, wreszcie burknął od niechcenia: „Słowacki.“

Jakby piorun strzelił w Darowskiego, począł się jąkać: „Sło... Jul... Juliusz Słowacki?“

— A Juliusz, Juliusz! — odburknął niedbale.

Lotem błyskawicy Weryha zbiegł po torbę i wniósł ją do izby, cicho, na palcach; ręce mu drżały ze wzruszenia, a widząc straszne zmęczenie w twarzy poety, prosił, aby zechciał izbę przyjąć wyłącznie dla siebie.

— Nie, nie pozwolę na to! pomieścimy się jakoś!— rzekł Słowacki i trzymał go za rękaw; on drobny

i szczupły, a Weryha, sążnisty drągał, drżał przed nim, jak panna. Od powstrzymanego płaczu nerwowego, zaczęła latać broda Werysze, czując to, posłał mu łóżko i uciekł co prędzej. Słowacki nieopisanie wdzięczny za tak wyraźny dowód czci dla jego nazwiska, spoczął na kanapie i usnął.

Nazajutrz wynajął sobie mieszkanie pod obcym nazwiskiem na Neue Schweidnitzer Strasse Nr. 3 i oczekiwał na przyjazd matki ze Lwowa. Z niecierpliwością małego chłopca czekał na tę ukochaną swoją, aż nareszcie przyjechała!...

Po 18 latach rozłąki, ta matka posiwała, z przysłanym blaskiem oka, rzewnymi załżała się łzami, spojrzawszy na syna, który wyglądał marnie, schorzały, jak trup z zaschniętym mózgiem, ze szklanymi oczyma!

„O Boże, jam go z taką trudnością chowała, śmiercim go wydarła siłą moją serdeczną, matczyną... o Boże, jak ty mię doświadczasz!...”

Nikt nie może opisać szczęścia, jakiego doznawał ten syn stęskniony za swoją matką, i ta stęskniona matka za synem. Na chwilę nie rozłączali się ze sobą, i projektowali, że pani Becu przynajmniej przez rok przy nim zostanie. Ale czujna policja wytropiła Juliusza i kazała mu natychmiast Wrocław opuścić, a pani Becu wracać do Lwowa.

I minęły chwile szczęścia teraz już bezpowrotnie, matka czuła, że syna więcej nie ujrzy nigdy, a syn dobrze wiedział, że raz ostatni tu na ziemi jej macierzyński odbiera uścisk. I rozjechali się — on po rychłą śmierć do Paryża, a ona po dozgonne sieroctwo do Lwowa.

## Ostatnia Wigilia Bożego Narodzenia.

Pośród okoliczności bardzo już dla Słowackiego smutnych, bo życie szybkim krokiem zmierzało do swego kresu, nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia roku 1848. Zwykle dzień ten spędzał poeta nasz wesoło w gronie ludzi sobie życzliwych; w tym roku zapomniano o biednym chorym tułaczku. Cały dzień spędził samotnie; kochanego Felusia w Paryżu nie było, tylko odźwierny z żoną krzątali się, jako wierne i przywiązane sługi koło nieszczęśliwego chorego. Zabłysła gwiazda na niebie, podano wieczerzę samotnemu tułaczowi; ze łzami ją spożył; czy myślał kiedy, że tak sierocą mieć będzie Wigilię?... Och pewnie w tę smutną noc betleemską posłał poeta piękny wiersz do matki:

*Do ciebie matko moja twarz obróćę;  
Do ciebie znowu tak jak anioł biały  
Z obłędnych krajów położyć się wróćę  
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,  
Lecz bez lzy próżnej. Obojętnie zrzucę  
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy  
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy!*

*Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie,  
Lecz ileż razy z fali mórz i burzy,  
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie  
Jak człowiek, który myśląc, oczy mruży,  
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,  
Który nieszczęścia Bogu wiernie służy.  
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,  
Jak Chrystusowe w Ogrojcu oliwy.*

*Z błogosławieństwa twego miałem blaski  
Gwiazdom podobne i cień w puszczech Gazy...*

*Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski  
Rył imię twoje; tam gdzie same glazy  
I słyhać tylko fał biblijnych wrzaski,  
Eschylesowskimi budzone wyrazy;  
Echa słyszały twoje święte imię  
I słyszał je on! laurów las, co drzymie.*

*I nad potokiem Elektry tyś była  
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości  
Dolata płaczu głos, o moja miła,  
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości,  
I woła głosem rycerskim mogiła  
O zemstę, wszędzie, gdzie człowiek zazdrości  
Umarłym i chęć śmierci duszę pije  
Tyś była ze mną! Jam cię czuł — i żyję!*

*W Romie podobny głos twemu głosowi  
Słyszałem: anioł życia zadrzał we mnie!  
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi  
Pokazywali świecącą przyjemnie  
W gwiazdach, tam, gdzie był złóbek Chrystusowi,  
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,  
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe  
I ból mój stłumić pozdrowieniem: Ave!*

*Wszędzie miłosne twoje oddychanie  
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;  
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie  
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy,  
Moje twych biednych stóp pocałowanie.  
Choć łez nie słyszał...*

Powoli porządkował Juliusz swoje papiery, sporządził testament, w którym wszystko zapisał swej matce i Teofilowi. 500 fr. przeznaczył dla odźwiernego

Mileta za wierną służbę, którą uczciwie pełnił koło niego. Wszystkie chwile, w których był zdrowszy poświęcił tworzeniu Króla-Ducha. Gdy już nie był w stanie sam pisać, dyktował Felińskiemu, który na wieść o coraz gorszym stanie jego zdrowia, powrócił z Monachium wspólnie z malarzem Pettiniand. Ci wierni przyjaciele na krok już nie odstępowali poety. Wreszcie ksiądz Praniewicz opatrzył Słowackiego św. Sakramentami, do których chory poeta z całym skupieniem ducha przystąpił.

---

### Dzień 3. kwietnia 1849 r.

Około godziny 10 rano d. 3 kwietnia Słowacki zaczął jeszcze dyktować V. rapsod swego Króla-Ducha, ale nagle uśmiechnąwszy się, zamknął zeszyt i rzekł: „Wszystko to głupstwo“, i zmęczony, spoczął na poduszkach.

Do pokoju wszedł cichutko Milet i podał list. Słowacki poznał pieczętkę: oko błysło mu radością; był to list od matki. Nie miał już siły, ani złamać pieczęci, ani listu czytać; polecił to zrobić Felińskiemu, potem rzekł z radością:

— Powiedz matce mojej drogiej, że umieram szczęśliwy, mając jej ostatnie pożegnanie i jej święte błogosławieństwo.

Następnie ciągle był przytomny, tylko już coraz mniej spokojny; około godziny 4 po południu zasnął snem wiecznym na ręku Felińskiego!...

Prawie w tej chwili wszedł Norwid i mała ta garstka najserdeczniejszych otoczyła łożę poety, którego duch wielki uleciał w krainy ziemskim oczom zakryte.

Umarł, jak chciał, bez sławy, ale tę sławę on mieć musi po śmierci, bo tak chciał, bo dziś dopiero przychodzi chwila, że jego twórczość może być oceniona i pojęta.

Dnia 4 kwietnia odbył się bardzo skromny pogrzeb; po odprawionem nabożeństwie w kościele św. Filipa, garstka rodaków, może najmniej interesujących się za życia Juliuszem, odprowadziła zwłoki na cmentarz Mont Martre. Rzucono grudek kilka, które głucho odbiły się od trumny, spuszczone ciało w głąb ziemi, usypano mogiłę i nie zanucono nawet Anioł pański. Było jednak jedno niewieście serce, które siłą pamiątek serdecznej przeszłości, rzuciło garść kwiatów na tę samotną mogiłę poety. — Kora Pinard, chociaż już dawno za mąż wyszła, nie zapomniała o tym, którego serdecznie kochała, mając lat 16, ona to łzami mogiłę skropiła i świeży grób poety wonnem kwieciem ustroiła.

W pół roku po śmierci Juliusza, matka zabrała wszystkie po nim pamiątki, otoczyła się nimi i czyniąc bardzo dużo dobrego w 6 lat po śmierci syna umarła podczas grasującej cholery w Krzemieńcu, gdzie leży pochowana.

### Testament.

*Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.  
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.  
Dziś was rzucam i dalej idę w cień z duchami,  
A, jak gdyby tu szczęście było — idę smętny!  
Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,  
Ani dla lutni mojej, ani dla imienia;  
Imię moje tak przeszło jako błyskawica,  
I będzie, jak dzień pusty trwać przez pokolenia.*

Lecz wy coście mię znali, w podaniach przekażcie,  
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,  
A póki okręt walczył, ja stałem na maszcie,  
A gdy tonął --- z okrętem poszedłem pod wodę!  
Ale kiedyś, o smętnych losach zadumany  
Mojej biednej ojczyzny, przyzna, kto szlachetny,  
Że płaszcz na moim duchu nie był wyżebrany,  
Lecz świetnościami moich dawnych przodków świetny,  
Niech biedne serce moje spalą w aloesie  
I tej, która mi dała to serce oddadzą,  
Tak się matkom odplaca świat, gdy proch odniesie.  
Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą  
I zapiją mój pogrzeb oraz własną biedę.  
Jeżeli będą duchem, to im się ukaze,  
Jeżeli nie pozwoli Bóg — nie przyjdę.  
Lecz zaklinam! niech żywi nie tracą nadziei,  
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,  
A jeśli trzeba — na śmierć idą po kolei,  
Jak kamienie rzucane przez Boga na szaniec.  
Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę  
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne.  
Snać, że twardą spełniłem, ciężką, bożą służbę  
I zgodziłem się mieć tu — nieplakaną trumnę.  
Kto inny, — tak bez świata okłasków się zgodzi  
Iść?... taką pogardę jak ja mieć dla świata?  
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi,  
I tak cicho odlecieć, jak duch gdy odlata!...  
Lecz pozostanie po mnie ta siła fatalna,  
Co mnie żywemu nie — jeno czoło zdobi,  
Lecz po śmierci was będzie gryźć niewidzialna  
Aż was zjadacze chleba — w aniołów przerobi! —

---





Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński.



## List Szczęsnego Felińskiego.

*późniejszego Arcybiskupa warszawskiego, pisany do krewnych Słowackiego o zgonie poety natychmiast po jego śmierci.*

„Tak, już nie żyje! ale jeżeli co pocieszyć nas może po tej stracie, to jego zgon prawdziwie chrześcijański. Śmierć jego tak lekką, tak piękną się wydawała, że mimowolnie wrywała się modlitwa do Stwórcy o zgon podobny. Przyjechawszy przed dwoma tygodniami do Paryża, znalazłem Juliusza nadzwyczaj zmienionego; przyjął mnie temi słowy:

„Dobrze, żeś przyjechał, nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już się wszystko kończy. Pan Bóg mnie wzywa do Siebie“.

Sądziłem, że to jeden z ataków, jakie miewał dawniej, i że wiosna ulgę przyniesie; on też mało mówił o swoim zdrowiu, i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno w dzień, jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniej.

Pierwszego kwietnia, kiedym przyszedł do niego, powiedział, że w nocy tak mu źle było, iż dnia nie spodziewał się dożyć. Nazajutrz mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Zaproponowałem mu, żeby mi dyktował, co też przyjął i tak jedną pieśń napisaliśmy, ale i to go już męczyło tyle, że resztę odłożyliśmy na później; zarazem prosił, abym sprowadził księdza. Trzeciego kwietnia we wtorek, uprzedziłem kapłana i przyszedłem do Juliusza zapytać, kiedy chce się spowiadać i dowiedziałem się, że bardzo źle noc przepędził, a chociaż zrana wstał i chodził, tak go to

męczyło, że koło dziesiątej zemdłał i zdawało się, że już skończył.

Zastałem go leżącego na łóżku, ale już zupełnie przytomnego. Na moje zapytanie o zdrowiu odpowiedział, iż ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale że się czuje bardzo niedobrze, na nowo zapytał o księdza i chciał, abym go natychmiast wezwał, co też nastąpiło w pół godziny później. Tenże, pomówiwszy trochę z chorym, poszedł do kościoła po sakrament. Tymczasem Juliusz, widząc nas rozrzewnionych, powiedział głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym, te kilka wyrazów, które głęboko w pamięci zachowałem:

— „Powiedz mojej Matce, że nic do niej nie pisałem, bo tych rzeczy pisać nie można, ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem, i z myślą o niej umieram.”

Po chwili milczenia wzniosł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej:

— „Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy, nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale nie pojmując Jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa sztucznych kółek, za pomocą których Bóg wynagradza kiedyś niesprawiedliwości i cierpienie tego świata. Ale dziś ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję, tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce mego Stwórcy“.

A zwracając się do mnie rzekł:

— „Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie: czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie, i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“

Wtem ksiądz powrócił i kiedy po spowiedzi ofiarował mi Przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej sile i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie namaszczenie z zupełną przytomnością. Po sakramentach opuściła go gorączka, oczy się rozjaśniły, a na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał, tak łagodny i ujmujący, że nie można było oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętem zachwyceniem; potem żądał, żebyśmy go zostawili, gdyż chciał spocząć.

Wyszliśmy tedy do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieliśmy, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, żeby to nie był sen ostatni, otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i chrapliwy. Widząc, że nie śpi, weszliśmy znowu; prosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością przełknął. Potem kazał mi przynieść książkę, z której w wilię dyktował i pokazywał mi, w jakim porządku dalej przepisywać; ale nie dochodząc do końca, zamknął ją, mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to marne.“ Potem zamilkł, ale często spoglądał na zegar, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przeniesie.

Zbliżała się ostatnia chwila. Przed samym zgonem wyciągnął do nas ręce i zrobił znak, iż chce wstać, lecz zaledwieśmy go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło, oddech był coraz cięższy, trudniejszy, powoli słabł, oczy

na wół się zamknęły i mgłą zaszyły, po chwili oddech ustał całkiem, a serce bić przestało, wszystko się skończyło — już nie żył.



## Lekki pogląd na twórczość poetycką i charakter Słowackiego.

Rzeczywistą podstawą twórczości poetyckiej Juliusza Słowackiego jest wspaniała, niewyczerpana nigdy fantazyja i przyroda; — a mniej uczucie. Pod koniec życia twórczość jego opiera się na głębokich filozoficznych i biblijnych rozmyśleniach. Z kraju fantazyji schodził poeta na ziemię z konieczności, lecz gdyby był mógł, to cały świat ziemski byłby uniósł w sfery powietrzne, a każdą istotę ziemską otuliłby światłami lub cieniami światów nadziemskich. Lubując się w samotności, zbliżał się do ludzi z pewną obojętnością, kochał ich silniej w wyobraźni, aniżeli w rzeczywistości, a jeżeli szukał towarzystwa, to tylko ludzi wykształconych o polocie ducha wysoko poetycznym. Wychowany od dzieciństwa po pańsku, nie zaznał nigdy troski o dzień jutrzejszy, przywykł do miłego naokoło siebie ładu, elegancyi. Sam wytwornych obyczajów, w stosunkach z ludźmi także obyczajów wytwornych, znał ich tylko z jednej strony — o barwach świetlanych. Tych drugich, walczących z nędzą, często w butach dziurawych i wytartych surdutach, żywiących się lichą strawą i to nie obficie, unikał, a więc nie rozumiał

walki, jaką oni z życiem toczyli i nie starał się nawet jej rozumieć. Na ubogich emigrantów patrzył z litością, ale z litością, w której w listach do matki przebija się nie żal, ale zdziwienie człowieka, który nie pojmuje, jak można żyć w biedzie... Cnoty zasadnicze jak: prawość charakteru, uczciwość, szczerowość przekonań i śmiałość wyznania ich wbrew wszelkim przeszkodom, zimna odwaga, gdy idzie o obronę honoru, przyznanie się do winy, gdy takowa istnieje, odznaczały wybitnie charakter poety. Te cnoty umiał w przedziwny sposób malować w swych bohaterach, jak również z niepojętą siłą piętnował ich zbrodnie, np. w poemacie *Wacław*. Słowacki był wszechstronnie głęboko wykształconym człowiekiem, znał wszystkie arcydzieła obcych literatur w oryginale, uwielbiał ich twórców, korzystał się przed ich geniuszem. Wskutek nadzwyczajnej pamięci, dzięki której przyswajał sobie treść czytanych utworów i pamięć scen wybitnie pięknych przechowywał doskonale w swym umyśle, wynikało z konieczności, że jego własna twórczość poetycka zlewała się nieraz w podobieństwach z twórczością nieżyjących już mistrzów. Układ niektórych ustępów w utworach poety przypomina istotnie mistrzów z literatury francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej lub angielskiej. Na te jednak możliwe lekkie odbicia z obcych wzorów, rzucił Juliusz tło rodzinnej ziemi, rodzinnego nieba, rodzinnych lasów, ich wichrów i postaci czysto polskich z dodatkiem wspaniałego, czysto polskiego humoru i dowcipu.

Pojęcie miłości ojczyzny wzniosłe, czyste, niepodzielne zamknął w postaci księdza Marka, z czasów Barskiej Konfederacji w Beniowskim, młodzieńcze, patriotyczne porywy uwydatnił w *Kordyanie*; cierpienia zesłańców na Sybirze oddał w nad wyraz smutnym poe-

macie „Anhelli“ (po hiszpańsku Anhellos — anioł). Potężną chwałę Polski chciał odzwierciedlić w Królu Duchu, ale mu już na skończenie go życia nie starczyło.

Wielu z emigrantów, nie sympatyzując z poetą, przyjmowali każdy jego utwór obojętnie, więcej ponadto, odmawiali mu wszelkiej wartości, nawet wprost zarzucali niedołężne naśladownictwo, a Mickiewicz ze zdaniem swem uporczywie do końca swego życia milczał.

Rozżalony poeta zapalił się gniewem, a gdy mu Krasiński, jedyny wówczas prawdziwy znawca Słowackiego, napisał: „daj im porządną odprawę, a ucihną“, rzucił im w oczy poemat „Beniowski“. Jest to arcydzieło Słowackiego; zawiera opowieść na tle wypadków Konfederacji Barskiej, ale istotna wartość i piękność tego poematu jest w tak zwanych „*Dygressyach*“.

Dygressją nazywamy strofę, która nie ma żadnego związku z główną opowieścią; dygressya — jest to zboczenie od głównego tematu. W tych dygressyach dał poeta odprawę wszystkim niechętnym sobie krytykom, ale odprawę tak zjadliwą, a tryskającą takim dowcipem, pomimo serdecznego bólu, że emigranci zdumieni śmiałością autora, zniechęcony go jeszcze bardziej, uznali jednak, że muszą się z nim rachować, gdyż utworem tym dowiódł olbrzymiego talentu. W dygressyach tych, prócz odpowiedzi na złośliwość i małoduszność wielu współrodaków, odmalował Słowacki najpiękniejsze strony swego ducha i serca; tam rozsypał perły i dyamenty, tam rozlał woń róż, bławatów i fiołków, tam pełną garścią nasypał drżących gwiazd z księżycowego nieba, tam rozlał łzy, ból i tęsknotę duszy, czującej swą wartość, a przecież wiedzącej, że „tu na



ziemi dla niej nic a nic... a cały poemat z życia jest tylko dla Boga“, — bo tylko Bóg go rozumie, gdy jest z nim sam. Powiedziano również: „Słowacki nie jest poetą narodowym.“ Tak się wydaje na owe przebolesne czasy Polski, zwłaszcza wobec Mickiewicza. Mickiewicz trafił w tętno serc rodaków, bo wyśpiewał cierpienia narodu i w cierpieniach tych brał sam czynny udział. Mickiewicz kochał i cierpiał sam za *milion*, ból i cierpienie jest podstawą jego twórczości, nie fantazyja; z prawdziwie cudowną prostotą Chrystusową umiał ten wielki poeta-człowiek trafiać do głębin dusz ludzkich. Każdy, czytając go i obcując z nim, czuł, że duch jego spala się miłością dla Ojczyzny i bliźnich, że ogarnia wszystkie warstwy społeczeństwa, ztąd u Mickiewicza treść po brzegi wypełnia poetycką formę.

U Słowackiego inaczej: ten nie zapomina na chwilę o ukochanej nad wszystko sztuce, poezyi, — dla tego pieści się z nią, wygładza, rzeźbi, zdobi najwykwintniejszych porównań kaskadą, obsypuje takimi blaskami słów, że czytelnik ze zdumieniem wsłuchując się w muzykę pieściwego słowa, orzeka: najwyższym darem z darów nieba jest na ziemi „*mowa*.“

Ale właśnie dla tego Słowacki unika bolesnych scen dramatu ojczyzny, boleść bowiem nie dopuszcza polotu fantazyi, — boleść oniemia, ciska człowieka o ziemię, innej pożąda formy. To też Słowacki zarzuca formę wierszowaną, pisząc Anhellego, i odtwarza cierpienia skazańców prześliczną, poetyczną prozą.

Mimo to Słowacki jest nawskroś poetą narodowym i sam tak mówi o tem: „ażeby być poetą narodowym, niekoniecznie trzeba być poetą patryotycznym, tak jak „Pan Tadeusz“ jest utworem nawskroś narodowym.“ A że Słowacki w utworach swych przypomina czasem

pomysły z obcych literatur, nic to nie obniża jego twórczości własnej, oryginalnej, tak o tem mówi poeta Cypryan Norwid: „Wolno się kijem podeprzeć pielgrzymowi i nie jest to słabością wobec wielkiego celu pielgrzymki.“ Cywilizacya przed nami zdobyta, musi być rusztowaniem, po którym każdy geniusz wstępuje do szczytu swej własnej chwały. A więc każdy na tej gotowej już zdobyczy myśli ludzkiej wesprzeć się ma prawo.

Drugą wybitną cechą twórczości poetyckiej Słowackiego, jest jej stopniowy rozwój, potęgujący się coraz bardziej w miarę jego dojrzałości duchowej; ztąd utwory jego pod koniec życia dopiero mają w sobie siłę męskiego, myślącego ducha, gdy tymczasem Mickiewicz tryskał całą potęgą geniuszu poetyckiego w epoce młodości i jako młodzieniec ukazywał nowe drogi swemu narodowi. Jeszcze wybitną cechą jego twórczości jest niezmierna łatwość wierszowania, a ztąd nadzwyczaj szybkie wykonanie obmyślanego planu, zktąd znów wynikła wielka obfitość dzieł, stosunkowo do krótkiego życia poety. Zwierciadłem najczystszoego kryształu odlanem bez skazy są wreszcie jego „Listy do Matki.“

---

## Charakterystyka głoówniejszych utworów Słowackiego.

---

### Okres twórczości warszawskiej.

— Okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie febry; — (pisze Juliusz sam o sobie) — wtenczas, leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych

poematów. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze, a krew bijąca w skroniach coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy. Powieść moja, *Mnich*, jest utworem jednej z takich gorączek, ale napisana w 8 prawie miesięcy później (to jest po chorobie). Tak przebyłem całe lato. (1829 r.) Nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacji. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonymi siłami fizycznymi. W imaginacji zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem i raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch pierwszych tomach moich poezye w przeciągu półtora roku.“ W innym liście do matki czytamy takie jego zdanie odnośnie do swoich utworów: „Darujcie, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi.“

Ustęp ten z listów poety wymownie świadczy o charakterze pierwszych utworów Juliusza. Rozgorączkowana fantazyja była źródłem twórczości tego okresu. Postacie, będące bohaterami poematów, są na wzór poety angielskiego Byrona dzikie, okrutne; mają charakter mścicieli swych krzywd czysto osobistych, nie są wcale wykończone pod względem objawów walki ducha, walki, któraby mogła ich w końcu do popełnionych zbrodni przyprowadzić, a czytelnika choć trochę przyjaźnie dla nich usposobić. U Słowackiego mściciel odrazu występuje jako mściciel, i nie posiada wcale warunków usprawiedliwiających jego dziką zemstę. Jego przeszłość trzeba zwykle sobie samemu dotworzyć — ztąd żaden z tych poematów nie jest jasnym. Formą tych utworów jest forma „powieści poetyckiej.“ Formę taką stworzył Byron; powieść poetycka pozwala na liczne niedokładności, dozwala szybkich przeskoków w terminie działalności osób, ztąd jest niezmiernie do-

godną formą dla poety, który nie śledzi za szczegółami życia swego bohatera.

W powieściach tych stworzył poeta obrazy pełne wdzięku, rozrzucił pojedyncze luźne myśli przepiękne, wiele serdecznych i tkliwych uczuć, wiele prześlicznych ustępów z zakresu przyrody; rzucił jednym słowem na wszystko, jak mówi Małeckci, „melancholijne, poetyczne spojrzenie,” które opromienia każdy utwór poety zawsze i wszędzie. A teraz język. Nic lepiej nie określi piękności języka poety nad to, co powiedział o nim Sienkiewicz: „Bóg tworząc Polaków rzekł: oto daję wam spiż i złoto — a wy z tego uczyńcie mowę waszą. I powstała ta mowa tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Greków może się z nią porównać. Z biegiem wieków mistrze słowa ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. I zaczęła ta harfa polska wyśpiewywać dawną wiarę, dawne życie. I znalazł się poeta, Juliusz Słowacki. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających dyamentów i obsypał nimi tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nami, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana i schylają czoła!

I oto jego chwała, jego zasługa, jego wielkość!...

### **Treść utworów z okresu twórczości w Warszawie od r. 1829 do 1831.**

*Hugo* pisany w Warszawie w r. 1829 w sierpniu.

Treść: Komtur krzyżacki, Hugo, porwał mniszkę z klasztoru, Blankę, i ukrył ją w zamku na Litwie w Trokach. Za tę zbrodnię został skazany przez sąd

tajemny na śmierć. Blanka chcąc go ocalić przywdziała jego zbroję, zmyliła kata i śmierć poniosła. Hugo, dowiedziawszy się o tem, utopił się w jeziorze.

*Mindowe*, pisany w Warszawie w roku 1829 w listopadzie. Jestto obraz dramatyczny w 5-ciu aktach.

Treść: Mindowe, Mendog, król Litwy, żyjący w w. XIII, pragnąc złączyć całą Litwę pod swem berłem, pozbawił synowców ich posiadłości. Oburzeni tym gwałtem i dzikością stryja, połączyli się z Krzyżakami. Wówczas Mendog, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, przyjął chrzest i porozumiał się z Wielkim Mistrzem Andrzejem v. Stückland. Litwa cała obróciła się przeciw Mindowi, matka Rogneda przeklęła go, a szwagier Mendoga, Doumund, zabił go w lasach nad-dziwińskich.

Wiadomości do tego dramatu czerpał Juliusz z kroniki Strykowskiego żyjącego w w. XV-ym.

*Mnich*, napisany w lutym w r. 1830 w Warszawie.

Treść: Arab zmienił wiarę swą na wiarę chrześcijańską. Prorok, Mahomet, mści się na nim i tak się płaczą nieszczęśliwe warunki życia Araba, że popełnia cały szereg zbrodni. Kończy życie jako mnich w klasztorze na górze Synai.

*Jan Bielecki*, pisany w lipcu w r. 1830 w Warszawie.

Treść: Jan Bielecki porwany był w dzieciństwie przez Tatarów i sturczony. Za króla Stefana Batorego wrócił do kraju i został nadwornym tłumaczem dla języków tureckiego i tatarskiego. Batory lubił Bieleckiego i obdarzył go ziemią obficie. Moźni panowie zazdrościli mu szczęścia; starosta Sieniawski, pan na Brzeżanach, zniszczył mu całe mienie, a ziemię, gdzie stało domostwo, pługiem zaorał. Bielecki zemścił się okrutnie, bo w r. 1588 naprowadził Tatarów i zamordował starostę.

*Marya Stuart*, napisana w ciągu jednego miesiąca w r. 1830 od 17 września do 18 października; jest to tragedia w 5-ciu aktach.

*Treść.* Rzecz dzieje się w Szkocji. Królowa jej, Marya Stuart, jako katoliczka, narażona jest na walkę z protestantyzmem; opuszczona przez wszystkich, ma tylko garstkę wielbicieli dla swej dobroci, słodyczy, usposobienia i przedziwnej piękności. Gdy jednak wyszła nieroztropnie za mąż za Botwela, zabójcę jej męża Henryka Darnleya, kraj cały potępił ją, jako współniczkę zbrodni. Królowa angielska, a siostra Maryi, Elżbieta, skazała ją na 20 lat więzienia, a następnie na śmierć. Została mieczem ścięta.

Słowacki zrobił z niej niesympatyczną zbrodniarkę, czego historia przecież nie udowodniła. Pod względem artystycznym pierwsza połowa tragedji jest ułożona bez zarzutu, a scena śmierci pазia jest porywająca.

*Arab*, powstał w listopadzie w 1830 r. w Warszawie, a raczej został napisany, gdyż pomysł do niego zrodził się w imaginacyi Juliusza jeszcze w Krzemieńcu w 1828 r., także podczas rozognionej gorączką fantazyi i spędzonej bezsennie nocy.

*Treść:* Arab, pozbawiony szczęścia w młodości, mści się w sposób potworny, szatański na ludziach, zwierzętach a nawet roślinach, niszcząc wszędzie wszystko, co tylko dobre, uśmiechnięte, szczęśliwe i kwitnące.

*Żmija.* Jest to poemat złożony z czterech pieśni. Pierwsza pieśń została napisaną w Warszawie w roku 1831, w miesiącu lutym. Inne trzy zostały ułożone w różnych przerwach w Paryżu.

*Treść:* Żmija, legendowy hetman kozacki, mści się na baszy tureckim za porwanie mu narzeczonej Sulemy.

W końcu ginie w pojedynku z ręki Baszy. Źródłem powstania tego poematu były wspomnienia z podróży Juliusza do Odessy i legenda o wielkim wale Żmijowym, usypanym na Ukrainie w odległych wiekach dla obrony przed napadem Tatarów.

Do powieści poetyckich zaliczyć należy poemat *Lambro*, pisany już w Paryżu i drukowany w III-cim tomie poezyj w r. 1832.

*Lambro*, czyli korsarz grecki, napisany w Paryżu w roku 1832.

*Treść:* *Lambro*, powstaniec grecki i wódz naczelny w czasie pierwszego powstania Młodo-Greków w roku 1798-ym przeciw Turkom. Po decydującej bitwie, cały zastęp powstańców wyginął; jeden *Lambro* ocalał i kraj opuścił. Niedługo, poeta grecki, *Ryga*, wzbudził pieśniami swemi drugie powstanie; Grekom jednak nie wiodło się; *Ryga* został schwytyany i na maszcie okrętowym powieszony. Dowiedziawszy się o tem *Lambro*, powraca i obejmuje dowództwo. Ale to już nie ten dawny *Lambro*, to już tylko okrutny mściciel, to już człowiek w nic nie wierzący, zrozpaczony, znudzony, pragnący tylko krwi wroga. Podpala okręt turecki, mści się dziko na całej załodze i cieszy się widokiem mąk umierających. Potem zaczyna pić nałogowo z nudów, a w końcu truciznę przyjmuje z rąk *Idy*, jedynej wiernej mu istoty. Co jest najdziwniejsze, że poeta w tym utworze o treści tak nieprzyjemnej, umieścił kilka strof wyraźnie dla *Ludwisi Śniadeckiej* przeznaczonych, o czem tak mówi w liście do matki:

„Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać (*Ludka*) abym się krył z moimi uczuciami...”

Do tegoż okresu twórczości zaliczyć trzeba patriotyczne, krótkie utwory, raczej pieśni: Hymn Bogarodzica, Kulig, Oda do Wolności i Pieśń Legionu Litewskiego. Hymn Bogarodzica, powstały w czasie wybuchu Listopadowego powstania, w r. 1830, zjednał sławę poetycką Juliuszowi. Z utworów z czasów uniwersyteckich w pismach pośmiertnych, znaleziono: „Dumę Ukraińską z r. 1826 i kilka Sonetów z r. 1827, wzorowanych na Krymskich sonetach Mickiewicza. Znaleziono jeszcze drobny poemat p. t. *Szanfary* z roku 1828.

*Szanfary*, (nazwisko jednego z najlepszych poetów arabskich), jest utworem niezmiernie sympatycznym dla swego łagodnego kolorytu, bardzo tkliwie oddanych młodzieńczych uczuć, a odnoszących się prawdopodobnie do Ludwika Śniadeckiej, i z niezrównanie pięknych kilku ustępów o muszli morskiej, o koralach i perłach. W drodze z Warszawy do Drezna w r. 1831 zgubił Słowacki cały zeszyt różnych drobnych poezyj; w r. 1866 prof. Małecki wyczytał w nr. 32 czasopisma *Kłosa*, że w Brukselli ktoś zeszyt ten posiada, ale napróżno prosił o użyczenie go do przedruku i tym sposobem pamiętka ta prawdopodobnie zaginie.

Hugo, Mindowe, Mnich, Bielecki, Marya Stuart, Arab i Żmija, zostały wydrukowane w Paryżu w roku 1832 w dwóch tomach. W r. 1833 wydrukowano tom trzeci, a w nim pomieszczono: Lambro, Bogarodzica, Kulig, Legion Litewski, Oda do Wolności, Duma o Wacławie Rzewuskim, Paryż i Godzina Myśli. O poemacie „Godzina Myśli”, tak pisze poeta do matki:

„Jestto poemat serca, w którym jest całe moje



dzieciństwo. Kiedyś matko moja, kiedyś w Westminsterze \*) naszego kraju, może mi dadzą kąć jaki."

### Drugi okres twórczości poety. Okres dojrzałości.

Na samym wstępie do tego drugiego okresu twórczości postawił Juliusz, jak mówi prof. Małeckci, „Słup graniczny” — słupem tym jest *Kordyan*. Powodem do utworzenia tego scenicznego obrazu o szerszym i głębszym już zakresie, była następująca okoliczność. W roku 1832. wyszła z druku III-cia część *Dziadów* Mickiewicza. Poruszona w niej sprawa doktora Becu, boleśnie dotknęła Juliusza; opuścił natychmiast Paryż i osiadł w Genewie w Szwajcaryi. W liście do matki piśnianym, czytamy:

„Więc wiecie o Adamie... Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. Bóg rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło. Część pierwszą niedługo posyłam do druku i teraz przepisuję. Drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem...”

Z tych słów jasno widzimy, że Juliusz pragnął zrównoważyć się z Mickiewiczem, w celu obrony honoru nazwiska swej matki, i w tem leży źródło powstania *Kordyana*.

Jest on słupem granicznym, bo nosi cechę zupełnie odrębną od dawnych pomysłów. Wyrasta na tle swojskim, narodowym, patryotycznym. Wprawdzie główny bohater, *Kordyan*, jest jeszcze postacią chorobliwą,

---

\*) W Westminsterze w Londynie są grobowce zasłużonych poetów.

mdłą, zapalną, marzycielską, o słabych nerwach, — ale dobrze i wiernie skreśloną, bo tą postacią jest sam poeta, a w owe czasy on takim właśnie był. Utwór ten miał się składać z trzech części, czyli miał stanowić tak zwaną „Trylogię”, jednak Słowacki wykonał tylko część pierwszą tej trylogii i nadał jej tytuł *Kordyan*.

*Treść:* Kordyan, to sam poeta; zrazu rozmarzony młodzieniaszek opowiada o swem przywiązaniu do Laury (Ludwiki Śn.) Następnie zlekka potrąca o Londyn i Włochy. Potem nagle, po opisanej koronacyi Mikołaja I., występuje, jako spiskowiec podchorąży, kierujący spiskiem koronacyjnym w celu zdetronizowania cara Mikołaja; podejmuje się go zabić. Wątpliwe nerwy i wrodzona Polakowi prawość, nie dają mu wykonać politycznej zbrodni, pada zemdlony pod drzwiami carskiego gabinetu. Schwytanego, Mikołaj skazuje na rozstrzelanie. W. księżę Konstanty, zachwycony skokiem, jaki kazał Kordyanowi na koniu ponad spiętrzonymi bagnetami wykonać, ocala go od śmierci.

W utworze tym, oprócz wielu prześlicznych ustępów, wybornej charakterystyki W. ks. Konstantego, ogromnej siły patryotycznej, jest dużo błędów czysto historycznej natury. Poraz pierwszy dał dowód Słowacki w Kordyanie, jak potężną siłę dowcipu, a nawet gryzącej ironii, posiada. Ślicznie oddał charakter staro, wiernego sługi Grzegorza.

Kordyan do chwili spisku jest wiernym obrazem samego poety, dalej jest już postacią fikcyjną, to znaczy stworzoną podług wyobraźni i planu autora.

*Wallas*, imię szkockiego rycerza.

Tragedya ta, opisywana matce w listach a oparta na dzieciennem wspomnieniu, nie została nigdy wydana, ani po śmierci poety znaleziona.

*Mazepa*, napisany w październiku w r. 1824 w Genewie.

„Wytańcowawszy się na jednym wieczorze u pani Wodzińskiej, nazajutrz po tym wieczorze, przyszła mi do głowy myśl jakaś. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, aż stała się długą na 5 łokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie.”

Widać z tego, że czasem błyskawiczna myśl o niespodziewanym bohaterze zaświtała w umyśle poety i błyskawicznie szybko cały układ został rozważony i wykonany.

*Treść:* Jan Kołodyński, zwany Mazepa, urodzony we wsi Mazepińce, na Ukrainie, w r. 1629, był po ukończeniu nauk dworzaninem króla Jana Kazimierza. W r. 1663 porzucił służbę królewską, przyłączył się do partii Lubomirskiego, niechętnego francuskiemu stronnictwu i królowi. Zdradzony przez jednego szlachcica, zostaje strasznie ukarany; przywiązują go nagiego do konia twarzą do ogona, a zbitego i rozhukanego rumakam puszczają samopas. Mazepa cudem ocalony, udał się do Kozaków, pozyskał ich sympatyę — i jako ataman rządził Ukrainą lat 12. W końcu od trucizny życie zakończył.

*Balladyna.* „W przeciągu miesiąca listopada 1834 r. napisałem nową sztukę teatralną, niby tragedję, pod tytułem *Balladyna*. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, uło-

żona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna czasem podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca...”

W drugim okresie twórczości Juliusz rozczytywał się w Janie Kochanowskim. Otóż Sobótki jego, jak również Ballady Mickiewicza i świadomość, że greccy dramaturgowie najpiękniejsze tragedye tworzyli zawsze na tle podań religijnych i bohaterskich, podały myśl poecie naszemu rozpatrzenia się w podaniach ludu naszego z czasów najdawniejszych. I znalazł materyał obfity. W fantazyi Słowackiego ożył świat przyrody, naraz rozigrały się boginki, chochliki, rozperliły się wody, rozjęczały wierzby, wplątał się szatan kusiciel, wplątały się psotne duchy, łamają się mostki, a na tem tle bajecznie pięknem i barwnem, układają się prawdziwe stosunki ludzkiego życia. Wyrasta miłość pięknego królewicza, wyrasta zazdrość, zazdrość rodzi zbrodnię, zbrodnia rodzi strach, strach wikła rozum, prowadzi do innych zbrodni, głuszac do czasu sumienie, następnie rodzi się sam głos sumienia i wymiar sprawiedliwości nieuniknionej dla każdego zbrodniarza.

*Treść:* Uboga matka ma dwie piękne córki Alinę i Balladynę. Królewicz Kirkor chce wziąć jedną za żonę. Którą? Nie wie, obie równie piękne. Matka decyduje. Idą do lasu zbierać maliny, „która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze.”

Na tle tej ludowej piosneczki, rozsnuł poeta opowieść prześliczną pod względem fantazyi, a potworną w nagromadzeniu występków w jednej postaci dziewczyny i dla tego budzi w czytelniku nietyle odrazę do głównej bohaterki, ile pytanie, czy to koniecznością było stworzyć taką Balladynę? Druga

rzecz uderza rażąco, że w działanie wprowadzone są trzy rodzaje wiary: pogańska: słowiańsko-lechicka, grecka i chrześcijańska. O języku w *Balladynie* tak pisze Zygmunt Krasiński: „posiadł (Juliusz) język polski tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mówi mu: „Ot cały twój jestem — każ a posłucham, — zawołasz — przybiegnę, — mrugniesz w niebo — polecę tam, — wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła, — chcesz, bym stwardniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie, — bym w gaz się ulotnił, — patrz, jam błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — a zawsze twój.” — Tylko radzi Zygmunt jedno: — „Granit rzuć pod twoje tęcze; tęcza, gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, to ją jeszcze lepiej tęcza robi.”

*Lilla Weneda*. Słowacki zamierzał utworzyć fantastyczną legendę na tle podań dawnej Polski, ale gdy *Balladyna* ma swe źródło w podaniu gminnem, wyśpiewanem przez Aleksandra Chodźkę w piosnce: „Maliny“, to pomysł do *Lilli Wenedy* powstał w dziwny sposób w Szwajcaryi. Błądząc samotnie, wśród zaniedbanego niegdyś cmentarzyska z czasów jeszcze starożytnych, spotkał poeta zachowany nagrobek, a na nim napis:

*Julia Alpinula tu leży  
nieszczęśliwego ojca  
nieszczęśliwa córka,  
bogów awenturyńskich kapłanka.*

*Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam.  
Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było.  
Żyłam lat 23.*

Napis był w języku łacińskim. Człowiek z tak bujną fantazją, jak Słowacki, lotem błyskawicy nawiązał nitkę dramatu życia młodej dziewczyny, lotem błyskawicy osadził wszystko na gruncie słowiańskim i już posiadał zawiązek nowej sztuki dramatycznej. W dalszym ciągu zbudziły się wspomnienia podróży przez Pińszczyznę, rozkwitły w wyobraźni poety śpiące lilie na wodzie, śpiące węże koło lilij, zczerniałe, brudne postacie wygłodzonych chłopów, sięgających po lilie, odtworzył się widok chciwego pożerania ich korzeni, zarośli się i zasyczały zbudzone węże, a ludzie zapewne gwizdaniem, a może i śpiewem wypłaszali je z pod koron kwiecia; i już zrodził się obraz Lilli Wenedy, cudnie poetyczny, miękki, tkliwy, niezrównane wdzięczny. Chodziło teraz o miejsce akcji, to jest działania bohaterów, — a więc — ziemia Słowiańska. Był na niej naród Wenedów, szczep Słowiański, szlachetny, dzielny niegdyś, ale upadły na duchu, nie mający już wiary w siebie. Przyszedł szczep drugi, wprawdzie według poety, dziki, okrutny, bezlitośny, ale młody, zdolny do przyjęcia kultury, pełen w sobie ufności, i ten szczep pokonywa Wenedów i morduje króla ich Derwida. Lilla Weneda próżno się poświęca dla ojca, próżno życie swe oddaje w ofierze za naród... Wenedzi giną pokonani.

Utwór ten jest pełen prześlicznych ustępów, ale jak zawsze i wszędzie i tu zbrodnia Gwinony przybiera potworny charakter.

Poemat „*W Szwajcaryi*”, jestto cudowna sielanka, osnuta na wrażeniach, jakie poeta odniósł z podróży po Szwajcaryi w towarzystwie rodziny Wodzińskich. Podobnej sielanki żadna literatura nie posiada, jest to perła naszej poezyi. Krasieński tak o niej pisze: Są tam

takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsem jest, że czytając, zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza.”

Poemat „*Wacław*”. Ma świetne strofy, ma siłę obrazów, ale krytyka zarzuca, że wziął poeta przedmiot za blizki naszych czasów, stąd obrażający nie jedną żyjącą rodzinę Potockich. Krasiński tak pisze do Gaszyńskiego: „To znakomity poeta, jednak w Wacławie potknął się — Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat — raczej paszkwil (oczernienie); nie jest to poezya — raczej anegdota.

Poemat „*Anhelli*”. Czas powstania tego utworu nie jest zupełnie pewny; najnowsze badania dowodzą, że już w klasztorze Batchesban zaczął nad nim pracować, a wykończył w r. 1838 w Genewie. Źródło powstania tego zagadkowego co do swej treści utworu, jest trudne do zbadania. Mnóstwo czynników złożyło się na dekorację, na treść i na pojedyncze osoby. Studya nad pismem świętem, literaturą florencką, francuską, hiszpańską złożyły się na niektóre postacie, jak: Eloë — Ellenai i samego nawet Anhellego. Dekoracya krajobrazu wzięta jest z Dziennika podróży po Syberii przez autora J. Kopia. Natura jest tak Instynktownie z pomocą opisów czytanych odczuta, że Krasiński, zachwycony tym poematem tak mówi: „Zaprawdę potrzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było,

żał się mnie Boże, do Sybiru!... Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny.”

Co do treści, jest to utwór dotąd jasno niezrozumiany; mnóstwo krytyków poświęciło mu swoją pracę, a każdy inaczej się zapatruje. Najbardziej upowszechnione jest zdanie, że Anhelli jest trzecią częścią zamierzonej Trylogii, której pierwszą jest Kordyan, a środkowa nie była nigdy pomyślana. Cierpienia wygnańców Sybiru raczej są cierpieniami całej ówczesnej Polski, aniżeli samych zesłańców. Kłótnie ich, walki przekonań, są raczej odbiciem sporów Emigracji wśród której żył poeta i dużo od niej ucierpiał. Idealna postać Ellenai wyobraża pokutnicę, za typ której posłużyła św. Magdalena i fantazyja poety. Eloë — zrodzona z lzy Chrystusowej, to Litość, anioł zaziemski. Anhelli, czyli Anioł duch, to poeta sam, to dalszy ciąg ducha Kordyana. Szaman, to wróżbita, mędrzec Sybirskich pokoleń, a w słowach jego wyrzeczonych: „Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi; lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zanoszą...” — leży poniekąd rozjaśnienie zagadki poematu, że Słowacki całą pracę emigracyjną uważał za zgubną dla Polski. To też oburzeni wygnańcy mordują Szamana. Poraz pierwszy wyjawia Słowacki swoje polityczne przekonania w kłótni wygnańców podzielonych na trzy gromady. Anhelli, to typ człowieka smutnego, nie widzącego przed sobą innego celu życia, jak cierpienie i poświęcenie siebie.

„Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzają na mnie. Sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym? ...Dla czego ja żyję?... A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez je-



dną noc w życiu w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał!...”

Anhelli był przeznaczony na ofiarę „serca” i jako taki życie kończy samotnie. Czyż to nie jest obraz tęsknoty, cierpienia i osamotnienia poety przez cały ciąg jego tułaczego życia?...

Pisząc do matki o mającym się już drukować poemacie, wyraża się o nim z taką tkliwością, nadaje temu swemu nowemu, zimowemu dzieciątku takie rzewne nazwy — ubiera je w formę tak potulnego wyglądu, że łatwo poznać, jak wypieścił w duszy swojej ten obraz Anhellego, Ducha Anioła.

Utwór ten pisany jest prozą biblijną. — Po śmierci poety Krasiński zalecał położyć na kamieniu grobowym tylko te słowa: „*Autorowi Anhellego*,” tak wysoko cenił ten poetyczny utwór.

„*Złota Czaszka*.” Jestto poemat napisany między rokiem 1841 a 1842. Ma za przedmiot różne historyczne zdarzenia i klęski narodowe z czasów panowania Jana Kazimierza. Miejszem działania jest Krzemieniec. Osoby działające są wzięte z dziecinnych i młodzieńczych wspomnień. Bohaterem poematu jest pan strażnik Krzemieniecki, który z powodu licznych ran, otrzymanych w głowę, ma złotą czaszkę. Cały ten poemat jest utrzymany w charakterze bardzo naturalnych i prawdziwych wydarzeń; fantazyi w nim jest bardzo mało. Szkoda tylko, że nie jest w całości, a w urywkach i to bardzo uszkodzonych został w pismach pośmiertnych znaleziony.

## Okres Towianizmu.

W r. 1841 w m. lipcu zjawił się w Paryżu Andrzej Towiański i swymi fałszywymi, religijnymi poglądami otoczył szarą chmurą jasne i trzeźwe dotąd poglądy naszych wielkich mistrzów. Umysły zaciemnił, serca tylko zwaśnione pogodził; Słowacki później trochę, aniżeli Mickiewicz, poddał się także wpływowi Towiańskiego, i olbrzymia stąd wynikła strata dla naszej literatury. Obałamucony fałszywem wyznaniem wiary Towiańskiego, Słowacki wprost poniszczył pozaczynane już prace, i pozostawił w spuściźnie olbrzymie tylko ułamki utworów nieukończonych. Zebrało się tego całych tomów cztery. Natomiast nowo powstałe utwory, owiane dziwnem uduchowieniem, noszą cechę często niesympatyczną a zwykle niezrozumiałą dla potężnej myśli ukrytej, tak głęboko, że nawet inteligentny czytelnik bez pomocy filozoficznych wyjaśnień sam sobie rady nie da. Do tych utworów z tego okresu twórczości należą:

„*Ksiądz Marek*”, napisany w miesiącu lipcu w roku 1843. Poemat dramatyczny w 3 aktach.

*Sen Srebrny Salomei*, napisany w listopadzie w r. 1843. Oba te utwory tak matka Słowackiego, jak i współczesna krytyka oceniła niechętnie i przyjęła obojętnie. Z przyczyny długich i ciemnych w treści monologów, *Ksiądz Marek* jest mdły. Ten sam *Ksiądz Marek* w Beniowskim daleko serdeczniej i silniej oddany, choć tylko kilku rzutami skreślony.

„*Księżę Niezłomny*”. Jestto wspaniały przekład oryginału hiszpańskiego poety Calderona.

„*Geneza z Ducha*.” Jestto naukowo-przyrodniczo-poetyczny traktat. Obejmuje stworzenie świata w ciągu

dni sześciu. Jestto rzecz głęboko pomyślana, jest dziś przedmiotem studyów i stoi przed społeczeństwem, jako zagadka dotąd nierozstrzygnięta.

Poeta w Genezie wlał ducha we wszystko co świat wypełnia, a po nad tymi żyjącymi duchami unosi się zawsze Stwórca-Bóg. Jakkolwiek założenie to może być przystępne tylko dla ludzi głębokiej nauki i wiary, są przecież niektóre ustępy tak przesiąknięte poezją, że inteligentny czytelnik, choć trochę odczuć może to ubóstwienie natury np.:

„Zamyślony o Tobie, rozweseliłem się, przeglądając twory około mnie będące: często liść trawy, albo ptaszynę, która na płocie świegotała... I z jaką radością o panie widziałem, żeś mi pozowlił, że jeszcze dni kilka pożyję, zatrudniony rozmową z tajemnicami natury...”

Cudownie piękny jest opis oceanu:

„Stary Oceanie! powiedz mi, jako w łonie twojem odbywały się pierwsze tajemnice organizmu? pierwsze rozwinięcie się kwiatów nerwowych, w których duch rozkwitał?... Gąbczaki olbrzymie i roślino-płazy wychodziły z fal srebrnych. Ostrzyga, u głazu ojca swego wzięwszy ciała obronę, przylgnęła do skał, zdziwiona życiem, kamienną tarczą nakryta. O! Boże! oto w Polipie, oto w Atramętniku widzę zjawienie się mózgu i słuchu...”

Nieobojętny więc o Panie jest mi kolor każdy i kształt listka, albowiem odkrywa mi ducha naturę i pracę niegdyś w roślinie odbytą opowiada... Każdy rąbek listka wiem co znaczy... O jak cudownie o Boże mój, w tych pierwszych usiłowaniach, duchy roślinne tworzyły formy... Oto Stokroć jednym się kwiatkiem wydaje, w rzeczy zaś samej jest Narodem kwiatków, osadzonych w jednym kielichu...

Hosanna Tobie, o Panie, albowiem Tyś jest Stwórcy-  
ciel!

Tam o Panie, ślimak, pierwszy morza mieszka-  
niec ostrożny i pewny, pod swoją tarczą kamienną dłu-  
giego żywota, ofiarę ci nareszcie z perłowego domu  
swojego uczynił, przepracował go na rogową żółwia  
skorupę, a następnie jeszcze coś z bezpieczeństwa  
swego ustąpił ci panie, a skrzydła sobie podstępnie pod  
rogową tarczą wypracowawszy, żukiem wyleciał w mo-  
tylowe ducha krainy... Przez całą tę bolesną drogę  
przemian i pracy z morza podobieństwo kształtów  
przeniósł aż w niebieską lotów krainę...

...Owdzie zaś przeciwko palącym słońca promie-  
niom zwierciadła sobie porobiły cytryn dryady i złotemi  
strzałami obsypane, odstrzelają się słońcu gład-  
kim i błyszczącym liścia lakierem. Widziałem pod płoty  
wiejskimi ów groch, który z ziarna wyłazi i idzie  
z ostrożnością po tykach opiekuńczych. Patrz Panie,  
jak ta roślina wątła i krucha z zapomnieniem o własnej  
trwałości rzuca na powietrze rozpaczne ramiona,  
a kwiatek jej już oto chce ulecieć z łodygi, już skrzy-  
dlaty prosi ciebie o Panie o lot motyla!..."

W nieskończenie poetyczny sposób określa wra-  
żenia woni kwiatów, wzbijanie się uskrzydłych żuków  
w sfery błękitne, przechodzi do zwierząt, pszczół, mró-  
wek, aż w końcu natura głosem wielkim woła do Du-  
cha Stwórcy o formę człowieka!...

Kończy poeta ten przegląd natury wspaniałem roz-  
myśleniem:

„Aby z Chrystusa i ze Słowa Twego wyprowadzon  
był świat cały... Aby Mądrość jasna, miłością Bożą  
w duchach tworzona, rozwidnieniem dla każdej nauki  
stała: Albowiem na tych słowach, iż *wszystko przez*

*Ducha i dla Ducha stworzone jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza święta Narodu mojego... i lud twój wybrany a drogą bolesną teraz idący do królestwa Bożego zaprowadziła."*

„*Król-Duch*”. Jestto ostatni, niedokończony utwór poety, którym na krótko przed samym zgonem dopiero przestał się Juliusz zajmować. Myśl przewodnia do tego utworu o potężnym zakroju była, że Duch Anioł, przechodzi, począwszy od czasów bajecznych, w ducha królów polskich. Myśl tę, spowitą ciemnym założeniem, przeprowadził autor przez 5 *rapsodów*, o nierównej ilości strof. Miał zamiar opowiedzieć dzieje swej Ojczyzny w ten sposób, że ten Duch-Anioł odtwarza się ciągle w naczelnych postaciach, rządzących narodem. Założenie bardzo trudne do pojęcia i do wyjaśnienia. Krasieński, przeczytawszy Rapsod 1, bo tylko ten był za życia poety drukowany, powiedział: „Albo ja waryat, że tego nie rozumiem, albo waryat ten, co to pisał.”

Dziś jednak Król-Duch żywe budzi zajęcie i liczne do niego wychodzą objaśnienia.

*4 tomy dzieł pośmiertnych.* Z pomiędzy mnóstwa największych piękności zebranych w urywkach w tych tomach, przytoczyć należy wiersz do Matki.

**„Do Matki.”**

*Zadrzy ci nieraz serce, miła matko moja,  
Widząc powracających i ulaskawionych;  
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,  
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.*

*Wiem, że wróceniem mojem latbym ci przysporzył...  
Wszakże, gdy się spytają, czy Twój syn powraca?  
Mów — Syn mój na sztandarach, jak pies się położył  
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...*

*Oczy zwraca ku Tobie!... Więcej nic nie może —  
Tylko spojrzeniem Tobie smutek swój tłumaczy;  
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrozę,  
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!*

*Przebacźże mu, o moja, Ty piastunko droga,  
Że cię tak zaprzepaścił i tak zaczął uścił;  
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga  
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił!....*



## Zbiór wyjątków najcenniejszych pism poety.

### Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.

Słyszac, że głos jej nożami przenikał,  
Gdy swe bolesne męki powiadała,  
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał,  
Ani rozdrażniał zranionego ciała,  
Ani świadectwo wydawał o ranach;  
Ale był wierny — jak syn na kolanach,  
Który dwojakie ma kadzidło w darze:  
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże...  
Szedłem, ażeby dla mojego czoła  
Wziął uświęcenia od ręki anioła;  
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona  
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,  
Wyrzucająca takie strachu strzały  
Z palców ognistych — że brak na to słowa,  
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa  
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze  
U suchych, obcych ludzi na gościnie,  
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię

Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,  
Kędy zarządza dziatczek hałasem,  
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.  
Wszakże pomimo tak wielką prostotę  
I dziwne z matką moją podobieństwo,  
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,  
Jakieś męczeństwo wielkie, Boże, złote,  
Które mię z góry uderzyło w ciemie,  
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...  
A wtenczas ona: „Cóż ziomku kochany?  
Przyszedłeś mocno jak widzę wzruszony;  
Siądź. — Powiem tobie, że zamknięte rany  
Lepiej przystoją Polce, niż korony.  
Ty młody jeszcze, nie topionysz w Niemnie,  
A już ty bladszy, mój synu, odemnie.  
Widząc was wszystkich takich w tej stolicy,  
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,  
Widzę ja prawie, że i wy biedaczki  
Widzę was jasno — i wy męczennicy.”  
Westchnęła — a ja: „Matko, powiedz, proszę,  
Czyś ty do Boskich nie zaniosta tronów  
Skargi na tyle polskich milionów?  
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —  
Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,  
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,

O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,  
Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać!  
Gdyby błysnęły wszystkie ognie z lica,  
Świat można spalić! A ty męczennica,  
Polka! w żołdackim utopiona brudzie?  
Nie! — Car nie winien — to winni ci ludzie!!”



A ona: „Nie skarż, o nie skarż nikogo!  
Nie skarż — bo oni biedacy nie mogą...  
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem  
Czekają tylko na pierwszą dogodność...”  
Tu mnie spytała: „Jakim zwać nazwiskiem?”  
Nie dosłyszałem — a ona: „Jak godność?”  
Zarumieniłem się cały i rzekłem:  
„Godności nie mam — przed męką uciekłem...”

I nastąpiło ponure milczenie,  
Ona z milczącą, a ja z twarzą ciemną...  
Czułem, że cierpi zemną i nademną,  
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

## II.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . . Tak mię pocieszywszy nieco,  
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,  
I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,  
Do której myśli jak żórawie lecą,  
Mówiła dalej: „Raz nam do klasztoru  
Wieść przyszła, że nasz Biskup zmienił wiarę...  
Nie wierzyłyśmy. — Lecz w godziny szare,  
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,  
Strach jakiś przewiał nieznanym kościołem  
I powiał na nas niewidzialną siłą;  
Każda myślała: „a gdyby tak było!...  
I przerażone padałyśmy czołem,  
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,  
Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem zostawszy ja sama w kościele  
Rzekłam: z Biskupa duszą się rozprawię,  
Myślą go sobie przed oczy postawię,  
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?  
Stanął mi — a ja sądziłam oczyma,  
Która kość w nim drży — a która się trzyma.  
Strach mię za serce przenikliwy ścisnął,  
Bo stał wyraźnie — i oczyma błysnął,  
A oczy były od zwyczajnych różne,  
Jak szkła wypukłe, świecące i próżne,  
Wtenczas w przestachu mój duch osamotniał:  
Rzucam się znowu — krzyżem martwa leżę;  
A takie poty szły aż przez odzieżę,  
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.  
Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny  
Biskup w orderze krzyża czerwonego,  
A ja raz tylko spozrzałam na niego...  
A trunek było czuć i woń stęchliny)  
Raz tylko w oczy spozrzałam okropne,  
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.  
A choć przychodził do rzeczy zdaleka,  
Ja już wiedziałam wszystko, co mię czeka.

Po tylu latach, męki i konania  
Dziś nie powtórzą pierwszej z nim rozmowy.  
To tylko powiem, że do przekonania  
Trafiał i groźbą i słodkimi słowy;  
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,  
Próbował i słów magnetycznych ze mną —  
Była tam jakaś gregoryańska mitra...  
Słowa — mówione z trwogą potajemną  
Jak węże skórą szeleściły suchą,  
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.

On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —  
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!  
Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą.  
On jeden i szatany wiedzą,  
Jakie to słowa? skryte, ślepe krety —  
Jakie to słowa? Mówię ci, sztylety —  
Nie słowa ludzkie!...

Pan Bóg mię obronił.  
A on też inny ton wziął ze mną zaraz.  
Będiesz, powiada, tu miała ambaras.  
To rzekł, i nisko kołpaka pokłonił,  
I wyszedł...

Ja też wnet zebrałam mniszki  
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem,  
Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,  
To umrzeć — a te Biskupy opryszki  
Mocować, póki nam żywota stanie;  
A nawet westchnąć i modlić się za nie,  
Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć mój drogi,  
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,  
Jakie to były u mniszeczek trwogi.  
Jedne radziły do Rzymu napisać...  
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,  
Beczki postawić radzą pod ołtarze;  
Straszne rycerki — chcą odprawiać straże  
Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...  
Wszystkie jak szpaczki, zbiegają się, radzą,  
Wszystkie najlepsze pokazują chęci;  
Lecz gdy mi z poczty papiery oddadzą,

A ja się tykam rządowych pieczęci:  
To stoją blade — drżące — z dreszczem ciała,  
Strwożone laku samego zapachem,  
I mnie na palce patrzą z takim strachem  
Jak gdybym święty sakrament łamała.  
Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:  
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...  
Gdzie? co? — Nic więcej. Uczułyśmy trwogę.  
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny...  
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,  
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?  
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?  
W Sybir? — Któżby się nas tam upominał!  
Może, myślałam, posadzą do turmy  
I tam oskarżą o jaki kryminał?  
Dotąd mnie jeszcze strach okropny bierze,  
Gdy myślę — jaka to szatańska była  
Ta ciemność wielka w rządowym papierze,  
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potem z nami nastąpiło,  
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,  
Nie takim strachem nam na duszę padło,  
Jako to pierwsze zagrożenie widziało.  
Pomyśl, którażby nie zmieniła cery,  
Spojrzawszy w trupie te białe papiery?  
Papiery pełne i groźby i siły,  
A tak milczące, głuche, jak mogiły.  
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,  
W nas był... i szeptał strachami wygnania;  
Męka to była nie do opisan!a!  
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie...

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potem  
Było przynajmniej już jasne, widome.  
Cierpieć? My cierpieć byliśmy łakome...  
Z głodu umierać? — a cóż, gdy pod płotem  
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?  
Czasami żołnierz zgłodzony kaleka,  
A psi go tylko sami głodni strzegą...  
Umierać?... cóż my jak żebrak lepszego?  
Męka, gdy ciało już kąsać zaczyna,  
To nic, duch wtenczas nabiera odwagi  
I samby prawie poszedł na miecz nagi;  
Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,  
Gdzie wsparcia znikąd, a ciemny strach wszędzie...  
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie!“

Zadrzałem: tak się ta święta podniosła,  
I z takim gestem zapalona cała  
Polskim duchowym językiem śpiewała  
I w słowach niby rozognionych rosla!  
Lecz się spostrzegła poważna matrona,  
Że duch zebrany być musi do łona,  
A nie ulegać zapału pokusie —  
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wzięwszy z siebie takich tonów,  
Którymi zawsze człowiek rządzić może,  
Rzekła: Chcesz słyszeć o moim klasztorze;  
Powiem ci krótko kilka naszych zgonów,  
Kilka mąk... Już wiesz zapewne od braci,  
Że byłam sama Przełożoną, Księżną;  
Widzisz czem jestem — sądz z mojej postaci:  
Nigdy mię ludzie podli nie odmieniają,  
Ani też choćby złotem mnie przykryto!

Zwyczajną jestem, jak widzisz kobieta,  
I taką byłam; — to jednakże powiem,  
Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,  
Bom się rodziła w rodzinie zamożnej,  
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem  
I wytrwałością. . . . .

Przyszedł dzień ofiary:

Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyście.  
Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;  
Ja nawet jeszcze nie nabrałem wiary,  
Trzęsłam się cała, zbiedzona, zalękała,  
Strudzona, głową znękana, zawrotem,  
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;  
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła  
I kropliskami ciężko w pulsie sieje —  
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.  
Słucham — a czuję, że już coraz bliadnę:  
Strach! — a cóż poczną biedne siostry moje,  
Jeżeli trwogą zabita upadnę?...  
Nie! przed Biskupem żywą już dostoję.  
Ale Bóg dobry — o! tak Pan Bóg dobry!...  
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;  
Ha pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,  
A z Mieczysławskiej głąz w Dawida procy.  
Niech czart próbuje. — Cóż? — choćby i bito.  
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobietą!  
I znów uczułam, że ten poryw ducha  
Przydał Siemaszce odwagi i siły: —  
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;  
Ducha do ciała, jak nogi stonoga  
Zebrałam w sobie: jak na dno mogiły,  
Zalękała poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury  
Które złotemi jad oczami leją:  
Spojrzał; — my stały spokojne, jak mury,  
A on, choć z małą, jak sądzę, nadzieją,  
Zapytał: A cóż? — siostry moje drogie,  
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę? —  
My nic. — On westchnął — i znów oczy szare  
Obrócił na nas, ale już złowrogie.  
Siostry mi potem mówiły, że w miarę  
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,  
One już radość jakąś czuły, wiarę,  
Różane moje, biedne siostry, święte...  
Z umizgiem napół błagań i wyrzutów  
Znowu zapytał jeszcze słodszy głosem:  
Któraż z was łaską pogardzi i losem,  
A weźmie?... tu nam rzucił pękiem knutów!...  
My nic.

Oddechu wciągnął w schryplę płuca,  
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;  
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,  
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!  
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu.  
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczył, że przed nami pada  
I my się czuły mocniejsze od niego.  
Widzę go teraz: — skry mu z oczu biega;  
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,  
Który na psy się szczekające gniewa  
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.  
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!  
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —  
Wywierał na nas wszystko i wymiatał —

Zębami szczękał, kośćmi klekotał —  
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał  
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął  
Rozkaz Moskałom stojącym na dworze,  
A echo od drzwi poszło po klasztorze,  
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,  
Oczami mówiąc, że to wąż — Lewiatan,  
Żeśmy szatana zegzorcyzimowały,  
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan,  
A wtenczas tylko już nam bez oporu  
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi  
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze  
I duchem swoim jak matka odrodzi,  
A potem, jako swe jagnięta strzeże;  
Nie wiesz, jak w domu takim pachną ściany,  
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy.  
Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,  
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,  
A na ostatku tknięta paraliżem  
Staruszka — dobra, prosta; ta zdziwione  
Oczy na wszystkie strony obracała,  
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,  
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,  
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu...  
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:  
— Na miłość Boga! twarzami do mura,  
Ażeby tego nie zabić praszczura  
Naszemi łzami i naszym widokiem!  
Siostry też były dobre i rozumne;



Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpił po kweście  
I zostawimy ją u ludzi w mieście,  
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;  
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —  
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,  
Rzekną, że po nią powrócimy — a ona  
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.

. . . . .  
. . . . . Ja też tak myślałam; —  
A jednak nagle patrzę na tę starą:  
Ona coś szepcze i żrenicą szarą  
Pyta mnie srogo. — Nie odpowiedziałam —  
Spuściłam oczy. Klękłyśmy; ostrożna  
Kazałam cicho śpiewać Ave stelle;  
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —  
Płacz tak szarpiący, jak piekło. W kościele  
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,  
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!  
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyję,  
Zgięła, nóg wydobyla z siebie, wzniosła kije,  
I wywijając tymi kijami nad czołem,  
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,  
Chciała bronić. Pobiegłam — zćmiło mi się w oczach—  
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach,  
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,  
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca.  
Chcąc te paralityczne pohamować złości,  
Chwyciłam za kolana: — nogi jej — dwie kości;  
Spojrzałam w górę: trup był z papieru wybladły —  
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —  
Już jej nie było — życia ani w jednym włosku —  
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku

I głową się na głowie mojej biednej wsparła;  
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!  
Oddałam Bogu...”

— Rzekłem: „O matrono,  
Która tak straszne opowiadasz zgony,  
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!  
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?  
Odstoń przedemną chociaż do połowy,  
Tajemnic twoich — niechaj je zobacze!  
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy,  
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?”

A ona: — „We mnie sama matka płacze;  
Nic ja nie jestem, O! nic ja nie jestem —  
Ale posłuchaj, co się dalej działo.  
Wyszliśmy z wielką i spokojną chwałą,  
Z tym trupem matki jakby z manifestem,  
Strach rozsiewając podobny do mrozów  
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.  
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,  
Że spodziewałam się jakich powozów;  
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą  
Nie pójde z siostry we zbójecką jamę;  
Pierwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,  
Postrzegłam, że nas będą pędzić — pieszo.

Słuchaj! — ty nie wiesz, co w niewieścich duszach  
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;  
Nie wiesz, jak drgają wszystkie żyłki ciała,  
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.  
Słuchaj — gdym pierwszy raz ja w kark dostała,  
To zabręczały zęby tak szkaradnie,  
To piekłem zemsty zawrzałam — kobieta.

Ja, Polka — pierwszy raz na rynku bita!...  
To, mój kochanku, mówię tylko tobie,  
Abyś nie myślał, że ja cała święta;  
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta,  
Nawet myślałam o zemsty sposobie.  
Potem dopiero tak podniosłam duszę,  
Że smakowały mi prawie katusze;  
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą  
Przed kułakami, tak jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wonczas lato,  
I jakie piękne były łąki nasze!  
Pomnę — na promie pomimo pałasze,  
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,  
Uczułam wielką i piękną pogodę,  
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;  
I przypomniawszy sobie czasy w domu  
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu  
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy,  
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,  
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,  
Krzyknął na dońca: ...Dzierży! w wodę skoczy!  
A doniec się też dotknął mego włosa,  
A Biskup patrzył — kat w podłej postawie! —  
Rzekłam do księdza już z litością prawie:  
W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosy?...

To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.  
A ja: — „O matko! jak mi twoja miła  
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;  
O! jakie myśli z niej słodkie się rodzą!  
Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła!  
Więc gdyby jaka ci niebieska władza

Rzekła: O, matko — patrz, obłoki schodzą,  
Wstępuj do światła po za ziemskie ciemnie...”  
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,  
Usta uśmiechem rozśladając rzekła:  
„Widzisz — do nieba jeszcze nie uciekła,  
A Witebsk blisko był tej strasznej bramy,  
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...  
Tam nas Moskiewki, okropne czernice,  
Wtrąciły wszystkie do wilgotnej jamy,  
A klasztor cały był ciemny, pijacki,  
Głuchy... i ciężki — wszędy smród żołdacki  
Łoju i skóry i prostej gorzałki,  
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;  
A często kobiet bitych słysząc szlochy  
I świst wężowy smagającej pałki,  
I pocałunków na katowskiej ręce  
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydłec.  
O! czarne, ruskie klasztory — straszliwe!  
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz — że pomyśl, co my w takim brudzie  
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!  
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie!  
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!  
Lecz to dziwniejsza, że takie są siedzie  
W sercu tu ludzkim, ludzkich męczycieli!  
Wiesz, jak dawali nam bez wody śledzie;  
Wiesz, jak pokarmu zwykłego ujęli,  
Jak obrócono ręce do mularki,  
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę...  
To wszystko były męki bardzo proste,  
Lekkie... Po ciele szły czasami ciarki,  
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,

Lecz duch nie cierpiał — owszem rosły duchy  
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.  
I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie  
Wyszliśmy nagle na słońce odkryte,  
Tośmy krzyknęły: twarze były zmyte,  
Jakby w słonecznej i różanej wodzie;  
Lubośmy żyły w lochu prawie gлина,  
Rozpoił nas duch Boży — tak jak wino.

Wtenczas nie wiedział już Biskup, co pocznie,  
A chciał koniecznie przełamać kobiety;  
W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,  
A w serca patrzył: — zmiany chciał niezwłocznie.  
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która  
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania...  
Żadna! — dwie biedne spadły z rusztowania,  
A jedną kamień urwany ze sznura  
Z oczu nam prawie, jak widmo promienne,  
Zdjął... lecąc jako młyn okropny z góry;  
I tylko krwawe purpurowe sznury,  
Plamiące długo białości wapienne,  
Aż od samego, samego poddasza,  
Aż do samego dołu ciekąc strugą,  
Przypominały nam długo i długo,  
Że tak zabita jedna siostra nasza!  
A jednak mimo to, że tak szkaradna  
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe:  
Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;  
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna!

Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny,  
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,  
Już jakieś ruskie powiedziały panie,

Że to nie klasztor, ale dom katorżny)  
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare  
Byłby, dał krzyże już i gwiazdne znaki,  
Byleby tylko chwycić pozór jaki,  
Żeśmy ugięły przed nim naszą wiarę,  
Więc raz znienacka do cerkwi nas wiodą  
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;  
Zarazem czoło Biskupa bezbożne  
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą...  
O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,  
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;  
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny  
Mniszkom znak dałam, w tak jasnych wyrazach,  
Że żaden Biskup, choćby jak duchowny,  
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach  
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,  
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę:  
Teraz jak gąski stanęły na drodze,  
Ja byłam woli całej monarchinią,  
Pasterką owiec, a w chwili szkaradnej,  
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,  
Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnej,  
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę  
Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,  
Ku Biskupowi poszłam: — Weź, Herodzie,  
Weź popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery.  
A do mniszerek: — Kładźcie się na kłodzie!...  
Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię  
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...  
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy  
Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemie  
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy  
Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.

Porwał żelazo — rękę wznosił — skamienił —  
I tak zacisnął, że zlodowaciała  
Zielona jak trup — a sam się zapienił  
I tym toporem mi tu, koło kłęba,  
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,  
A potem w twarz mi dał i wybił zęba.  
Ja tylko na to, nie zmieniawszy cery,  
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,  
Ząb mu podałam wybity i rzekłam  
Zawieś to między twe wszystkie ordery!

Ty może myślisz, że to duma świecka,  
Mnie nieprzystojna? — Na to niema zgody.  
Pomyśl: ja Polka! ja córka szlachecka!  
We mnie gadały dawne moje rody,  
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;  
Ciało z nich było — a i od nich siła,  
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;  
Gdybym upadła, byłyby upadły.  
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!  
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.  
Co?“ —

Drzałem cały — i z dalszego wątko  
Powieści ledwo mogłem pomięszany  
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,  
Które poniosły w brudzie niewiniątka...  
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny  
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki  
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny  
Jako sztandary i skrwawione ptaki;  
A dół nietknięty nawet już pamięcią,  
Kędy świeciły jak gwiazdy różane,

Te głowy, z których twarze pozrywane,  
Wybite pięści biskupiej pieczęcią,  
Butem żołnierskim przypieczętowane.

Co mówię? — głowy te — listy otwarte —  
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;  
Oczy gdzieś w błocie świecące i słomie  
Ze krwi wystają niby niezabudki;  
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki  
Tarzały sobą jęczące po domie;  
Na widowisko tak strasznie zwierzęce,  
Wejrz Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,  
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami  
Sennych, to słowo okropne: Dziedzioly!  
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,  
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,  
Z jedyną cerkwią ruską jak z upiorem  
Z troistą wieżą ciągle owronioną  
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...  
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,  
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:  
Niech czują w duchu te wieczne nudności,  
Które ma człowiek niespokojny w sobie!  
— „W Dziedziolach — rzekła Pańska męczennica —  
Już nie byliśmy z sobą wszystkie razem;  
Wiele nas padło pod biczem i płazem,  
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,  
A upiorami wszystkie tak strasznymi  
Były i kości tak miały popsute  
Że Biskup nawet już sam za pokutę  
Nie byłby żadnej pokazał na ziemi.



Te zostawiono w Witebsku, a drugie  
Dziesięć w Płocku — A z tego już miasta  
Ja szłam z dwunastu siostrami — trzynasta —  
Pod jesień. Wicher, śniegi, nocy długie;  
I stanęłyśmy w Dziedziolach, w klasztorze  
Znowu w czernie, lecz obmurowane;  
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —  
Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze

Stał, lecz w dziczyźnie takiej zbudowany,  
Przy takiej wiosce i na takim polu,  
Ze strach był może mocniejszy od bólu...  
Noc w noc rozboje, żydy, markietany;  
Czasem na jutrznią dzwonią — ciemno w szybach,  
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy  
Jak woz z szynami, gdy idzie po skibach;  
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,  
I nim umilkną rozżalone dzwony,  
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru  
W poranek szary, pomnę, ramię drzewo,  
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,  
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.  
Słucham i patrzę — otwierają bramę —  
Patrzę, kto wejdzie: — O Polski mój Chryste!  
Mniszeczki wchodzą, jak my takie same,  
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,  
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,  
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,  
A twarze takie chude — takie chude,  
A oczy — jakby na opłatkach świeczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów,  
Wypędzono drugą bramą pięć straszyleł;  
W łachmanach. — Było to pięciu Unitów,  
Biedniejszych od nas. Jeszcze jakaś święta  
Jasność kosteczek naszych się trzymała;  
Ale ci ludzie... skóra im zczerwieniała,  
A twarze mieli takie, jak zwierzęta,  
Już jakby pańskiej męczarni niegodne  
I przemienione przez bezczestne męki;  
Nos wkleśł, a naprzód im wybiegły szczęki,  
Jak gdyby kęsać chciały, jakby głodne.  
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,  
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzyynie,  
Żem pomyślała, jako po łacinie  
Mój ojciec w czaszce ludzkiej czytał: homo..."

Tu pokazała mi na nos i wzroki  
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;  
A ja postrzegłem w oczach dół głęboki,  
W złomach jej twarzy wyraz jakiś ptasi: —  
Wstrząsłem się cały — zadziwienia krzykiem  
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— „Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa  
I różne męki przezeń wymyślone  
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione...”  
— „Matko! krzyknąłem, — jako czarownicy?”  
A ona: — „Dziw się katów wymyślówi!  
Był staw, jezioro, puste okolice,  
Jakby przystojne męczeństwa duchowi,  
Nad brzegiem jego wierzby, jak upiory;  
Tam nas, bywało, zaszywają w wory,  
I tak zaszyte obwiązują lina,

A potem diaczki w łodziach wprzód posłani  
Płyną i płyną, daleko, daleko,  
I na tych linach wleką nas i wleką,  
A popy krzyczą: pastoj! albo: tiahni!  
Słyszę — dziś jeszcze — tę straszną komendę,  
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;  
Lud się bywało, ponad brzegi zbiega,  
A my, jaskółki pobrane na wędę,  
W tej czarnej wodzie po pas, to po brodę...  
Cóż robić? — boską całujemy wodę  
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,  
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.  
Otóż tam — słuchaj — już mi się na oku  
Anieli Pańscy jęli pokazywać —  
A nie myśl, żeby widma jakie złote,  
Albo zjawienia lub gwiazdy i róże;  
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,  
Przysłani na tę okropną robotę,  
Jacyś anieli, mówię, w ludzkich ciałach,  
Co przez litosne patrzali się oczy.  
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy  
Szlachcic — ubrany w szarych samodziałach,  
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,  
Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,  
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,  
A z ramion, kiedy chce: rozwija tęczę...  
Stał zawsze cichy i patrzył na popy,  
Na nas — a wszystko poważnie uważał,  
A mnie cichością swoją tak przerażał,  
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.

Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,  
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,  
Drogę mi niby pokazuje w lesie,  
Oczyrna mówi: żyj, bo ja powrócę!  
O, ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —  
A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz się już zbiegli z miasta nawet żydzi,  
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,  
Bo się rozniosło, że my bardzo głodne,  
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,  
W glinianych mułach i w traw wężowisku  
Grzęznąć — zielone, jak grynszpany — chłodne.  
A krzyki „Pastoj“ na tych, co na łodzi —  
A krzyki na nas: „Która z was przechodzi?“  
I znowu krzyki na łódkarzy: „tiahni“  
A sznur się prężył i naszemi głowy  
Pluskał po wodzie... Do swego Jchowy  
Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem żydzi,  
Mysząc: usłyszysz, jeżeli nie widzi!  
Dobre żydziska, dobre żydowice  
Lamentowały: Aj wej! bijąc w łono,  
Nu! one głodne — pomarzną — potoną...  
Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?  
Czemu nie biją?... Słuchaj, gdy, bywało,  
Te żydy lament okropny zawiodą,  
To serce moje, o tak aż skakało!  
O tak! skakało me serce pod wodą;  
Bo ci powiadam, że są jakieś czary  
Dziwne w modlitwach nawet obcej wiary;  
Chwyta cię obca, jak matczyzna ręka,  
Łzy w oczach stają — i coś w sercu pęka.  
Biedne żydziska —

Raz taki był lament

I taka niby muzyka wspaniała;  
Ja z wody, zda się, że święty Sakrament  
Widzę na niebie, takem rozjaśniała —  
Wtem woda plusła nagle i zalała  
Jedną mniszeczkę... Powiadam ci, smoki  
Te sznury czarta — były wód zwierciadło,  
I jedno moje dziecko, o dwa kroki,  
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!  
Krzyknęłam — i mróz przeszedł mi przez kości;  
W takiej to wszystko stało się cichości;  
Nikt nie obaczył — a choćby widziano,  
Niktby nie skoczył z ratunkiem pod wodą;  
Żywot tam ludzki tyle szacowano,  
Że my już nawet nie byliśmy trzodą;  
Czy które pomrą, czy które utoną,  
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie po tym zgonie,  
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;  
W około czarne, ołowiane tonie,  
Tam gdzieś pisk popów—a tam gdzieś wrzask żydów;  
A tu podemną trup — nie wyszła dusza!  
Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,  
Może swe oczki we krwi jasnej kąpie;  
A mnie tu ciągną dalej za obrozę,  
Co krok to może na biedną nastąpię,  
Może nastąpię — oczy tylko mrużę,  
A ona gdzieś mię, ach! za nogi trąca,  
Zimna — jak z wosku biała — i świecąca...  
O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,  
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą: „tiahni!”  
Już tylko nasze na wodzie kaptury

Jak stado kaczek — już noc na otchłani,  
Już jakieś dziwne, czerwone chmurzyska.  
Nadchodzą na tę mękę tak okrutną...  
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,  
Że ot już chciałam pożreć te sznurzyska  
Tam, i na poły niemi zadławiona  
Buchnąć w tę wodę — przepaść, jak zginiona...  
W oczach już moich niebo nie świeciło;  
Żadnego blasku — łez żadnych nie było;  
Już ogłupiałam — myślę tylko o tem,  
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,  
Bo taka głodna byłam, tak pożałał  
Mój głód, chociażby maleńkiej okruchy,  
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;  
Tak się łamały we wnętrzościach duchy,  
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,  
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłazą...  
Wtenczas już widok okolicy dzikiej,  
Naszej męczarni — błotnisk — pławy — popów —  
Poruszył nawet i żydów i chłopów;  
Powstały głośnie przekleństwa i krzyki.  
I raz żydówka jakaś na brzeg bieży,  
Obwarzankami złotymi świecąca,  
Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy  
I karabiny w koziołkach roztrąca,  
Deszcz poszedł srebrny, pył jak z kopca śniegu  
Z tych karabinów rozbitych, a ona  
Już — już nad nami, już na samym brzegu,  
Obwarzankami złota i czerwona,  
Podniosła ręce, — i tak jak żniwiarka  
Tych obwarzanków nakryła mię snopem...  
Ja wtenczas jako Noe nad potopem,  
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,

Podjęta szczerą tej kobiety troską  
I zachwycona jej myślą matczyną,  
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską,  
Jakby nad całą już polską krainą!  
I z wód podniosłam ku niej moje dłonie,  
Krzycząc: O Polskę moją całą ratuj, złota!  
I do niej wzniosłam dłonie, jak sierota,  
W tych obwarzankach, jak w złotej koronie.  
Odtąd nie śmieli już więcej biskupy  
Otwarcie czynić z nami takiej hecy,  
Otwarcie czynić z nami takiej hecy,  
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,  
Dręczyli żywe i chowali trupy —  
Ku mnie zaś siła przystąpiła Boża  
I odpędzała odemnie te katy;  
Możem ześwięta tą koroną zboża;  
Może przez moje bolesne stygmaty —  
Nie wiem: lecz pop już uciekał przedemną,  
A uciekając sztyletował wzrokiem...  
Bywało kiedy w korytarzach ciemno,  
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem,  
A chody popów, jak wężów szelesty —  
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,  
I tam już, same, w głodzie zostawiono.  
Dwa garnce grochu, bywało, ja dziele,  
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.  
A mój braciszku, nie tłusto i słono  
Jadłyśmy!... ale było nam do twarzy,  
Bośmy utyły na suchej grochówce  
I były silne, jak aniołów hufce...  
I zaraz wszczęły się jakieś narady,

Co czynić — czego próbować?...

. . . . .  
Na tem stańto: że my trzy najzdrowsze  
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata;  
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,  
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,  
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,  
Pozapalane — w ogniach, niecierpliwe...  
Ciągłe, bywało, kręcim z koszul sznury,  
Ciągłe gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?  
Wtem raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury  
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,  
A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.  
Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —  
Choć grozą jasny, lecz jak papier błady.  
Przy nim popiska, krwią po rękach ciekną  
Kije czerwone — znać że kogoś bili —  
Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczekną —  
Chodzą, jak gdyby głowę potracili.  
Zbliżam się cicho — aż widzę Unitów  
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.  
Nadzy — już leżą, jak trupy na lodzie,  
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!  
Patrzę — co? a im woda na łby ciecze  
I marznie — że tak poranione głowy,  
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,  
Skrzą się — a brody twardecją, jak miecze.  
A nie słyszałam jęku, ani krzyków,  
Tylko te ruchy straszne spazmatyków.  
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,  
Że stali jako wielkie trupy — złote



I poplamione sińcami i krwawe —  
Niby przysłani na ciemne podwórze  
Jacy okropni Aniołowie Stróże.  
Daruj — lecz widząc te święte osoby,  
Rzekłam: czy to wy, o biedacy głodni,  
Coście w tak skrzące powchodzili groby,  
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?  
Mówcie: ja wasze poniosę żaloby  
Na świat — jasności, złotych trumien godni!  
Bóg też wspominał na pokorną cnotę  
I oto wam dał także trumny złote.  
Tak ich żegnałam — a postanowiłam  
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,  
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,  
Aby świat wiedział, zkąd idę, gdzie byłam,  
Jaka swawola w popach wyuzdana  
I jak katuja wierne sługi Pana. —  
Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,  
Że cała ciżba popów, czernic pjana  
Padła, snem ciężkim zjęta, jak ołowiem,  
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,  
Że jedna z czernic dobre serce miała,  
Często ukradkiem do się zawołała,  
A dała grochu, soli albo kłósów.  
Patrzaj — mam jeszcze od niej krzyżyk włosów.  
Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,  
Że nam obmierzło już w niewoli życie,  
Że już ot... wolność nam w naradach wschodzi,  
A nie wydała — niech jej Bóg nagrodzi!

Otóż, wylazłszy po drzewach na mury,  
Prędkie skoczyłyśmy aż na dół z góry.  
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,

Bośmy z trzeciego aż piętra upadły.  
I zaraz, jako ptaki przestraszone,  
Śnieg otrzepawszy z odzieży jak pierze,  
Każdaśmy poszły szybko w inną stronę,  
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.  
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,  
Czy też duch jaki pędził strachu dłonią:  
Ale sądziłam, że mię wiatry gonią  
I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.  
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.  
Gdzie iść? — nie znałam ni drogi, ni strony,  
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,  
Dziwiąc się biedna, że ptaszków piosenka  
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita;  
Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobieta  
A taka smężna. . . . .

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,  
Gdzie nakarmiła mię dobra niewiasta;  
I zobaczywszy na mnie siwe szaty,  
Spytała: Pewnie na odpust do miasta,  
Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,  
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;  
Co tu rzec? Smutek objął mnie i trwoga.  
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,  
Pocałowała mnie jak matkę w ramię,  
W imię przyjęła Boże... a ja skłamię?  
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,  
Który ćmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,  
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,  
I rzekłam: Idę na odpust do miasta.  
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę;  
Bo ta kobieta rzekła: To nie blisko!

I zaraz do miasta dała mi nazwisko  
I powiedziała jak najbliższą drogę;  
Wszystko dar Boży....

Potem o trzy mile  
W lesie idącą spotykam kobietę.  
Ta się do mnie uśmiechnęła mile,  
Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte  
Serce na dłoni. Z tą ja w rozmowy —  
A ona: Wiesz ty, co słyhać w Dziedziolach?  
W strachu są wielkim podleśne klasztory —  
Popy biegają tu po wszystkich siołach  
I rozsyłają po drogach opryszki  
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.  
To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą  
Rzekłam: A którą czy już ułowiono?  
A ona: Pędząc żołnierze tą stroną,  
Znaleźli przy mnie jedną, lecz nie żywą.  
Mówią, że sama najstarsza, u ścieku  
Jednej rzeczółki leżała śród mostu,  
Ot może tego, matko, jak ty wieku,  
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.  
Właśnie gdy dońce stali przerażeni,  
Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.  
Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,  
Sama klasztoru Ksieni, Mieczysławska!  
I kazał ścierwo rzucić do strumieni.  
Praszczaj! — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —  
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,  
Rzekłam: to Boskie było ostrzeżenie!

To anioł Boży!

A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;  
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,

Lecz go rzucili z nieba aniołowie;  
Że Bóg nim drogę goniącym zagroził.  
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,  
A jeszcze raz Bóg mię tylko spróbował:  
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy  
Krew szła. Gdzie spojrzę lasy — drwa na pował,  
Ale zapalić niema czem ogniska.  
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...  
Wtem patrzę: jakieś przy lesie pastuchy  
I niespędzone owieczki z pastwiska.  
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,  
A u tych owiec rozgrzać moje ciało;  
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało  
I na me nogi zimne jak żelazo  
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,  
Tak, że ja temi niewinnymi duchy  
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy  
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.”

I tu umilkła — w górę tak patrząca,  
Żem ujrzał srebro białego miesiąca  
I tę zalaną radosnemi łzami,  
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.  
O! cudnie polski otwiera nagrobek  
Ten nowy Pańskiej męczennicy żłóbek!

— „To wszystko... Teraz tu, biedaczki moje,  
Oto widzicie, jestem z wami — stoję  
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora,  
Gotowa, mówię, iść napowrót w drogę...  
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,  
Dziś... więcej mówić wam teraz nie mogę!



# Drobne wiersze.

Niewiadomo co

czyli

Romantyczność,

wiersz napisany wspólnie z Odyńcem, a tytuł Romantyczność nadał Adam Mickiewicz.

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Aż pies czarny bieży drogą.

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego:

„Czy ty widzisz psa czarnego?”

Czy to pies?

Czy to bies?

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział,

Czy to pies?

Czy to bies?

Lecz obadwaj tak się złąkli

Że zesli w rów i przyklękli

Czy to pies?

Czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży —  
A pies bieży, a pies bieży.

Czy to pies?

Czy to bies?

Bieży, bieży — już ich mija,  
Podniósł ogon i wywija.

Czy to pies?

Czy to bies?

Wtem o dziwy! w oddaleniu  
Na zakręcie zniknął w cieniu.

Czy to pies?

Czy to bies?

Długo stali i myśleli,  
Lecz się nic nie dowiedzieli,

Czy to pies?

Czy to bies?

---

### Rozmowa z Piramidami.

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny, sarkofagi,  
Aby miecz położyć nagi,  
Naszą zemstę w tym bułacie  
Pogrześć i nabalsamować,  
I na późne czasy schować?

— Wejdz z tym mieczem w nasze bramy,  
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny, grobowniki,  
Aby nasze męczenniki  
W balsamowej złożyć szacie;

- Tak by każdy na dzień chwały  
Wrócił w kraj choć trupem cały?  
— Daj tu ludzi tych bez plamy  
Mamy takie trumny, mamy.

- Piramidy czy wy macie  
Takie trumny i łzawnice,  
By łzy nasze i tęsknice  
Po ojczystych pól utracie  
Zlać tam razem i ostatek  
Czary dolać łzami matek?  
— Wejdz tu, pochyl blade lice,  
Mamy na te łzy łzawice.

- Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny zbawicielki,  
Aby naród cały, wielki,  
Tak na krzyżu, w majestacie  
Wnieść, położyć, uśpić cały  
I przechować — na dzień chwały?  
— Złóż tu naród, nieś balsamy,  
Mamy takie trumny, mamy.

- Piramidy, czy została  
Jeszcze jaka trumna głucha,  
Gdziebym złożył mego ducha?  
Ażby Polska zmartwychwstała?  
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,  
Bo twój naród nieśmiertelny!  
My umarłych tylko znamy  
A dla ducha trumn nie mamy.
-

## Na sprowadzenie prochów Napoleona.

### I.

I wydarto go z ziemi, popiołem;  
I wydarto go wierzbie płaczącej,  
Gdzie sam leżał, ze sławy Aniołem;  
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,  
Ale płaszczem żołnierskim spowity  
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

### II.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,  
Królewiczu, dowódzco korabli? —  
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie?  
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?  
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,  
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

### III.

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,  
Co mu kamień grobowy rozkruszy;  
Ale myślał, że ręka go syna  
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,  
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze.  
I na ojca proci zawoła: — Ojczy!

### IV.

Ale przyszli go z grobu wyciągać,  
Obce twarze zajrzały do lochu;  
I zaczęli prochowi urągać,  
I zaczęli nań wołać: — Wstań prochu!  
Potem wzięli tę trochę zgnilizny  
I spytali — czy chce do ojczyzny? —



V.

Szumcie! szumcie więc morza lazury,  
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma.  
Piramidy! wstępujcie na góry  
I patrzajcie nań wieków oczyma.  
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara,  
To jest flota z popiołami Cezara.

VI.

Z tronów patrzą szatany przestępne,  
Car wygląda blady z poza lodów,  
Orły siedzą na trumnie posępne  
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.  
Orły niegdyś zdobywcze i dumne,  
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,  
Gdy usłyszysz trąby wśród oddechu,  
Bo nie będzie to hasło do wojny,  
Ale hasło pacierzy — lamentu...  
Raz ostatni hetmanisz ty roty  
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII.

Ale nigdy — o nigdy — choć w rękę  
Miałeś berło, świat i szablę naga;  
Nigdy — nigdy nie szedłeś wśród jęku  
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą  
I mocą... i z tak dumnym obliczem,  
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu... niczem.

1. czerwca 1840 r.

---

### **Do Ludwiki Bobrówny.**

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,  
Karmione złotem i tęcząwą czczością,  
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki  
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymusza,  
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,  
Niechaj te oczy łzami się zaproszą —  
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,  
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,  
Niech oczy całe pokażą niebiosą  
Aż do błękitu dusz i jeszcze dalej.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny  
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,  
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,  
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem srodze rozkochany,  
I nawet w rymy to zamknę królewskie:  
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany  
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

---

### **W pamiętniku Zofii Bobrówny.**

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,  
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,  
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,

Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.  
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,  
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone  
Będą ci całe poemata składać.  
Jabym to samo powiedział, co one,  
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;  
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,  
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości  
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.  
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,  
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,  
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.  
Wróc mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13. marca 1844. Paryż.

---

### Do Pastreczki

siedzącej na Druidów kamieniach w Pornic nad  
Oceanem.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,  
Duszczko moja mała,  
Słoneczna i miesięczna,  
Prawie bez krwi i ciała.  
Gdyś wysoko siadała  
Z główką w zorzy pierścieniach,  
Na Druidów kamieniach,

Śród jałowcowych krzaków;  
Ćwieki twoich chodaków  
    Błyskały mi na lice  
    Jako dwa półksiężyce  
Czerwoną zorzą ranną;  
    Ty byłaś mi zarazem  
    Chłopczką i Dyanną,  
Zjawieniem i obrazem,  
    Kochanką i dziecięciem —  
Smutkiem — i niebowzięciem....

Włoski twoje jak zboże  
    Złote i przezroczyście  
Wiatr unosił na morze,  
    A we włoskach ogniste  
Ranunkuły z doliny,  
Jak maki Ukrainy,  
    Zdawały się ogniami,  
    Które tobie do lica  
    Przypięła upiorzyca  
Śpiąca w grobie pod nami....

Za tobą — szafir mórz  
    Dzielił kibić na dwoje;  
    Nad głową — jak zawoje  
Jutrzenki pełne róż,  
I chwasty w dyamentach  
    Około ciebie skrzyły,  
A ty na monumentach —  
    Stróżka — i duch mogiły,  
Z niewinnością na licach,  
Z nóżkami na księżycach...

---

**Do Matki.**

(u r y w e k.)

W ciemnościach postać mi stoi matczyzna  
Niby idąca ku tęczowej bramie —  
Jej odwrócona twarz patrzy przez ramię  
I w oczach widać, że patrzy na syna  
. . . . .

---

**O nieszczęśliwa! o uciemiona!**

O! nieszczęśliwa! o! uciemiona  
Ojczyzno moja, raz jeszcze ku tobie  
Otworzę moje, krzyżowe ramiona,  
Wszakże spokojny, bo wiem, że masz w sobie  
Słońce żywota!

---

**A jednak ja nie wątpię.....**

A jednak ja nie wątpię — bo się pora zbliża,  
Że się to wielkie światło na niebie zapali,  
I Polski Ty, o Boże nie odepniesz z krzyża,  
Aż będziesz wiedział, że się jako trup nie zwali.

Dzięki Ci więc o Boże, — że już byłeś blisko,  
A jeszcze Twojej złotej nie odsłonił twarzy,  
Aleś nas, syny Twoje, dał na pośmiewisko,  
Byśmy rośli jak kłosa pod deszczem potwarzy.

Takiej chwały od czasu, jak na wiatrach stoi  
Glob ziemski — na żadnego nie włożyłeś ducha,  
Że się cichości naszej cała ziemia boi,  
I sądzi się, że wolna, jak dziecko, a słucha.

---

### **Daję wam tę ostatnią koronę...**

Daję wam tę ostatnią koronę pamiątek  
I łez dawnych moich nadziei koronę...  
Dawniej myślałem rzeczy uczynić szalone,  
Wami — założyć nowych narodów początek,  
Lecz mi teraz wystarczy mały ziemi kątek,  
Gdzie w deskowej się zawrę muszli i utonę...

---

### **Vivat Poznańczenie!**

Gotują się na powstanie —  
Pobłogosław Panie Boże,  
Tak jako kaczki za morze  
Wybierają się — na wroga  
Już! już! vivat Poznańczenie!

Potrzeba pierwej, mospanie,  
Obliczyć wielu nas stanie  
I na koniach i bez koni,  
I trzeba zakupić broni  
I haj! vivat Poznańczenie!

Obliczyli... i bez sprzeczek,  
Co jest w Polakach nielada,  
Że kupić broni wypada,  
Broni na takie powstanie  
Aż całych trzydzieści beczek.

Toż to są ludzie, mospanie,  
Prawdziwe światu lamparty,  
Gdy się bić, to nie na żarty,  
To nie muchy bić na ścianie  
Lecz łby! — vivat Poznańczanie!

Toż to ludzie w Borostanie,  
A pełni są ekonomii,  
Bo chociaż chcą autonomii  
To mają też i poznanie  
Że źle jak broni nie stanie.

Toż to jest, mospanie, śliczny  
Do polskiej dawnej natury  
Przylew: myśl filozoficzny,  
Myśl filozoficzny, który  
Radzi — ostrożnie i z góry...

Wprawdzie, jakiś tam półgłówek  
Krzyknął na radzie wojennej,  
Że można broni kamiennej  
Użyć — albo dubeltówek,  
Chciał zdradzić — szelma półgłówek.

Przez warty obłuzowanie  
Śmielszy ów syn sukisynów  
Radził dostać karabinów....  
I zaraz zacząć strzelanie  
I ruch. — Vivat Poznańczanie!

## Z Epigrammatów i Przypowieści.

### XXXI.

O krzyż Cię proszę modlitwą gwałtowną,  
O krzyż i siłę pod rozdarciem ćwieka,  
Całemu światu lampę tak cudowną  
Stać się — gdzież większa jasność dla człowieka?

Panie! Nie jest to, Panie, modlitwa nabożna  
Albo prośba rycerza, który o krew woła,  
Panie! bo złych inaczej pokonać nie można  
Tylko w śmierci godzinie miłości Anioła!

### XXXIII.

Nie to człek duchowny, podług Zenona słów,  
Który swoją myślą tak wysoko strzela,  
Że się nad Madonną dziwi Rafaela,  
Lecz o tym człowieku, że duchowny mów  
Który chory, chromy, po stracone zdrowie  
Pełźnie do obrazu Panny w Częstochowie  
I wraca zdrów.

### XXXV.

Szli krzycząc: Polska! Polska! — w tem jednego razu  
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu,  
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna  
Szli dalej krzycząc: Boże! Ojczyzna! ojczyzna.  
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,  
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?

A drugi szedł i wołał w niebo wznosząc dłonie:  
Panie! daj niech się czuję w ludzi milionie  
Jedno z niemi ukochać, jedno uczuć zdolny



Sam choć mały lecz z prawdy zaprzeczyć im wolny.  
Wtem Bóg nad Mojżeszowym pokazał się krzakiem  
I rzekł: „Chcesz ty jako widzę być dawnym Polakiem.

XLII.

Ziarnem Polski być jeden prosty człowiek może,  
Jak w ziarnku żyta — żyje całe przyszłe zboże.

LXI.

Sto dam za grosz — tym, którzy jałmużnę uczynią  
Mówi Pan; — cóż byłoby, gdyby stał ze skrzynią?  
A to prawdziwy byłby dla lichwiarza Eden,  
[Taki ogromny procent z grosza — sto za jeden!  
A jednak Bóg jest godzien, aby mu wierzone,  
I płaci — lecz schowany za śmierci zasłoną.

LXIV.

Dra się o wolność — Boże nachylaj im grzbietu,  
Bo wolność jest jakoby posiadanie fletu;  
Jeśli go weźmie człowiek muzyki nieświadom  
Piersi straci — i uszy sfałszuje sąsiadom.



## Wyjątki z prozy.

Wykład nauki.

(Helion.)

Wyznam ci, mistrzu, że nic w dzieciństwie moim nadzwyczajnego nie widzę... u dostatnich rodziców urodzony... chciwy cacek, łakotek i cukierków lubilem wy-

stawę — księży processye... rezurekcyje odbywające się przy ogniu wystrzałów... zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym, na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny, drogiemi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicznych ogniach mozdierzy... szło i śpiewało po placu... duch mój niby wylatywał ze mnie, klaskałem w ręce, a oczy moje dziecinne otwierały się szeroko, pełne łez i skier radosnych... Ś. p. ksiądz Sobkiewicz... oprowadzający zwykle te procesye, widząc we mnie zapał do rzeczy religijnych, już przepowiadał, że księdzem zostanę... gdy oto nagle... z książeczką Tassa... weszły we mnie nowe rycerskie zapały i imaginacye... odtąd więc już nie processye, lecz wojny z rówiennikami... jakieś koła hetmańskie... buńczuki... księżyce, szable sadzone turkusami... snuły się po główce dziecinnej... na wiatr włosy i myśli puściwszy... marzyłem o półrozbójniczym rycerskim żywocie... o ścinaniu choraği... o tryumfalnych wjazdach na rumaku tureckim do mego rodzinnego miasteczka... Pomagała mi śnić matka moja, cytując mi często imiona jakichś zamorskich rycerzy samym dźwiękiem dziwiące... jako to imię Wallasa, które zaraz we mnie rycerza walącego lasy wymalowała... Potem ja... a zawsze zmiennym imaginacyom podległy, nabożny z zachwyceniem... wziąłem się do malarstwa samym nazwiskiem kolorów już jakby elektrycznie wstrząsany.....

A odtąd już ciągle pracowałem nad wiedzą moją... chciwy nauki książkowej we wszystkich jej gałęziach... ciągniony ciekawością za granicę, gdzie wielu starszych

moich braci za ojczyznę cierpiąc, znajdowało się; z niemi to dzieliłem przez jakiś czas kłótnie i dysputy, nie wiedząc, na jakiej się oprzeć podstawie, ale wróg wszelkich pryncypiów i skończonej formy, przeczuwając że z głębi ducha coś mocniejszego wyrwać potrafię... ojczyznę jakąś, któraby razem dla ludzkości mogła być węgielnym kamieniem nowo budujących się narodów... Cel ten patryotyczny chciałem zgodzić z celem duszy mojej i wiedzę moją z czuciem na jednej podstawie Bożej ugruntować... w tem wszystkim spostrzegam, żem zaczął gonić za motylami, a potem stałem się pogonią prawdy zatrudniony.

---

Ustęp ten cały stanowi jasny obraz życia Słowackiego jako Helego, od lat dzieciennych do młodzieńczych. Odznacza się przedziwną szczerością, uczuć i przejrzyistością a zwięzłością tak treści jak stylu.

\* \* \*

## Wyjątek II.

Jeden z moich przyjaciół dziwi się wiekowi, w którym dziewczynki siedmioletnie, jak Byrony już — szpilkami uzbrojone grożą niebiosom i wyzywają Boga samego, aby się przed nimi usprawiedliwił.

## Wyjątek III.

Nauka rozeznawania duchów, o której mówi Ewangelia — jest jak widzisz główną i pierwszą podstawą wszelkich szkół i zakładów edukacyjnych—w rodzinach zaś miłości rodzicielskiej powinna być podporą i wszelkich nadziei rodzicielskich przewodnią gwiazdą...

#### Wyjątek IV.

Aby matki więcej ducha poznały w dziecku i więcej ukochały niż ciało, któremu także pieczy przyzwoitej odmówić nie należy... albowiem teraz... obacz, że rodzice, którym dziecina paluszek zrani, a na ból się poskarży, ani śpią — ani jedzą — ale przy łóżeczku czuwają aż ją uzdrowią, — lecz skoro wadę jaką duchową postrzegą... to wprawdzie zasmucą się nieco i ukaraniem albo perswazyą duszę dziecka poprawić starają się — ale ani to rodzice snu zwykłego na jedną godzinę nie pozbawi — ani przez dni kilka na myśli ciągle gryzącym smutkiem nie zamąci... a jednak jać mówię, że od plamy tej duchowej cała nieśmiertelność ducha często zależy... sto żywotów — chorobliwych i nędznych — i żółciu węzową jadu zatrutych... od tej to małej plamki weźmie swój początek... Próżno więc ta troskliwość o ciała, połączona z nieuważą na ducha, chce połamać sprawiedliwość Boską... i szczęście dać duchowi. Próżne są dekokty i konserwy twoje doktorze! Cesarski duch po cesarsku, a poety duch na laurach, a moskiewski duch pod groźbą — a hiszpański jak orła, słońcem honoru nakarm i wychowaj — a Tatarzynowi pozwól, że na stepy wyleci i domu nie ukocha ale wolność — a Muzułmaninowi duchem Bożym wypełń wszystkie cele żywota... a francuskiemu duchowi, jeśliś go w dom ściągnął, pozwól jak winogradom z ziemi nic — a wszystko brać z powietrza — I na wiatry rozrzucać w chwili jednej zapału... a polskiemu... jako kłowski daj za podstawę uprawioną dobrze ziemię — aby wydał kłos pełny, z tem za ziarno zapłacił... A sam bądź takim, jakim chcesz, aby rodziły się dzieci twoje... a nie prędko, ale po pracy wieków ukaże się w ciałach

ten logiczny porządek, który teraz błakaniem się wiekowem duchów popsuty widzialny świat czyni podobny domowi waryatów i karykatur.

### Wyjątek V.

Oto pewni rodzice zmuszeni byli odjechać i dzieci swoje opiece obcych ludzi poruczyć. Oboje jednakże, chcąc niejako przytomnemi być ciągle dziatek pamięci i zdaleka rządzić dziateczek postępowaniem, uprosili u Boga, że je mocą cudowną obdarzył. Ojciec więc siłę nadprzyrodzoną wlał w wizerunek swój, tak że portret na ścianie wiszący, na każde dzieci przestępstwo, patrzył i płakał krwawemi łzami. Matka zaś zostawiła dzieciom portret swój i rzekła: ilekroć ucisku ludzkiego doznacie, albo też ku złemu będziecie skuszeni, patrzcie na twarz moją, proście w imię moje, a ja przez moc cudowną, którą mi Bóg dał, pomogę wam i na końcu połączę się z wami... Więc oto po odjeździe rodziców dziatki pierwszy raz przeciwko rodzicom wykroczywszy, ujrzały obraz ojca, że ruszył oczyma i złękły się, mówiąc: Ojciec widzi. I przyszedł do nich chłopiec uliczny, a widząc przestraszone i obraz ten ruszający oczyma, nie zaprzeczył bynajmniej cudowi, ale powiedział, że u zegarmistrza w miasteczku widział podobne obrazki, obdarzone ruchem i głosem, słowem, równie cudowne. Dziateczki owe, które były mądre i w moc cudowną ojca swego wierzyły, odpowiedziały owemu łajdakowi, że zegarki tante są codziennie nakręcane, obraz zaś już od kilku lat wisi na ścianie, rusza się, płacze, a nigdzie nie widać sprężyny... Wszakże gdy to mówiły, już w sercu uczuły poszept, że może ojciec był tylko lepszym od miejskiego zegarmistrzem i przestały

się lękać obrazu. Lecz oto dziateczki te będąc u obcych ludzi w zaniedbaniu, często głodem morzone i bite, udały się raz z modlitwą do matki cudownego obrazu, prosząc, aby je sieroty od złych ludzi broniła; i stało się, że owi to źli opiekunowie potracili dzieci własne, a nie mając kogoby więcej do serca przycisnąć, zaczęli pieścić i tulić owe to wprzód bite i dręczone jagniątka... Z tej prostej powiastki, Helionie, (Heli) weź pierwszą miarę, według której ma być ważona potrzeba cudów Boskich . . . . . są cuda Helionie... Moc duchowa Chrystusa objawiła je światu . . . . .

---

## Głos z wygnania do Braci w kraju.

(Urywek.)

Z dalekiej i obcej ziemi my wygnańce śmiemy do ciebie mówić, nieszczęśliwy narodzie! . . . . .

Ziemio mogli i więzień poznaj nas po pokucie i żalobie naszej . . . . .

Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopci. . . . .

Mierzysz chłopu swym rozumem, a on wyższy jest nad ciebie wiarą swoją . . . . .

Jako niegdyś twój ojciec, on dziś pragnie zginąć za nią . . . . .

Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą. . . . .

Razem z ludem idź do kościoła, byś w pokorze i modlitwie dał mu serce swoje . . . . .

Stań się ojcem chrzestnym dziecięciu chłopskiemu...  
Ty i lud wiosek twoich niechaj będą jak rodzina poświę-  
cona prawem Boga.

I zdobędziesz serce sercem, a gdy czasy będą speł-  
nione, chłop ci poda swą prawicę do budowy wielkiej.  
Wy i chłopci świat zbawicie z Bożej woli.

\* \* \*

Wielki Narodzie!

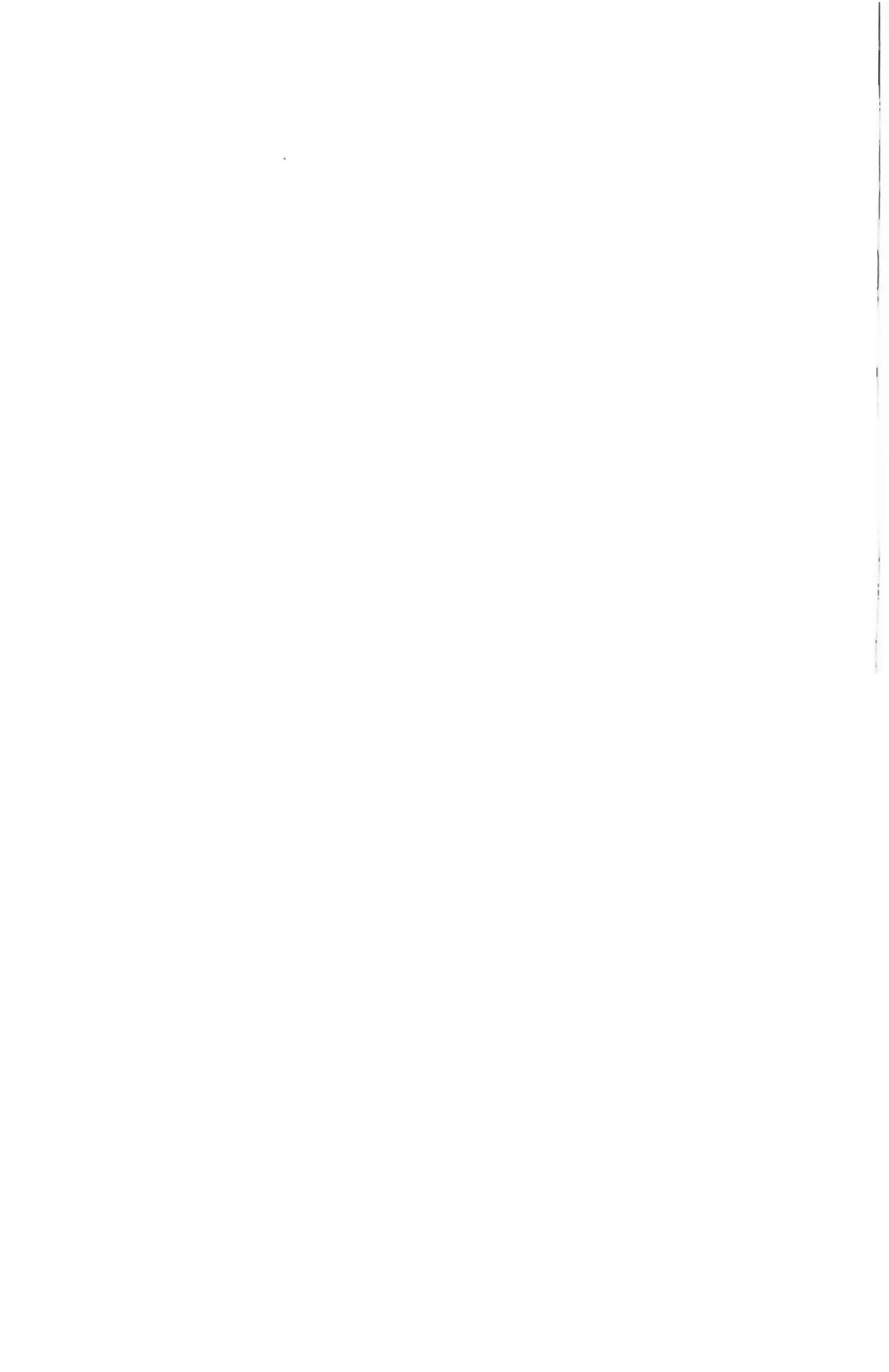
Na kolana padnij przed Obliczem Jego i wołaj  
wielkim głosem:

O Ojcze! przestań nas już karać, a daj nam

**Zwycięstwo!**

K o n i e c .







# SPIS RZECZY.

## TOM I.

Heli. Dziecinne lata i szkolne czasy Juliusza Słowackiego  
1809 — 1829.

Strona	Strona
Wróć do nas orle, wróć! . . . 3	Adam Mickiewicz . . . . 55
Ślub panny Salomei . . . . 7	Szubrawcy . . . . . 57
Heli . . . . . 11	Zniewaga Mickiewicza . . 62
Radosna nowina . . . . . 13	Majówka na Markuciu . . 65
Wyjazd do Wilna . . . . . 14	Nowosilcow w r. 1822 . . 67
Okropny cios . . . . . 17	Piorun . . . . . 70
W rodzinne progi . . . . . 20	Wywiezienie Mickiewicza . 72
Począjów . . . . . 23	W Krzemieńcu . . . . . 74
Wierzebówka . . . . . 25	Lata uniwersyteckie od roku
Pan August Becu . . . . . 28	1825 do 1828 . . . . . 76
Ślub pani Słowackiej . . . . 29	Niespodzianka . . . . . 78
Na grobie ojca . . . . . 31	Kanarek . . . . . 83
Iliada Homera . . . . . 33	Podróż do Odessy . . . . . 86
Pan Hipolit Błotnicki . . . . 36	Tulczyn . . . . . 87
Ludwik Szpitznagiel, jako	Odessa . . . . . 91
przyjaciel Helego . . . . 38	Ostatni rok uniwersytetu 1828 94
Wujaszek Fil. . . . . 40	Teatr . . . . . 98
Niemcewicz . . . . . 42	Ludwika Śniadecka . . . 100
W teatrze . . . . . 45	Powrót z uniwersytetu w r.
Pierwszy mundurek . . . . . 46	1828 do Krzemieńca . . 102
Swedenborg . . . . . 48	Józef Korzeniowski . . . 105
Błękitny Filaret . . . . . 49	Włóczęga po Podolu i Litwie 108
Żywy obraz . . . . . 51	Ostatni raz na Litwę . . . 110
Książę Adam Czartoryski . . 52	Pożegnanie matki . . . . 114
Poeta-Wieszcz . . . . . 54	

## TOM II.

### Juliusz. Wiek młodzięczy, dojrzały i twórczość poety r. 1829—1849.

	Strona		Strona
Warszawa . . . . .	4	Góra Oliwna, Dolina Józefa i Morze Martwe . . .	51
Książę Lubecki . . . . .	6	Szymon Konarski . . . . .	54
Pogrzeb Bielińskiego . . . . .	9	Improwizacya . . . . .	59
Pojedynek . . . . .	11	Mistrz Towiański . . . . .	60
Juliusz u siebie . . . . .	15	Matka Makryna Mieczysławska . . . . .	62
U Honoratki . . . . .	16	Wymarsz . . . . .	63
Noc Listopadowa r. 1830 . . . . .	21	Widzenie się poety z matką	66
W Dreźnie . . . . .	25	Ostatnia Wigilia Bożego Narodzenia . . . . .	70
Pierwsi Emigranci . . . . .	28	Dzień 3 kwietnia 1849 r. . . . .	72
Pan Górzeński . . . . .	32	Testament . . . . .	73
Paryż 1831 r. . . . .	34	List Szczęsnego Felińskiego	75
Drukarnia panien Pinard . . . . .	36	Lekki pogląd na twórczość poetycką i charakter Słowackiego . . . . .	78
Panna Eglą tyna Patey . . . . .	39		
Smutne wieści . . . . .	41		
Smutno mi Boże! . . . . .	44		
El-Arisch . . . . .	46		
Jeruzalem . . . . .	48		
U grobu Chrystusa . . . . .	49		

### Charakterystyka główniejszych utworów Słowackiego.

Okres twórczości warszawskiej . . . . .	82	Na sprowadzenie prochów Napoleona . . . . .	136
Treść utworów z okresu twórczości w Warszawie od 1829—1931 . . . . .	84	Do Ludwika Bobrowny . . . . .	138
Drugi okres twórczości poety. Okres dojrzałości . . . . .	89	W pamiętniku Zofii Bobrowny . . . . .	138
Okres Towianizmu . . . . .	98	Do Pastereczki . . . . .	139
Do matki . . . . .	102	Do Matki (urywek) . . . . .	141
<b>Zbiór wyjątków najcenniejszych pism poety.</b>		O nieszczęśliwa! o uciemiona! . . . . .	141
Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską . . . . .	103	A jednak ja nie wątpię . . . . .	141
<b>Drżne wiersze.</b>		Daję wam tę ostatnią koronę	142
Niewiadomo co czyli romantyczność . . . . .	133	Vivat Poznańczenie! . . . . .	142
Rozmowa z Piramidami . . . . .	134	Z Epigramatów i Przypowieści . . . . .	144
		<b>Wyjątki z prozy.</b>	
		Helion (wykład nauki) . . . . .	145
		Głos z wygnania do braci w kraju (urywek) . . . . .	150